

Philip K. Dick

SŁONECZNA

LOTERIA



DICK PHILIP K.

Sloneczna loteria

PHILIP K. DICK

Przełożył: Jan Zieliński

Dom Wydawniczy REBIS Poznań 1998

Tytuł oryginału: Solar Lottery

Copyright © 1955 by Philip K. Dick All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by

REBIS Publishing House Ltd.,

Poznań 1998

Ilustracja na okładce: Jim Burns / via Thomas Schliick Agency

Opracowanie graficzne: Jacek Pietrzyński

Wydanie II (poprawione)

Wydanie I ukazało się 1981 roku

nakładem Spółdzielni Wydawniczej

„Czytelnik”

ISBN 83-7120-622-4

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o. o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 867-47-08, 867-81-40; fax 867-37-74

e-mail: rebis@pol.pl <http://www.rebis.com.pl>

Skład i łamanie

Gdańsk, tel./fax (0-58) 347-64-44

Druk: ABEDIK – Poznań

Od autora

Zainteresowałem się teorią gier- najpierw z pobudek czysto intelektualnych, tak jak interesuję się szachami, później z niepokojącym przeświadczeniem, że Minimax odgrywa coraz większą rolę w życiu naszego kraju. Chociaż specjaliści pokrewnych nauk (matematyki, statystyki, socjologii, ekonomii) wiedzą o jej istnieniu, teoria gier nie zyskała powszechnego rozgłosu. A przecież w czasie drugiej wojny światowej posługiwali się nią alianci. W chwili obecnej zarówno Stany Zjednoczone, jak i Związek Radziecki stosują strategię Mini-maxu. Kiedy pisałem Słoneczną loterię, von Neumann, współtwórca teorii gier, został powołany do Komisji do spraw Energii Atomowej, co potwierdziło moje głębokie przekonanie, że Minimax w coraz większym stopniu nad nami panuje.

„Dobra strategia wymaga stosowania zasady Minima-xu, to znaczy takiej polityki, w której przyjmujemy możliwe większe i mniejsze korzyści, przy założeniu, że grozi nam rozszyfrowanie. Chcąc tego uniknąć, zaciemniamy własny plan gry, wprowadzając do strategii element przypadku”.

John McDonald, Strategy in Poker, Business and War (1953)

1.

Najpierw pojawiły się zwiastuny niezwykłych wydarzeń. Z początkiem maja dwa tysiące dwieście trzeciego roku automatyczne reportery poruszyła wiadomość o przelocie białych kruków nad Szwecją. Seria nie wyjaśnionych pożarów zniszczyła połowę Wzgórza Oiseau-Lyre, głównego centrum przemysłowego w Układzie Słonecznym. Grad małych okrągłych kamyków spadł z nieba w pobliżu budynków obozu pracy na Marsie. W Batawii, gdzie mieści się Dyrektoriat Dziewięciu Planet, przyszło na świat dwugłowe cielę – niechybny znak, że coś nadzwyczajnego wisi w powietrzu.

Każdy usiłował wytłumaczyć te znaki na swój sposób – ulubioną rozrywką stały się spekulacje na temat planów przypadkowych sił natury. Zgadywano, radzono i spierano się na temat uspołecznionego narzędzia losu -butelki. Wizyty u wróżbitów Dyrektoriatu trzeba było zamawiać na kilka tygodni z góry.

To, co dla jednych jest zwiastunem, dla innych staje się faktem. Częściowa katastrofa Wzgórza Oiseau-Lyre oznaczała pełną katastrofę dla połowy jego rejestrowanych pracowników. Rozwiązano hołdy lenne, wyrzucono wykwalifikowanych fachowców różnych specjalności. Zdani na łaskę losu, stali się kolejnym symptomem świadczącym o tym, że dla świata nadchodzą przełomowe chwile. Większość usuniętych fachowców wykoleiła

się i zagubiła wśród nierejestrowanych mas. Nie wszyscy jednak.

Ted Benteley zerwał swoje wymówienie z tablicy, kiedy tylko je zobaczył. Idąc korytarzem do swojego pokoju, spokojnie podarł kartkę i wrzucił do zsypu na śmieci. Jego reakcja na zwolnienie była żywa, przemożna i natychmiastowa. Pod jednym istotnym względem różniła się od reakcji kolegów: Ted cieszył się, że został zwolniony z przysięgi. Od trzynastu lat próbował najrozmaitszych kruczków prawnych, żeby tylko uwolnić się od hołdu lennego wobec Oiseau-Lyre.

W pokoju zamknął drzwi, wyłączył ekran Międzyplanetarnego Zrzeszenia Przemysłu Widowskiego i pogrążył się w myślach. Już po godzinie miał opracowany plan działania, plan niezwykle prosty.

W południe dział kadr Oiseau-Lyre zwrócił mu kartę władzy, jak zawsze, kiedy góra rozwiązywała hołd. Dziwne wrażenie wywoływał widok karty po tylu latach. Ted trzymał ją przez chwilę z niedowierzaniem, po czym schował ostrożnie do portfela. Ta karta stanowi jego jedną na sześć miliardów szansę w wielkiej loterii, nikłą możliwość, że przypadkowy ruch butelki rzuci go na stanowisko Numer Jeden. Z punktu widzenia polityki był spóźniony o trzydzieści trzy lata: karty „W” są kodowane w chwili urodzenia człowieka.

Do czternastej trzydzieści rozwiązał pozostałe stosunki lenne na terenie Oiseau-Lyre – w tych pomniejszych związkach przeważnie on był opiekunem, a inni jego lennikami. Do szesnastej zebrał wszystkie swoje aktywa, upłynnił je w trybie nagłym, wiele tracąc na tej błyskawicznej wymianie, i kupił bilet raketowy pierwszej klasy. Wieczorem opuścił Europę, zmierzając prosto do cesarstwa Indonezji, do jego stolicy.

W Batawii wynajął pokój w tanim pensjonacie i rozpakował walizkę. Reszta rzeczy została we Francji -jeżeli

plan się powiedzie, sprowadzi je później, jeżeli nie, rzeczy i tak nie będą mu już potrzebne. O dziwo, okna pokoju wychodziły na główny gmach Dyrektoriatu. Przez liczne wejścia jak ruchliwe tropikalne muchy wpełzali i wpełzali ludzie. Wszystkie drogi i trajektorie prowadzą do Batawii.

Zasoby finansowe Teda nie były wielkie – nie mógł tu bawić zbyt długo, a zatem należało działać. Z publicznej biblioteki naukowej wypożyczył całe sterty taśm oraz przeglądarkę. Przez następne dni gromadził i porządkował wszelkie dostępne wiadomości z zakresu biochemii, w tej bowiem dziedzinie został niegdyś zarejestrowany. Przeglądał i wkuwał materiał, myśląc wciąż z niepokojem o tym, że o złożenie hołdu lennego Lotermistrzowi można ubiegać się tylko raz -jeżeli odpadnie przy pierwszym podejściu, będzie skończony.

Tak, wszystko zależy od pierwszego podejścia. Uwolnił się od systemu Wzgórz i nie miał najmniejszego zamiaru wracać.

Przez pięć dni wypalił mnóstwo papierosów, obszedł pokój dookoła nieskończenie wiele razy, wreszcie wyciągnął żółty tom książki telefonicznej i poszukał miejscowych agencji dziewczyn do łóżka. Okazało się, że biuro jego ulubionej agencji mieści się w pobliżu. Zadzwoił z ulgą i po godzinie wszystkie jego rozterki duchowe należały do przeszłości. Przysłana przez agencję smukła blondynka oraz luksusowy bar pozwoliły mu przetrwać następne dwadzieścia cztery godziny. Dłużej jednak nie mógł zwlekać. Nadszedł czas, żeby działać: teraz albo nigdy.

Kiedy rano wstał z łóżka, przeszedł go zimny dreszcz. Wybór lenników Lotermistrza Yerricka odbywał się w myśl zasady Minimaxu: wydawało się, że poszczególne stanowiska obsadzone są na chybił trafił. W ciągu sześciu dni Benteley nie potrafił wykryć żadnej reguły.

Nie zdołał wywnioskować, jaki czynnik, i czy w ogóle jakiś, decyduje o przyjęciu kandydata.

Ted spociał się, wziął szybki prysznic i znów był spocony. Mimo kilku dni wkuwania nic nie umiał. Był zdany na los szczęścia. Ogolił się, ubrał, zapłacił Lori i odesłał ją do agencji.

Był pełen obaw, doskwierała mu też samotność. Zwolnił pokój, oddał walizkę do przechowalni i na wszelki wypadek kupił drugi amulet. W toalecie przypiął sobie amulet pod koszulą i wrzucił monetę do rozpylacza luminalu. Środek uspokajający trochę mu pomógł. Wyszedł z pensjonatu i skinął na automatyczną taksówkę.

–Główny gmach Dyrektoriatu – powiedział kierowcy. – Ale nie musisz się spieszyć.

–Jak pani/pan sobie życzy – odparł robot-macmillan. Macmillany nie znajdują się na takich subtelnościach jak płeć.

Ciepłe wiosenne powietrze wdarło się do taksówki, kiedy przelatywali nad dachami. Benteley nie zwracał uwagi na okolicę – wpatrywał się w rosnący przed nim kompleks budynków. Poprzedniego wieczoru wysłał swoje papiery. Chyba dosyć odczekał, teraz papiery powinny leżeć na biurku pierwszego z niezliczonych urzędników Dyrektoriatu.

–Jesteśmy na miejscu, proszę pani/pana.

Macmillan wylądował i zakotwiczył na postoju. Benteley zapłacił i wysiadł z taksówki.

Wokół wszyscy się spieszyli. Powietrze wypełniał ożywiony gwar. Napięcie ostatnich kilku tygodni sięgało szczytu. Uliczni przekupnie oferowali „sposoby”, tanie i gwarantowane teorie, pozwalające rzekomo przewidzieć ruch butelki i wygrać wielką grę. Zaaferowane tłumy nie zwracały uwagi na przekupniów – gdyby ktoś wymyślił skuteczny system, użyłby go sam, a nie sprzedawał.

Na głównej arterii dla pieszych Benteley zatrzymał

się, żeby zapalić papierosa. Ręce mu nie drżały, no, może trochę. Włożył aktówkę pod pachę, wbił ręce do kieszeni i ruszył powoli w stronę hallu. Przeszedł przez masywną bramkę kontrolną i znalazł się w środku. Być może za miesiąc będzie zaprzysiężony Dyrektoriatowi... spojrzał z nadzieją na bramkę i przez koszulę dotknął jednego z amuletów.

–Ted, zaczekaj – dobiegł go cichy, ale nagły głos. Zatrzymał się. Kołysząc biustem, Lori przeciskała się przez zbity tłum, wreszcie dotarła do niego.

–Mam coś dla ciebie – powiedziała zdyszana. – Wiedziałam, że cię tu znajdę.

–Co to jest? – spytał ostro Benteley. Wiedział, że w pobliżu kręcą się gwardziści, a osobiście wolałby, żeby jego prywatne myśli nie wpadły w ręce osiemdziesięciu znudzonych telepatów.

–Zobacz – powiedziała Lori, po czym objęła go za szyję i zapięła łańcuszek. Przechodnie uśmiechali się z sympatią: był to amulet.

Benteley obejrzał amulet, który wyglądał kosztownie.

–Myślisz, że mi się to na coś przyda? – spytał. Ponowne spotkanie z Lori nie leżało w jego planach.

–Mam nadzieję – odparła dziewczyna, dotykając przez chwilę jego ręki. – Byłeś bardzo miły. Ale wyrzuciłeś mnie, zanim zdążyłam ci to powiedzieć. – Dziewczyna zwlekała z odejściem. – Czy myślisz, że masz duże szansę? Jejku, gdyby cię przyjęli, zostałbyś chyba w Batawii.

–Uważaj na swoje myśli – powiedział zdenerwowany Benteley. – Yerrick porozstawiał tu swoich telepatów.

–Gwiżdżę na to. Dziewczyna do łóżka nie musi nic ukrywać – stwierdziła Lori z żalem. Benteley nie uśmiechnął się nawet.

–Mnie się to nie podoba. Nigdy w życiu nie byłem telepowany – wzdrygnął się. – Ale obawiam się, że jeśli tu ugrzęznę, będę musiał przywyknąć i do telepatów.

Podszedł do środkowego biurka z dowodem tożsamości i kartą władzy w ręku. Kolejka przesuwiała się szybko. Po kilku chwilach urzędnik-macmillan przyjął dokumenty, połknął je i nieprzyjemnym głosem zwrócił się do Teda:

–W porządku, panie Benteley. Teraz może pan wejść.

**–Mam nadzieję, że będziemy się widywać- powiedziała Lori z nikłym uśmiechem. –
Jeżeli się tu zaczepisz...**

Benteley zgasił papierosa i skierował się w stronę wejścia do wewnętrznych biur.

**–Odezwę się do ciebie – mruknął i natychmiast przestał myśleć o dziewczynie.
Przepychał się przez rzędy czekających ludzi, przyciskając aktówkę łokciem, i
szybko przekroczył próg. Drzwi zatrzasnęły się natychmiast.**

Był w środku – zaczęło się.

**Niski mężczyzna w średnim wieku, z napomadowanym wąsikiem, w okularach w
metalowej oprawie stał obok drzwi i przyglądał się Tedowi uważnie.**

–Benteley?

–Tak – odparł Ted. – Chciałbym się spotkać z Loter-mistrzem Yerrickiem.

–W jakiej sprawie?

–Ubiegam się o posadę w klasie 8/8. Nagle do pokoju wbiegła dziewczyna.

**–Już po wszystkim- powiedziała, nie zwracając uwagi na Benteleya. Palcami
dotknęła skroni. – Rozumiesz? No i co, jesteś teraz zadowolony?**

–To nie moja wina – odpowiedział mężczyzna. – Takie jest prawo.

**–Prawo! – odburknęła dziewczyna. Usiadła na biurku i odgarnęła znad oczu kręcone
rude włosy. Porwała z biurka paczkę papierosów i zapaliła jednego drżącymi palcami.
– Wynośmy się stąd, Peter. Nic nas już tu nie trzyma.**

–Wiesz przecież, że ja zostaję – odpowiedział niski mężczyzna.

–Głupi jesteś i tyle. – Dziewczyna odwróciła się i dopiero teraz ujrzała Benteleya. Jej zielone oczy zamrugały z zaskoczenia i z ciekawości. – Kim jesteś? – spytała.

–Może przyszedłbyś innego dnia – zwrócił się niski mężczyzna do Benteleya. – Teraz akurat nie jest najlepsza pora...

–Skoro zaszedłem tak daleko, nie dam się łatwo zawrócić – odpowiedział ochryple Benteley. – Gdzie jest Ver-rick?

Dziewczyna przyjrzała mu się z zainteresowaniem.

–Chcesz się zobaczyć z Reese'em? – spytała. – Co masz mu do zaoferowania?

–Jestem biochemikiem – odparł niecierpliwie Benteley. – Szukam posady w klasie 8/8.

Cień rozbawienia przemknął przez czerwone wargi dziewczyny.

–Ach, tak? To ciekawe... – wycedziła i wruszyła gołymi ramionami. – Odbierz od niego przysięgę, Peter. Mężczyzna zawahał się. W końcu wyciągnął dłoń.

–Nazywam się Peter Wakeman – powiedział do Benteleya. – A to jest Eleonora Stevens. Osobista sekretarka Yerricka.

Benteley nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Przez chwilę wszyscy troje w milczeniu szacowali się nawzajem wzrokiem.

–Wpuścił go macmillan- powiedział wreszcie Wakeman. – Jest stałe zapotrzebowanie na klasę 8/8. Ale moim zdaniem Yerrick nie potrzebuje już biochemików, ma ich dosyć.

–Co ty o tym wiesz? – spytała Eleonora Stevens. – To nie twoja dziedzina, nie zajmujesz się personelem.

–Po prostu myślę logicznie – powiedział Wakeman, stając między dziewczyną a Benteleyem. – Bardzo mi

przykro – zwrócił się do Teda – ale tracisz tu tylko czas. Zwróć się do agencji werbunkowych Wzgórz, tam kupują i sprzedają biochemików.

–Wiem – powiedział Benteley. – Pracowałem dla systemu Wzgórz od szesnastego roku życia.

–Więc czego szukasz tutaj? – spytała Eleonora.

–Wyrzucono mnie z Oiseau-Lyre.

–Jest jeszcze Sung.

–Już nigdy nie będę pracował dla Wzgórz! – Benteley podniósł głos. – Dość mam tego.

–Dlaczego? – spytał Wakeman.

–Wzgórza są skorumpowane – odburknął ze złością Benteley. – Cały świat się wali. Kupi go ten, kto zaoferuje najwyższą sumę... a licytacja trwa.

Wakeman pogrążył się w myślach.

–Nie rozumiem- powiedział- jaki to ma związek z tobą. Masz swoją pracę i tylko o niej powinieneś myśleć.

–Dostaję pieniądze za mój czas, talent i lojalność -zgodził się Benteley. – Mam czyste białe laboratorium i dostęp do urzędów, których wybudowanie kosztowało więcej, niż ja zarobię przez całe życie. Mam odpowiedni prestiż społeczny i jestem pod dobrą opieką. Ale zastanawiam się, jaki jest ostateczny rezultat, produkt mojej pracy. Zastanawiam się, do czego służy. Zastanawiam się, co się z nim robi.

–No i co się z nim robi? – spytała Eleonora.

–Wyrzuca się na śmietnik! Nie służy nikomu.

–Komu miałby służyć?

–Nie wiem. Komuś, czemuś – próbował odpowiedzieć Benteley. – A ty nie chciałabyś, żeby twoja praca na coś się przydała? Dość długo wytrzymałem swąd, jaki unosi się wokół Oiseau-Lyre. Wzgórza miały być odrębnymi jednostkami, niezależnymi ekonomicznie. W rzeczywistości stosuje się przelewy, zawyżanie kosztów, fałszywe

zeznania podatkowe. Nie koniec na tym. Znacie slogan reklamowy Wzgórz: „Dobre są usługi, a lepsze usługi są najlepsze”. To kpina! Myślicie może, że Wzgórz wykonują jakieś usługi? Zamiast służyć nam wszystkim, pasożytują na nas.

–Nigdy nie sądziłem, że Wzgórz są instytucjami charytatywnymi – zauważył zgryźliwie Wakeman.

Benteley odsunął się niecierpliwie od tamtych dwojga, którzy przyglądali mu się, jakby był aktorem. Dlaczego tak się oburzał na Wzgórz? Posada rejestrowanego lennika Wzgórz jest bardzo intratna – nie zdarza się, żeby ktoś narzekał. A on narzeka. Może to z jego strony brak poczucia realizmu, anachroniczny przeżytek, jakiego zakład wychowawczy dla dzieci nie potrafił w nim wykorzenić. W każdym razie znosił to wszystko dość długo, nie mógł dłużej.

–Skąd wiesz, że w Dyrektoriacie jest lepiej? – spytał Wakeman. – Obawiam się, że masz w tym względzie sporo złudzeń.

–Pozwólmy mu złożyć przysięgę – rzuciła Eleonora od niechcienia. – Dajmy mu to, czego pragnie. Wakeman zaprzeczył ruchem głowy:

–Ja nie przyjmę od niego przysięgi.

–Więc ja to zrobię – odparła dziewczyna.

–Przepraszam- powiedział Wakeman. Z szuflady biurka wyjął butelkę whisky i nalał sobie do szklanki. – Kto się ze mną napije?

–Ja dziękuję, nie – odmówiła Eleonora. Benteley wybuchnął gniewem.

–Co to ma znaczyć, do diabła? Tak się pracuje w Dyrektoriacie?

Wakeman uśmiechnął się.

–No i widzisz, jak prędko można pozbyć się złudzeń. Lepiej zostań na swoim miejscu. Nie zdajesz sobie sprawy, co możesz stracić.

Eleonora zsunęła się z biurka i wybiegła z pokoju. Wróciła po chwili z tradycyjnym symbolicznym wizerunkiem Lotermistrza.

–Podejdź tu, Benteley. Przyjmę od ciebie przysięgę. – Małe plastikowe popiersie Reese'a Yerricka w kolorach naturalnych umieściła na środku biurka i energicznie

zwróciła się do Benteleya. – Śmiało – powiedziała.

Kiedy Benteley podszedł powoli do biurka, dziewczyna wyciągnęła rękę i dotknęła woreczka, który wisiał na łańcuszku na jego szyi – prezent od Lori.

–Co to za amulet? – spytała, przyciągając lekko Benteleya. – Opowiedz mi o nim.

Benteley pokazał jej kawałek magnesu i biały proszek.

–Mleko Panny – wyjaśnił krótko.

–Nosisz tylko jeden? – mówiąc to, Eleonora pokazała rząd amuletów, które wisiały między jej odsłoniętymi piersiami. – Nie rozumiem, jak ludzie radzą sobie w życiu, mając tylko jeden amulet. – Zielone oczy dziewczyny były w ciągłym ruchu. – Zresztą może sobie nie radzisz – dodała. – Może właśnie dlatego masz pecha.

–Moja skala pozytywna jest wysoka – odpowiedział Benteley ze złością. – A oprócz tego noszę jeszcze dwa amulety. Ten dostałem od kogoś.

–Ach, tak? – Dziewczyna przysunęła się do Teda i obejrzała amulet z bliska. – Kobiety chętnie kupują takie właśnie amulety. Drogie błyskotki.

–Czy to prawda – zapytał Benteley – że Yerrick w ogóle nie nosi amuletów?

–Prawda – wtrącił Wakeman. – Yerrick nie potrzebuje amuletów. Kiedy butelka wyznaczyła go na Numer Jeden, był już w klasie 6/3. To wielki szczęściarz. Doszedł na sam szczyt, jak w dydaktycznych filmach. Jest uosobieniem szczęścia.

–Widziałam, jak ludzie go dotykają, żeby trochę szczęścia przeszło na nich – powiedziała Eleonora z od-

cieniem dumy. – Nie widzę w tym nic złego. Sama go dotykałam, i to wiele razy.

–I co ci z tego przyszło? – spytał cicho Wakeman, wskazując na blade skronie dziewczyny.

–Nie urodziłam się w tym samym miejscu i o tej samej godzinie co Reese – odpowiedziała ostro Eleonora.

–Nie wierzę w astrokosmologię – stwierdził spokojnie Wakeman. – Uważam, że szczęście można zyskać i stracić. Są dobre i złe passy – wakeman mówił powoli, wyraźnie pijąc do Benteleya. – Teraz Yerrick ma szczęście, ale to nie znaczy, że tak będzie zawsze. Tam... – machnął ręką w stronę sufitu – tam lubią, żeby była równowaga. Nie jestem chrześcijaninem – dodał pospiesznie -nie zrozum mnie źle. Wiem, że wszystkim rządzi czysty przypadek. – Mówiąc, zionął Benteleyowi w twarz zapachem mięty i cebuli. – Ale w końcu każdy ma szansę. A największych i najpotężniejszych też czeka upadek.

–Uważaj! – Eleonora rzuciła Wakemanowi ostrzegawcze spojrzenie.

Wakeman, nie spuszczając wzroku z Benteleya, mówił powoli:

–Zapamiętaj sobie, co teraz powiem. Jesteś zwolniony z przysięgi, korzystaj z tego i nie składaj hołdu Yerrickowi. Zostaniesz jednym z jego stałych wasali. A to ci się nie będzie podobało.

Benteleyowi ciarki przeszły po plecach.

–Czy to ma znaczyć, że zamiast przysięgi na wierność Lotermistrzowi mam złożyć hołd bezpośrednio Yerrickowi?

–Zgadza się – powiedziała Eleonora.

–Ale dlaczego?

–Mamy w tej chwili przejściowe trudności. Na razie nie mogę udzielić dokładniejszych informacji. W każdym razie gwarantuję, że później otrzymasz stanowisko 9,dpo*. więdnie dla twojej klasy //'' Vi ^

Benteley chwycił aktówkę i cofnął się o krok. Cała jego strategia, cały plan wzięły w łeb. Wszedł w sytuację, która zupełnie nie zgadzała się z jego przewidywaniami.

–Więc dostałem się? – spytał niemal ze złością. – Będę przyjęty?

–Oczywiście – powiedział beznamiętnie Wakeman. – Yerrick przyjmuje każdego, kto ma klasę 8/8. Nie odrzuci i ciebie.

Benteley odsunął się bezradnie od swoich rozmówców. Coś tu jest nie w porządku.

–Chwileczkę – powiedział zmieszanym, niepewnym głosem. – Muszę się zastanowić. Dajcie mi trochę czasu do namysłu.

–Proszę bardzo – powiedziała Eleonora obojętnie.

–Dziękuję.

Benteley odszedł na bok, żeby przemyśleć sytuację. Eleonora chodziła po pokoju, z rękami w kieszeniach.

–Dowiedziałeś się czegoś o tym facecie? – spytała Wakemana. – Umieram z ciekawości.

–Dotarło do mnie tylko pierwsze, tajne ostrzeżenie -odparł Wakeman. – Nazywa się Leon Cartwright. Należy do jakiejś zwariowanej sekty. Ciekaw jestem bardzo, jaki on jest.

–Ja nie. – Eleonora stanęła przy oknie i w zamyśleniu patrzyła na ulice i pomosty. – Niedługo zacznie się tu ruch – powiedziała. – Nagle wyprostowała się i szczupłymi palcami przycisnęła skronie. – O Boże, a jeżeli popełniłam błąd? Trudno, teraz już nic nie mogę zmienić.

–Tak, to był błąd – przyznał Wakeman. – Kiedy będziesz starsza, zrozumiesz, jak bardzo poważny. Po twarzy dziewczyny przemknął skurcz lęku.

–Nigdy nie opuszczę Yerricka. Muszę przy nim zostać.

–Dlaczego?

–Dla własnego bezpieczeństwa. Będzie się mną opiekował, tak jak zawsze.

–Gwardia będzie cię chronić.

–Nie chcę mieć nic wspólnego z Gwardią. Czerwone wargi Eleonory cofnęły się, odsłaniając równe, białe zęby.

–Moja rodzinka! – zawołała. – Mój troskliwy wuj Pe-ter, sprzedajny jak jego Wzgórza. A on – wskazała ruchem głowy Benteleya – myśli, że tu nie ma korupcji.

–To nie korupcja – powiedział Wakeman. – To zasada. Gwardia jest ponad człowiekiem.

–Gwardia to mebel, tak jak to biurko. – Eleonora zastukała długimi paznokciami w blat biurka. – Kupuje się meble, biurka, lampy, monitory, Gwardię. – W oczach dziewczyny widać było wstręt. – Należy do prestonitów? – spytała.

–Tak.

–Nic dziwnego, że jesteś go ciekaw. Mnie też on chyba w jakiś niezdrowy sposób intryguje. Tak jakbym znalazła się w pobliżu jakiejś egzotycznej bestii ze skolonizowanych planet.

Tymczasem Benteley ocknął się z głębokiego zamyślenia.

–Dobrze – powiedział. – Jestem gotów.

–Świetnie.

Eleonora wślizgnęła się za biurko, podniosła jedną dłoń, a drugą położyła na popiersiu.

–Znasz tekst przysięgi czy mam ci podpowiadać? – spytała.

Benteley znał przysięgę wierności na pamięć, ale wciąż dręczyły go wątpliwości. Wakeman na przemian oglądał swoje paznokcie i spoglądał na Teda z dezaprobatą i nudą: małe pole ujemnego promieniowania. Natomiast Eleonora wpatrywała się w niego natarczywie,

przy czym wyraz jej twarzy zmieniał się z każdą chwilą. Z rosnącym przekonaniem, że coś tu jest nie w porządku, Benteley zaczął wygłaszać słowa przysięgi do małego plastikowego popiersia.

Kiedy doszedł do połowy, drzwi rozsunęły się i do pokoju weszło z hałasem kilku mężczyzn. Jeden górował nad resztą: wysoki, ciężki, dobrze zbudowany, z szarą, pobruźdowaną twarzą i gęstą, szpakowatą czupryną. Reese Ver-rick w otoczeniu swoich osobistych lenników przystanął na widok ceremonii, która odbywała się przy biurku.

Wakeman podniósł wzrok i spojrzał na Yerricka. Uśmiechnął się słabo i nic nie powiedział, ale widać było, co myśli. Eleonora Stevens zastygła jak skała. Z płonącymi policzkami, ciałem zeszywniałym z przejęcia, czekała na oporne słowo Benteleya. Kiedy tylko skończył, ożyła. Szybko wyniosła plastikowe popiersie z pokoju i wróciła, wyciągając rękę.

–Teraz daj mi swoją kartę „W”, Benteley. Musimy ją mieć.

Otępiały Benteley wręczył Eleonorze kartę. Znów się jej pozbywał.

–Kto to? – zagrzemiał Yerrick, wskazując na Benteleya.

–Właśnie złożył przysięgę na wierność. 8/8. Eleonora zbierała swoje rzeczy z biurka. Amulety między jej piersiami dyndały i podskakiwały nerwowo.

–Idę po płaszcz – powiedziała.

–8/8? Biochemik? – Yerrick obejrzał Benteleya z zainteresowaniem. – Myślisz, że jest dobry?

–W porządku – powiedział Wakeman. – Telepowa-łem go i wypadł świetnie.

Eleonora pospiesznie zamknęła szafę, narzuciła płaszcz na gołe ramiona, liczne drobiazgi upychała po kieszeniach.

–Dopiero co przyjechał. Jest z Oiseau-Lyre – powie-

działa, podbiegając do grupy skupionej wokół Yerricka. – Jeszcze o niczym nie wie.

Poważna twarz Yerricka nosiła ślady kłopotów i zmęczenia ale mała isierka rozbawienia zabłysła w jego głęboko osadzonych oczach, szarych kulach ukrytych pod masywnym, wypukłym czołem.

–To ostatnie okruchy, na razie. Reszta należy do pre-stonity Cartwrighta. Jak się nazywasz? – zwrócił się do Benteleya.

Uścisnęli sobie dłonie, Benteley wymamrotał nazwisko. Potężna dłoń Yerricka miażdżyła mu jeszcze kości w śmiertelnym uścisku, kiedy wyjąkał:

–Dokąd jedziemy? Myślałem...

–Na Wzgórze Farben.

Yerrick i jego ludzie ruszyli w stronę pomostu wyjściowego. Został tylko Wakeman, żeby poczekać na nowego Lotermistrza.

–Stamtąd będziemy działać – wyjaśnił Yerrick Eleonorze. – W zeszłym roku odebrałem osobisty hołd od Wzgórze Farben. Mogę liczyć na ich lojalność w każdej sytuacji.

–W jakiej sytuacji? – spytał Benteley, ogarnięty nagłym niepokojem.

Otwarto drzwi na zewnątrz. Na wychodzących spłynął blask słońca, zmieszany z ulicznym hałasem. Okrzyki automatycznych reporterów dotarły po raz pierwszy do uszu Benteleya. Kiedy przechodzili pomostem na lądowisko, gdzie oczekiwały statki międzykontynentalne, spytał zachrypniętym głosem:

–Co się stało?

–Mniejsza o to – mruknął Yerrick. – Wkrótce dowiesz się wszystkiego. Teraz nie ma czasu na gadanie, mamy przed sobą wiele pracy.

Benteley powlókł się za grupą, czując w ustach metaliczny smak przerażenia. Teraz już wiedział. Nowina roz-

brzmiewała zewsząd, obwieszczana mechanicznym głosem automatycznych reporterów.

–Yerrick obalony! – krzyczały automaty, wędrując wśród tłumu. – Nowy Numer Jeden prestonitą! Butelka ruszyła się dziś rano o dziewiątej trzydzieści czasu batawskiego! Yerrick obalooooony!

A więc dokonała się przypadkowa zmiana władzy, nastąpiło poprzedzone licznymi zwiastunami wydarzenie. Yerrick stracił stanowisko Numer Jeden, przestał być Lotermistrzem. Poszedł na dno, wyleciał z Dyrektoriatu na łeb, na szyję.

A Benteley złożył mu hołd.

Teraz już nie może się cofnąć. Musi lecieć na Wzgórze Farben. Wszystkich wasali Yerricka porwał pęd wydarzeń, które wstrząsnęły Układem Słonecznym, jak zapierająca dech zimowa nawałnica.

2.

Wczesnym rankiem Leon Cartwright jechał ostrożnie wąskimi, krętymi uliczkami swoim starym chevro-letem model 82, trzymając pewnie kierownicę i obserwując ruch. Nosił jak zwykle niemodny, ale nienaganny dwurzędowy garnitur. Na jego głowie widniał zdefasowany kapelusz, a w kieszeni kamizelki tykał zegarek. Wszystko razem tchnęło zapomnieniem i starością. Cartwright miał około sześćdziesięciu lat, był szczupły, muskularny, bardzo wysoki, zawsze wyprostowany, ale przy tym giętki, miał łagodne niebieskie oczy i plamy wątro-biane na przegubach. Ręce chude, ale żylaste i mocne. Spokojny, niemal subtelny wyraz mizernej twarzy. Prowadził trochę tak, jakby niezupełnie dowierzał sobie i swemu wehikułowi.

Na tylnym siedzeniu leżały sterty nagranych taśm, gotowych do wysłania. Podłoga ugiwała się pod plikami metalowej folii, którą trzeba było zadrukować i ofrankować. W kącie poniewierał się stary płaszcz od deszczu, poobijana menażka i kilka starych kaloszy. Pod siedzeniem znajdował się nabity pistolet, wetknięty tam przed wieloma laty.

Po obu stronach drogi stały wyblakłe ze starości domy z odrapanymi tynkami, zakurzonymi szybami i brudnymi neonami. Były to przeżytki z zeszłego stulecia, podobnie jak Cartwright i jego samochód. O futryny i ściany

23

opierali się brudni mężczyźni w splowiałych drelichach, z rękami w kieszeniach, patrzący tępo i nieprzyjaźnie. Tęgie podstarzałe kobiety w nieforemnych czarnych płaszczach wpychały rozklekotane wózki do ciemnych sklepów, przebierały nerwowo wśród lichych towarów, wśród nadpsutej żywności, którą taszczyły potem do dusznych, cuchnących moczem mieszkań, dla oczekujących niecierpliwie rodzin.

Ludzie nie zmienili się zbyt wiele ostatnimi czasy, pomyślał Cartwright. Ani system rejestracji, ani skomplikowana Loteria nie poprawiły losu większości. Nadal istnieją nierejestrowani.

W pierwszej połowie dwudziestego wieku rozwiązano problem produkcji. Odtąd już tylko problem konsumpcji nękał ludzkość. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych na Zachodzie poczęły rosnać góry produktów rolnych i artykułów przemysłowych. Rozdawano, co się dało, ale takie rozwiązanie godziło w postawy wolnego rynku. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku znaleziono tymczasowe wyjście z sytuacji: niszczenie nadprodukcji. Każdego tygodnia szły z dymem towary wartości miliardów dolarów.

Co sobota ponury, wrogi tłum przyglądał się, jak żołnierze oblewają benzyną i unicestwiają w oślepiającym pożarze samochody, pralki, ubrania, pomarańcze, kawę

czy papierosy, których nikt nie kupił. Każde miasto miało swoje palenisko, ogrodzony plac, pełen szczątków i popiołu, gdzie systematycznie niszczone znakomite wyroby, które nie znalazły nabywcy.

Trochę pomogły loterie. Kiedy ludzi nie było stać na kupno drogich artykułów przemysłowych, mogli wciąż mieć nadzieję, że je wygrają. Na dziesiątki lat ostoją gospodarki stał się skomplikowany system rozprawiania ton błyszczących wyrobów. Ale na każdego szczęściarza, który wygrał samochód, lodówkę albo telewizor, przy-

padały miliony tych, co nic nie wygrali. Z biegiem lat zmieniały się nagrody loteryjne; przedmioty materialne zastąpiono realniejszymi dobrami: władzą i prestiżem. A na szczycie, na najwyższym stanowisku znalazł się rozdawca władzy – Lotermistrz, który kierował całą loterią.

Rozdział systemu społecznego od systemu ekonomicznego był powolny, stopniowy, ale nieodwracalny. Doszło do tego, że ludzie stracili wiarę w prawa natury. Nie było nic stałego, niezmiennego, wszechświat stał się rwącym potokiem. Nikt nie wiedział, co się zdarzy następnego dnia. Nie można było na nic liczyć. Uznawano powszechnie prawa statystyki, zanikło natomiast pojęcie skutku i przyczyny. Ludzie przestali wierzyć, że można władać środowiskiem, pozostała im tylko wiara w przypadkową kolej rzeczy, w pomyślny zbieg okoliczności, w szczęśliwy traf.

Powstała teoria Minimaxu, rodzaj stoickiej rezygnacji, odmowy uczestniczenia w bezcelowym wirze codziennej walki. Gracz stosujący taktykę Minimaxu nigdy się do końca nie angażuje, nic nie ryzykuje i nic nie zyskuje, ale też nie może być pokonany. Stara się ocalić to, co ma, i przetrwać dłużej niż pozostali gracze. Po prostu siedzi, czekając na koniec gry, dalej jego nadzieje nie sięgają.

Minimax, sposób na przetrwanie w wielkiej grze życia, został wynaleziony w dwudziestym wieku przez dwóch matematyków: von Neumanna i Morgensterna. Użyto go w drugiej wojnie światowej, w wojnie koreańskiej oraz w Wojnie Ostatecznej. Po strategach wojskowych teorią zainteresowali się finansiści. W połowie dwudziestego wieku von Neumann został powołany do amerykańskiej Komisji do spraw Energii Atomowej. Był to dowód rosnącego uznania dla jego teorii. A po dwustu pięćdziesięciu latach Minimax stał się podstawą rządu wszechświatowego.

W ten oto sposób Leon Cartwright, mechanik, elektronik i człowiek obdarzony sumieniem, został prestonitą.

Cartwright włączył kierunkowskaz i zjechał swym staromodnym wehikułem do krawężnika. Przed nim błyszczał w majowym słońcu brudnawy gmach Towarzystwa, wąski trzypiętrowy budynek z drewna, oznaczony jednym tylko szyldem, który sterczał nad sąsiednią pralnią: „TOWARZYSTWO PRESTONA. Wejście od podwórza”.

Cartwright zatrzymał się przed tylnym wejściem, prowadzącym do magazynów. Otworzył bagażnik i zaczął wyrzucać na chodnik pudła z broszurami. Przechodnie nie

zwracali na niego uwagi – kilka metrów dalej rozładowywał w ten sam sposób swoją ciężarówkę sprzedawca ryb. Po drugiej stronie ulicy ponury hotel zasłaniał pstrokate skupisko pasożytniczych sklepów i podejrzanych przedsiębiorstw: lombardów, domów publicznych, barów.

Podpierając pudła kolanami, Cartwright wnosił je do mrocznego magazynu Towarzystwa. Jedna tylko żarówka atroniczna świeciła słabo w wilgotnym mroku. Po obu stronach piętrzyły się zapasy – kolumny pak i metalowych skrzyń. Cartwright znalazł puste miejsce, złożył tam pudła i korytarzem przeszedł do małego, ciasnego biura.

Biuro i nieprzytulna poczekalnia były jak zwykle puste. Główne wejście do gmachu stało otworem. Cartwright sięgnął po stos listów, po czym usiadł na zapadającej się kanapie, rozłożył pocztę na stoliku i zaczął ją przeglądać. Nic ważnego: rachunki za druk i wysyłkę materiałów, kary z powodu nieuregulowania zaległych opłat za prąd, wodę i wywóz śmieci.

W jednej kopercie znalazł banknot pięciodolarowy i długi list, pisany drżącą ręką starej kobiety. Oprócz tego było jeszcze kilka niewielkich datków. W sumie Towarzystwo wzbogaciło się o trzydzieści dolarów.

–Oni już się bardzo niecierpliwią – powiedziała Rita O'Neill, stając w drzwiach. – Chyba trzeba będzie zacząć.

Cartwright westchnął. Wybiła godzina. Wstał, opróżnił popielniczkę, ułożył porządnie stos zaczytanych egzemplarzy Ognistej Tarczy Prestona i ociągając się, ruszył wąskim korytarzem za dziewczyną. Pod upstrzoną przez muchy fotografią Prestona, za wieszakiem, skręcił i przez zamaskowany otwór dostał się do ukrytego przejścia wewnętrznego, które biegło równoległe do normalnego korytarza.

Na widok Cartwrighta ludzie zebrani w niewielkiej sali konferencyjnej nagle umilkli. Wszystkie oczy skierowały się na niego, po pokoju przeszedł dreszcz nadziei, pomieszanej z lękiem. Niektórzy z ufnością przysuwali się do Cartwrighta. Znow podniosły się szepty, nastąpiła wrzawa. Wszyscy próbowali zwrócić na siebie jego uwagę. Kroczył powoli w stronę środka sali, otoczony pierścieniem podnieconych, gestykulujących ludzi.

–Nareszcie! – zawołał z ulgą Bili Konklin. Stojąca obok niego Mary Uzich dodała szybko:

–Czekaliśmy tak długo, że dłużej nie można!

Cartwright poszperał w kieszeniach i wyciągnął listę. Bardzo różni ludzie tłoczyli się niecierpliwie wokół niego. Sezonowi robotnicy meksykańscy, niemi i zastraszeni, ściskali kurczowo cały swój dobytek. Obok nich para mieszkańców wielkiego miasta z zaciętymi twarzami, palacz z odrzutowca, Japończycy pracujący w zakładach optycznych, wymalowana dziewczyna do łóżka, zbankrutowany właściciel pasmanterii, student agronomii, dyplomowany farmaceuta, kucharz, pielęgniarka, cieśla. Wszyscy pocili się, pchali, słuchali i obserwowali uważnie.

Każdy z nich miał talent w rękach, a nie w głowie. Zdobywali umiejętności przez lata praktyki i pracy,

w bezpośrednim kontakcie z rzeczami. Umieli hodować rośliny, zakładać fundamenty, naprawiać ciekące rury, konserwować maszyny, tkać materiały, gotować posiłki. Z punktu widzenia systemu rejestracji byli nieprzydatni.

–Myślę, że wszyscy już są – powiedział z przejęciem Jereti.

Cartwright westchnął błagalnie i podniósł głos, żeby go wszyscy słyszeli.

–Mam wam coś do powiedzenia, zanim odleciecie. Statek jest gotów do drogi, został sprawdzony przez naszych przyjaciół na lotnisku.

–Zgadza się – potwierdził kapitan Groves, imponujący srogi Murzyn w skórzanej kurtce, skórzanych butach i rękawiczkach.

Cartwright zgniótł kawałek metalowej folii.

–No to tyle – powiedział. – Czy ktoś ma jakieś wątpliwości? A może ktoś chce się wycofać?

Słowa te wywołały pewne poruszenie, ale nikt się nie zgłosił. Mary Uzich uśmiechnęła się do Cartwrighta, a później do młodego człowieka obok niej. Konklin objął ją i przytulił.

–Długo pracowaliśmy na tę chwilę – ciągnął Cartwright. – Poświęciliśmy wiele czasu i pieniędzy. Żałuję, że nie ma tu wśród nas Johna Prestona, byłby szczęśliwy. On wiedział, że to się kiedyś wreszcie zdarzy. Wiedział, że będzie statek skierowany poza planety skolonizowane, poza rejony, którymi włada Dyrektoriat. W głębi serca żywił pewność, że ludzie wyruszą na poszukiwanie nowych ziem, na poszukiwanie wolności. – Spojrzał na zegarek. – Do widzenia i powodzenia. Zaczynacie podróż. Nie wypuszczajcie z rąk amuletów. Groves niech siada do sterów.

Pasażerowie jeden po drugim zbierali swój skromny dobytek i powoli wychodzili z pokoju. Cartwright ścisnął im dłonie, mrużąc słowa nadziei i otuchy. Kiedy

wszyscy wyszli, stał przez chwilę, milczący i zamyślony, w opustoszałym pokoju.

–Cieszę się, że już po wszystkim – oznajmiła z ulgą Rita. – Obawiałam się, że niektórzy się wycofają.

–Nieznane zawsze budzi lęk. Ubi sunt leones... Pre-ston w jednej ze swych książek wspomina dziwne, zwodnicze głosy... – Cartwright nalał sobie kawy do kamionkowej filiżanki. – Nie jestem pewien, czy nasze zadanie tutaj nie jest gorsze – powiedział.

–Nie wierzyłam, że do tego dojdzie – stwierdziła Rita, gładząc bezwiednie swoje czarne włosy wąskimi, zręcznymi palcami. – Oto zmieniasz losy świata... Wszystko możesz zrobić.

–Nie wszystko – zaprzeczył oschle Cartwright. – Będę próbował, zacznę to i owo, coś innego skończę. Ale przecież mnie złapią, i to wkrótce.

Rita przeraziła się.

–Jak możesz tak mówić?

–Jestem realistą – odpowiedział ostro, niemal okrutnie. – Mordercy zabili każdego mera wybranego przez butelkę. Czy myślisz, że będą zwlekać z ogłoszeniem Konwencji Łowów? Mechanizm kontroli i kompensacji działa w tym systemie tak, żeby nas kontrolować, a im rekompensować straty. Z ich punktu widzenia ja złamałem reguły już przez to tylko, że chcę grać. Od tej chwili za wszystko, co mi się przydarzy, sam ponoszę winę.

–Czy oni wiedzą o statku?

–Wątpię – odparł Cartwright i dorzucił ponuro: -Mam nadzieję, że nie wiedzą.

–Możesz chyba wytrzymać, dopóki statek nie będzie bezpieczny. Czy to nie... – Rita urwała, odwracając się ze strachem.

Z zewnątrz dobiegł odgłos silników raketowych. Jakiś statek lądował na dachu, z metalicznym zgrzytem, jak stalowy chrząszcz. Potem dał się słyszeć ogłuszający

stuk, zgrzyt otwieranego włazu, wreszcie podniesione głosy i szybkie kroki na górnym piętrze. Na twarzy stryja Rita ujrzała krótki błysk przerażenia, poczuła, że on wie. Po chwili łagodne znużenie i spokój odmalowały się na jego twarzy, uśmiechnął się niepewnie do Rity.

–Już tu są – oznajmił głosem cichym, ledwie słyszalnym.

Ciężkie wojskowe buty zadudniły w korytarzu. Żołnierze Dyrektoriatu w zielonych mundurach ustawili się półkolem w sali konferencyjnej, za nimi pojawił się opanowany urzędnik z zamkniętą aktówką pod pachą.

–Leon Cartwright? – spytał, kartkując notes. – Proszę o dokumenty. Masz je przy sobie?

Cartwright wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki plastikową tubę, zerwał pieczęć i wyjął plik cienkich metalowych płytek. Po kolei kładł je na stole.

–Metryka. Świadectwa szkolne. Psychoanaliza. Książeczka zdrowia. Wyciąg z rejestru przestępstw. Zaświadczenie o statusie. Historia hołdów lennych. Zwolnienie z ostatniej przysięgi. I cała reszta.

Pchnął kupkę płytek w stronę urzędnika, po czym zdjął marynarkę i podwinął rękaw koszuli.

Urzędnik rzucił okiem na dokumenty, następnie porównał numer identyfikacyjny ze znaczkami wypalonymi głęboko na przedramieniu Cartwrighta.

–Odciski palców i encefalogram zbadamy później -powiedział, odsuwając stos dokumentów. – Zresztą to zbyteczne, wiem, że jesteś Leonem Cartwrightem. Ja jestem major Shaeffer z Gwardii telepatów Dyrektoriatu. W pobliżu są inni telepaci. Dziś rano, tuż po dziewiątej, nastąpiła zmiana władzy.

–Rozumiem – odparł Cartwright, opuszczając rękaw i ponownie wkładając marynarkę.

Major Shaeffer dotknął gładkiej krawędzi zaświadczenia o statusie Cartwrighta.

–Jesteś nierejestrowany?

–Tak.

–Przypuszczam więc, że twoja karta władzy znajduje się w archiwum Wzgórza. Taka jest zwykła procedura.

–Taka jest zwykła procedura – przyznał Cartwright -ale ja nie jestem lennikiem żadnego Wzgórza. Możesz sprawdzić w tych dokumentach, że na początku roku zostałem zwolniony.

Shaeffer wzruszył ramionami.

–W takim razie oczywiście wystawiłeś swą kartę „W” na sprzedaż na czarnym rynku- powiedział i zatrzasnął notes. – Większość obrotów butelki wskazuje nierejestrowanych, którzy są znacznie liczniejsi. Ale i tak karty władzy pozostają w rękach rejestrowanych.

Cartwright położył swoją kartę na stole.

–Oto moja.

–Co takiego?! – krzyknął zaskoczony Shaeffer. Szybko zbadał myśli Cartwrighta i na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia i niedowierzania. – Wiedziałaś?! Wiedziałaś, że to się stanie.

–Tak.

–Niemożliwe. To było przed chwilą, natychmiast tu przylecieliśmy. Wieść nie dotarła jeszcze do Yerricka, jesteś pierwszą osobą oprócz gwardzistów, która o tym wie. – Major zbliżył się do Cartwrighta. – Coś tu nie gra. Skąd wiedziałaś, że tak się stanie?

–Dwugłowe cielę – rzucił od niechcienia Cartwright. Telepata zamyślił się, wciąż badając umysł Cartwrighta. Nagle zrezygnował.

–Mniejsza o to – oznajmił. – Przypuszczam, że masz własne źródło informacji. Mógłbym je wykryć... jest w twoim mózgu, bardzo głęboko, dobrze osłonięte. – Wyciągnął dłoń. – Gratuluję. Jeżeli pozwolisz, rozloku-

jemy się tutaj. Za parę minut Yerrick dowie się o zmianie. Chcemy być przygotowani. – Wcisnął Cartwrightowi w dłoń kartę „W”. – Pilnuj jej dobrze. To w tej chwili twój jedyny tytuł do ubiegania się o stanowisko Loter-mistrza.

–Myślę... – zaczął Cartwright i odetchnął swobodniej – myślę, że mogę na was liczyć. – Ostrożnie schował kartę do kieszeni.

–Myślę, że tak – odpowiedział major, w zamyśleniu oblizując wargi. – To takie dziwne... Teraz jesteś naszym przełożonym, a Yerrick stał się niczym. Może trochę potrwać, nim przestawimy się psychicznie. Młodzi gwardziści, którzy nie pamiętają poprzednich Lotermistrzów... -Wzruszył ramionami. – Proponuję, żebyś chwilowo oddał się pod opiekę Gwardii. Nie możemy tu zostać, wielu mieszkańców Batawii składało Yerrickowi przysięgę osobistą, a nie służbową. Będzie trzeba zbadać każdego i systematycznie usuwać tych lenników. Yerrick potrzebował ich do zdobycia kontroli nad Wzgórzami.

–Wcale mnie to nie dziwi.

–Yerrick jest sprytny. – Shaeffer obrzucił Cartwrighta krytycznym spojrzeniem. – W ciągu swego panowania był wielokrotnie wyzywany. Wciąż ktoś próbował się przedrzeć. Mieliśmy dużo pracy, ale przecież chyba po to jesteśmy.

–Cieszę się, że przyjechaliście – powiedział Cartwright. – Kiedy usłyszałem hałas, myślałem, że to Yerrick.

–To byłby on, gdybyśmy go zawiadomili – przyznał major Shaeffer z błyskiem ponurego rozbawienia w oku. – Gdyby nie interwencja starszych telepatów, zapewne zawiadomilibyśmy najpierw jego i nie spieszyli się tak bardzo tutaj. Peter Wakeman podniósł ragan. Że obowiązek, że odpowiedzialność itede.

Cartwright zanotował sobie w myśli: trzeba będzie poszukać Petera Wakemana.

–Kiedy się tu zbliżaliśmy – mówił powoli Shaeffer – przechwyciliśmy myśli sporej grupy ludzi, którzy najwidoczniej opuszczali właśnie ten budynek. W ich głowach było twoje nazwisko i to miejsce.

Cartwright natychmiast stał się czujny.

–Czyżby?

–Oddalali się od nas, więc nie mogliśmy wszystkiego złapać. Szło o jakiś statek. I o daleki lot.

–Mówisz jak zawodowy wróżbita.

–Otaczało ich silne pole lęku i podniecenia.

–Nic mi o tym nie wiadomo – powiedział z naciskiem Cartwright i dodał ironicznie: – Może to była ucieczka dłużników.

Przed budynkiem Towarzystwa Rita O'Neill chodziła bez celu w kółko, czując nagłą pustkę. Wielka chwila nadeszła i minęła, teraz należała już do historii.

Obok gmachu Towarzystwa wznosił się niewielki zaniedbany sarkofag, w którym spoczywały doczesne szczątki Johna Prestona. Rita widziała ciemne, niefo-remne ciało, wiszące w poźółkłym, upstrzonym przez muchy sześcianie, z rękoma złożonymi na ptasiej piersi, z zamkniętymi oczyma i zbędnymi już okularami. Małe ręce, wykręcone artretyzmem. Zgarbiony krótkowidz. Sarkofag był zakurzony, wokół poniewierały się śmieci i odpadki, przyniesione przez wiatr. Nikt nie przychodził oglądać ciała Prestona. Sarkofag był opuszczonym, zapomnianym pomnikiem, który służył za mieszkanie smętnemu trupowi, bezsilnemu i niepotrzebnemu.

A pół mili stąd, na lądowisku, pasażerowie wysiadali z kolumny archaicznych samochodów. Poobijany statek do przewozu rudy tkwił tuż przy podejściu. Ludzie bez-

ładnie wspinali się po wąskiej metalowej drabince do obcego wnętrza statku.

Fanatycy wybierali się w podróż. Ruszali w nieznaną przestworza, aby odnaleźć i objąć we władanie mityczną dziesiątą planetę Układu Słonecznego, legendarną Ognistą Tarczę, bajeczną krainę Johna Prestona, poza granicami świata znanego

człowiekowi.

3.

Zanim Cartwright dotarł do siedziby Dyrektoriatu w Batawii, wszyscy już wiedzieli o zmianie. Nowy Lo-termistrz siedział wpatrzony w ekran telewizora, a szybka rakietka międzykontynentalna pruća niebo nad południowym Pacyfikiem. W dole rozciągał się niebieski ocean i niezliczone czarne kropki, konglomeracje metalowo-plastikowych łodzi-domów, w których mieszkali Azjaci-kruche platformy, sięgające od Hawajów po Cejlon.

Ekran pulsował gorączkowo. Twarze pojawiały się i znikaly, sceny zmieniały się z oszałamiającą szybkością. Pokazywano historię dziesięciu lat panowania byłego Lotermistrza: zdjęcia potężnej postaci Yerricka i podsumowanie jego osiągnięć. Były też mgliste doniesienia o Cartwrightcie.

Bohater roześmiał się w duchu nerwowo, wprawiając w zaniepokojenie telepatów. Nic o nim nie wiedzą prócz tego, że ma jakieś powiązania z Towarzystwem Presto-na. Automatyczne reportery wygrzebały ile się dało o Towarzystwie – nie było tego wiele. Pokazano urywki z życia samego Johna Prestona, jak – kruchy i drobny -dreptał od bibliotek do laboratoriów, jak pisał swe książki, zbierał niezliczone fakty, jak spierał się bezskutecznie z uczonymi w piśmie, jak utracił przywilej rejestracji, jak wreszcie stoczył się i zmarł w zapomnieniu. Potem wzniesienie skromnego sarkofagu.

Pierwsze posiedzenie

Towarzystwa. Druk pół obłąkanych, pół proroczych książek Prestona...

Cartwright miał nadzieję, że nic więcej nie wiedzą. Trzymał w myśli kciuki i wpatrywał się w ekran.

Jest teraz najwyższym władcą układu dziewięciu planet. Jest Lotermistrzem, otoczonym Gwardią telepatów, dysponującym olbrzymią armią, marynarką wojenną i policją. Jest uznanym nadzorcą mechanizmu butelki losu, a także wielkiego aparatu rejestracji, loterii i szkół treningowych dla telepatów.

Z drugiej strony istnieje pięć Wzgórz, przemysłowy kompleks, na którym opiera się system społeczny i polityczny.

–Co osiągnął Yerrick? – spytał Cartwright majora Shaeffera.

Shaeffer zajrzał w jego myśli, żeby stwierdzić, o co chodzi.

–Ach, świetnie sobie radził. Do sierpnia miał wyeliminować przypadkowy obrót butelki i zniszczyć całą strukturę Minimaxu.

–Gdzie się teraz podziewa?

–Poleciał z Batawii na Wzgórze Farben, gdzie ma największe poparcie. Stamtąd będzie działał. Przechwyciliśmy część jego planów.

–Widzę, że Gwardia może być bardzo użyteczna.

–Do pewnych granic. Naszym zadaniem jest zapewnić ci bezpieczeństwo i tylko tyle. Nie jesteśmy szpiegami ani tajnymi agentami. Strzeżemy tylko życia Loter-mistrza.

–Z jakim rezultatem?

–Gwardia powstała sto sześćdziesiąt lat temu. Od tego czasu chroniliśmy pięćdziesięciu dziewięciu Lotermi-strzów. Z tej liczby udało nam się ocalić jedenastu.

–Jak długo rządzą?

–Jedni parę minut, inni całymi latami. Yerrick rzą-

dził niemal najdłużej, jedynie stary McRae od roku siedemdziesiątego ósmego utrzymał się całe trzynaście lat. Gwardia wykryła wówczas ponad trzystu

morderców, ale nie zrobilibyśmy tego, gdyby nam McRae nie pomagał. To był szczywany lis. Czasem myślę, że był telepatą.

Cartwright zadumał się.

–A więc Gwardia telepatów, którzy czuwają nad moim życiem. I publiczni mordercy...

–Nigdy więcej niż jeden naraz. Oczywiście, może cię zamordować amator, nie zatwierdzony przez Konwencję. Ktoś z prywatną urazą. Ale to się rzadko zdarza. Nic by mu z tego nie przyszło, straciłby tylko kartę „W”. A to oznacza neutralizację polityczną, już nigdy nie mógłby zostać Lotermistrzem. Butelkę trzeba by przesunąć o jeden obrót. Zupełnie nieopłacalna impreza.

–Jakie są moje szanse statystyczne?

–Przeciętnie rzecz biorąc, dwa tygodnie.

Tylko dwa tygodnie, a Yerrick jest sprytny. Łowy nie będą sporadycznymi akcjami nieznanymi jednostek żadnych władzy. Yerrick wszystko zorganizuje. Sprawna, skoordynowana machina będzie raz po razie wypuszczać morderców, którzy bez końca będą ścigać jak ćmy do Batawii, aż osiągną cel – zniszczą Leona Cartwrighta.

–W twoim umyśle – powiedział major – widzę ciekawy wir, złożony ze zwykłego strachu i niezwykłego zespołu symptomów, których nie potrafię zanalizować. Coś o statku powietrznym.

–Masz prawo obserwować czyjś umysł, kiedy zechcesz?

–To nie zależy ode mnie. Gdybym tu siedział i gadał, też musiałbyś mnie słyszeć. Kiedy jestem w grupie ludzi, ich myśli zamazują się, jak głosy na przyjęciu, gdy wszyscy mówią naraz. Ale teraz jesteśmy sami. Ten statek jest już w drodze – ciągnął. Daleko nie zaleci. Na

pierwszej planecie, gdzie spróbują szczęścia... czy to na Marsie, czy na Jowiszu, czy na Ganimesesie...

–Statek leci dalej, poza znane planety- przerwał Cartwright. – Nie chodzi nam o założenie nowej „dzikiej” kolonii.

–Wiele się spodziewacie po tym starym transportowcu.

–Na tym statku jest wszystko, co posiadamy.

–I sądzisz, że utrzymasz się dostatecznie długo przy władzy?

–Mam nadzieję.

–Ja też – powiedział obojętnie Shaeffer, po czym wychylił się, wskazując kwitnącą wyspę, która wyłoniła się przed i pod nimi. – Kiedy wylądujemy, będzie tam na ciebie czekał człowiek Yerricka.

–Już? – zachnął się Cartwright.

–Nie morderca. Jeszcze nie zwołano Konwencji Łowów. To jeden z osobistych lenników Yerricka. Nazywa się Herb Moore. Przeszukano go, nie ma broni. Chce tylko z tobą porozmawiać.

–Skąd wiesz?

–Od kilku minut mam łączność z centralą Gwardii. My, telepaci, udzielamy sobie wzajemnie przetworzonych informacji. Jesteśmy jakby łańcuchem... Nie masz się czego obawiać, co najmniej dwóch z nas będzie z tobą przez cały czas rozmowy.

–A gdybym nie chciał z nim mówić?

–Masz prawo.

Cartwright wyłączył telewizor. Statek opuszczał się na wielkie magnetyczne uchwyty.

–A co byś radził?

–Porozmawiaj z nim, posłuchaj, co ma do powiedzenia. Zorientujemy się z grubsza, co nam grozi.

Herb Moore był przystojnym, trzydziestoparoletnim blondynem. Podniósł się z wdziękiem z fotela, kiedy Cartwright, Shaeffer i dwóch innych gwardzistów weszli do głównego hallu siedziby Dyrektoriatu.

–Witaj – powiedział Moore do Shaeffera pogodnym głosem.

Shaeffer otworzył drzwi prowadzące do wewnętrznych biur i stanął z boku, przepuszczając Cartwrighta. Nowy Lotermistrz po raz pierwszy ujrzał swoje włości. Stanął w progu, z marynarką w ręce, kompletnie oczarowany tym, co zobaczył.

–Duży przeskok z budynku Towarzystwa – powiedział w końcu. Wolnym krokiem podszedł do biurka i dotknął gładkiego mahoniowego blatu.

–To dziwne... – mówił dalej. – Miałem abstrakcyjne pojęcie o władzy, jako możliwości robienia tego czy owego. Rozumiałem to wszystko w formie symboli, tymczasem widok tych dywanów i olbrzymiego biurka...

–To nie twoje biurko – wtrącił major Shaeffer. – Tb biurko twojej sekretarki, Eleonory Stevens, byłej telepatki.

–Ach, tak. – Cartwright zaczerwienił się. – A gdzie ona jest?

–Odleciała z Yerrickiem. Ciekawa sytuacja. Major Shaeffer zatrzaskał drzwi, zostawiając Herba Moore'a w komfortowym hallu.

–Była w Gwardii od niedawna – ciągnął major. – Przyszła, gdy Yerrick był już Lotermistrzem. Miała siedemnaście lat i Yerrick był pierwszą osobą, której w życiu służyła. Po kilku latach zamieniła przysięgę służbową na przysięgę osobistą. Kiedy Yerrick wyjeżdżał, spakowała manatki i poleciała z nim.

–Więc Yerrick ma do swej dyspozycji telepatkę.

–Zgodnie z prawem Eleonora straciła górny nadpłat mózgowy. Ciekawe, że doszło w ogóle do tak daleko posuniętej wierności. O ile mi wiadomo, nie żyją ze sobą.

Dziewczyna była kochanką Moore'a, tego młodzieńca, który czeka w hallu.

Cartwright przechadzał się po luksusowym sekretariacie, oglądał szafy na akta, potężne monitory mzpw, krzesła, biurko, zmieniające się według praw przypadku wzory na ścianach.

–Gdzie jest mój gabinet?

Shaeffer energicznie pchnął ciężkie drzwi. Wraz z dwoma gwardzistami ruszył za Cartwrightem przez mnóstwo punktów kontrolnych i grubych barier ochronnych, aż dotarli do ponurej, masywnej komnaty zbudowanej z rekseroidu.

–Gabinet duży, ale skromny – powiedział Shaeffer. – Yerrick był realistą. Kiedy został Lotermistrzem, tutaj mieścił się mały harem: wszędzie wokół leżały dziewczyny do łóżka, było mnóstwo alkoholu, tapczanów, muzyki i zmieniających się barwnych świateł. Yerrick wyrzucił ten cały kram, dziewczęta zesłał na Marsa do obozu pracy, zniszczył wszystkie ozdóbki i zbudował t o. – Zastukał w ścianę, odezwała się głuchym echem. – Ponad sześć metrów rekseroidu. Nie da się tego ani zbombardować, ani przewiercić. Gabinet jest chroniony przed promieniowaniem, ma własny system wentylacyjny, własną kontrolę wilgotności i temperatury oraz zapasy żywności. – Otworzył jedną z szaf. – Spójrz. – Szafa była małym arsenalem. – Yerrick umie posługiwać się każdym typem broni palnej. Raz w tygodniu jechaliśmy w dżunglę, strzelając do wszystkiego, co się rusza. Do gabinetu można wejść tylko przez te drzwi. Albo... -Shaeffer przebiegł palcami po jednej ze ścian. – Yerrick zawsze lubił pułapki. Sam to zaprojektował i czuwał nad budową od początku do końca. Kiedy rzecz była gotowa, wszyscy robotnicy poszli do obozu, jak niewolnicy, którzy budowali grobowce faraonów. Gwardia nie była dopuszczona do ostatniego etapu.

–Dlaczego?

–Ponieważ Yerrick zainstalował tu urządzenia, których nie zamierzał używać w czasie pełnienia funkcji Lotermistrza. Udało nam się jednak stelepowac kilku robotników, kiedy ładowano ich na statki. Telepaci są zawsze ciekawi, kiedy próbuje się coś przed nimi ukryć. – Major odsunął kawałek ściany. – Oto specjalne przejście Yerricka. Pozornie jest to wyjście. W rzeczywistości... wejście.

Cartwright usiłował nie zważać na zimny pot, który oblał mu dłonie. Przejście otwierało się zaraz za ogromnym metalowym biurkiem. Nietrudno wyobrazić sobie, jak rekseroidowa ściana rozsuwa się i morderca staje za plecami nowego

Lotermistrza.

–Co proponujesz? Mam rozkazać, żeby zaplombowano otwór?

–Nasza strategia eliminuje możliwość użycia tego przejścia. Umieścimy kapsułki z gazem pod podłogą wzdłuż całego korytarzyka i nie będziemy się nim przejmować. Morderca zginie, nim dotrze do wewnętrznych drzwi.

Shaeffer wzruszył ramionami.

–To najmniejsze niebezpieczeństwo – dodał.

–Posłucham twojej rady – wykrztusił Cartwright. – Czy jest jeszcze coś, o czym powinienem wiedzieć?

–Powinieneś wysłuchać Moore'a. To wybitny biochemik, swego rodzaju geniusz. Ma pieczę nad laboratoriami badawczymi Wzgórza Farben, tutaj pojawił się po raz pierwszy od wielu lat. Próbowaliśmy dowiedzieć się czegoś telepatycznie o jego pracy, ale szczerze mówiąc, to dla nas za trudne, zbyt fachowe.

Wtrącił się jeden z telepatów, niewysoki, elegancko ubrany mężczyzna z wąsikami i przeredzoną czupryną, który trzymał w ręce kieliszek.

–Ciekawe, ile swoich myśli Moore świadomie formułuje w żargonie technicznym, żeby nas zmylić.

–To jest Peter Wakeman – powiedział Shaeffer.

Cartwright i Wakeman uścisnęli sobie dłonie. Palce telepaty były zgrabne i delikatne, niemal nieśmiałe, zupełnie inne niż znane dotąd Cartwrightowi silne palce nierejestrowanych. Wprost trudno było uwierzyć, że ten człowiek stał na czele Gwardii, że to on w krytycznej chwili przeciwstawił Gwardię Yerrickowi.

–Dziękuję – powiedział Cartwright.

–Nie ma za co. Nie zrobiłem tego przecież dla ciebie. Telepata również przyglądał się wysokiemu mężczyźnie z zainteresowaniem.

–W jaki sposób zostaje się prestonitą? Nie czytałem żadnej książki Prestona. Ile ich było, trzy?

–Cztery.

–Preston był ekscentrycznym astronomem, który chciał, żeby obserwatoria szukały jego planety, prawda? Nastawiono teleskopy i nic nie znaleziono. Potem Preston poleciał w kosmos i w końcu zmarł w swoim statku. Kiedyś przekartkowałem Ognistą Tarczę. Dostałem tę książkę od kompletnego dziwaka. Próbowałem go tele-pować. Odebrałem tylko chaotyczną gmatwaninę uczuć i namiętności.

–Co odbierasz u mnie? – spytał Cartwright w napięciu.

Przez chwilę panowało zupełne milczenie. Trzech telepatów pracowało nad Lotermistrzem, który wpatrywał się w olbrzymi telewizor stojący w rogu gabinetu i starał się nie zwracać na nich uwagi.

–Mniej więcej to samo – powiedział wreszcie Wakeman. – Twoja faza nie pasuje do dzisiejszego społeczeństwa. Minimax kładzie duży nacisk na arystotelesowską zasadę złotego środka. U ciebie wszystko wiąże się z twoim statkiem. Wóz albo przewóz. Jeśli statek przepadnie, będzie to także twój koniec.

–Statek nie przepadnie – rzucił opryskliwie Cartwright.

Trzej telepaci uśmiechnęli się.

–W świecie przypadku niczego nie można przewidzieć – stwierdził oschle Shaeffer.
– Prawdopodobnie statek zostanie zniszczony. Ale może mu się też udać.

–Bardzo jestem ciekaw – wtrącił Wakeman – czy po rozmowie z Moore'em nadal będziesz pewien sukcesu.

Herb Moore zgrabnie poderwał się na nogi, kiedy Cart-wright i Wakeman weszli do hallu.

–Siadaj – powiedział Cartwright. – Porozmawiamy tutaj.

Moore nie usiadł.

–Nie zabiorę panu dużo czasu. Wiem, że ma pan liczne obowiązki.

Wakeman chrząknął z niezadowoleniem.

–O co chodzi? – spytał Cartwright.

–Powiedzmy w ten sposób. Pan przyszedł, Yerrick odszedł. Objął pan najwyższe stanowisko w Układzie Słonecznym. Tak?

–Jego strategia – powiedział zamyślony Wakeman, polega na tym, żeby cię przekonać, że jesteś amatorem. Tyle możemy odczytać z jego myśli. Chciałby wmówić w ciebie, że jesteś czymś w rodzaju dozorczy czy odźwiernego, który usiadł na stołku szefa, podczas gdy ten załatwia jakieś ważne sprawy.

Moore zaczął chodzić w kółko, z policzkami czerwonymi z emocji, i żywo gestykulował pod wpływem słów, które strumieniem płynęły z jego ust.

–Reese Yerrick był Lotermistrzem przez dziesięć lat. Dzień w dzień urzędowano na niego Łowy i zawsze wygrywał. Krótko mówiąc, Yerrick jest wybitnym przywódcą. Działał na tym stanowisku mądrzej i sprawniej niż wszyscy poprzedni Lotermistrze razem wzięci.

–Z wyjątkiem McRaego – wtrącił Shaeffer, wchodząc do hallu. – Nie zapominaj o nim. – Major rozrzewnił się. – Stary, dobry McRae.

Cartwrightowi zrobiło się niedobrze. Rzucił się na miękki fotel i czekał bez ruchu, aż mebel dostosuje się do jego wagi i kształtów. Dyskusja toczyła się bez niego – szybkie riposty dwóch telepatów i młodego, bystrego poplecznika Yerricka oddaliły się jak sen. Próbował skupić uwagę na ich argumentach, ale jakoś go nie interesowały.

Po części Herb Moore ma rację. Cartwright rzeczywiście wdarł się do cudzego biura, na cudze stanowisko, w cudze problemy. Ciekawe, gdzie jest teraz statek. Jeśli nie zaszły żadne przeszkody, powinien wkrótce minąć Marsa i pas planetoid. Czy już urwali się celnikom? Spojrzał na zegarek. Właśnie w tej chwili statek nabierał prędkości.

Obudził go ostry głos Moore'a. Wyprostował się i otworzył oczy.

–No i dobrze – wołał podniecony Moore. – Wici zostały rozesłane przez mzpw. Konwencja zbierze się prawdopodobnie na Wzgórzu Westinghouse, tam jest najwięcej hoteli.

–Tak – mruknął Wakeman przez zęby. – To miejsce, gdzie zazwyczaj zbierają się mordercy. Jest tam mnóstwo tanich pokoików.

Wakeman i Moore rozmawiali o Konwencji Łowów.

Cartwright wstał niepewnie.

–Chcę porozmawiać z Moore'em. Odejdźcie obaj. Gdziekolwiek.

Telepaci porozumieli się w milczeniu i ruszyli do drzwi.

–Uważaj – ostrzegł Lotermistrza Wakeman. – Miałeś dziś dużo przeżyć. Masz podwyższony wskaźnik pobudliwości.

Cartwright zamknął drzwi za telepatami i zwrócił się do Moore'a:

–A teraz załatwmy tę sprawę raz na zawsze.

Moore uśmiechnął się, pewien siebie.

–Jak pan sobie życzy. Pan jest szefem.

–Ale nie twoim szefem.

–To prawda. Kilkoro z nas zachowało wierność Ree-se'owi. Kilkoro nie zawiodło go.

–Musisz go bardzo cenić.

Wyraz tworzy Moore'a mówił sam za siebie.

–Reese Yerrick to wielki człowiek, proszę pana. Dokonał wielu wspaniałych rzeczy. Pracuje na dużą skalę. Kieruje się tylko rozumem.

–Czego oczekujecie ode mnie? Mam mu oddać stanowisko? – Cartwright sam słyszał emocję w swoim głosie. – Nie zamierzam rezygnować. Choćby to było irracjonalne. Jestem tutaj i tutaj zostanę. Nie dam się zastraszyć! Nie dam się wyśmiać!

Jego głos rozbrzmiewał echem. Cartwright krzyczał. Z trudem udało mu się uspokoić. Herb Moore uśmiechał się pogodnie i ciepło.

Mógłby być moim synem, pomyślał Cartwright. Nie ma chyba trzydziestki, a ja – sześćdziesiąt trzy. Jest jeszcze chłopcem, cudownym dzieckiem.

Cartwright próbował bezskutecznie opanować drżenie rąk. Był podniecony. Ledwie mógł mówić. Był zupełnie wykończony. I w dodatku bał się.

–Pan nie potrafi rządzić – powiedział spokojnie Moore. – To nie pańska domena. Kim pan jest? Zbadałem dokładnie całe dossier. Urodził się pan 5 października 2140 roku pod Wzgórzem Imperia. Mieszkał pan tam całe życie. Dziś po raz pierwszy jest pan na tej półkuli, nie mówiąc już o innych planetach. Ukończył pan darmową dziesięciolatkę. Nigdy w niczym się pan nie wyróżniał. W szkole średniej opuszczał pan przedmioty, które wymagają myślenia abstrakcyjnego, i wybierał zajęcia manualne. Na przykład spawanie i naprawę urządzeń elektrycznych. Jakiś czas interesował się pan dru-

karstwem. Po ukończeniu szkoły pracował pan w fabryce obrabiarek jako mechanik. Zaprojektował pan kilka drobnych ulepszeń w pulpicie sterowniczym, ale Dyrektoriat odrzucił te patenty, uznając je za nieistotne.

–Te ulepszenia – wydusił z siebie Cartwright – wprowadzono rok później do samego mechanizmu butelki.

–Od tego czasu zgorzkniał pan. Obsługiwał pan butelkę w Genewie i widział realizację swoich wynalazków. Ponad pięć tysięcy razy próbował pan zdobyć rejestrację, ale zawsze brakło panu wiedzy teoretycznej. Zrezygnował pan, mając lat czterdzieści dziewięć. Rok później wstąpił pan do tej dziwacznej sekty, do Towarzystwa Prestona.

–Przez sześć lat brałem udział w zebraniach.

–Nie było wówczas wielu członków i w końcu wybrano pana na przewodniczącego Towarzystwa. Wszystkie swoje pieniądze i cały swój czas włożył pan w tę szaloną imprezę. Stała się ona pańską idee fixe, pańską manią. – Moore rozpromienił się, jakby rozwiązał zawile równanie. – A teraz objął pan stanowisko Lotermistrza, zwierzchnika całej ludzkiej rasy, miliardów ludzi, nieskończonej obfitości charakterów i rzeczy, może jedynej cywilizacji we wszechświecie. I na to wszystko patrzy pan pod kątem rozszerzenia swojego Towarzystwa.

Cartwright zachłysnął się.

–Co ma pan zamiar zrobić? – nalegał Moore. – Wydrukować traktaty Prestona w kilku trylionach egzemplarzy? Sporządzić jego olbrzymie trójwymiarowe portrety i rozprowadzić je po całym Układzie Słonecznym? Wznosić pomniki, wielkie muzea pełne jego ubrań, zębów ze sztucznej szczęki, butów, ścinków paznokci, guzików... świątynie, które będą zwiedzać wierni? Ma pan jeden pomnik: jego doczesne szczątki w rozwalonej szopie na przedmieściach Wzgórza Imperia, kości wystawione na pokaz, szczątki świętego, których można dotknąć, do których można się modlić... Czy do tego pan

dąży, do nowej religii, do nowego boga? Czy chce pan zorganizować wielkie flotylle statków powietrznych, wysyłać niezliczone armady w poszukiwaniu jego mistycznej planety?

Widząc, że Cartwright blednie, Moore kuł żelazo póki gorące.

–Mamy wszyscy poświęcić się przeczesywaniu przestrzeni międzyplanetarnej w poszukiwaniu Ognistej Tarczy, czy jak tam on ją nazwał? Niech pan sobie przypomni Robina Pitta, trzydziestego czwartego Lotermi-strza. Miał dziewiętnaście lat, był chorym psychicznie homoseksualistą. Całe życie spędził u boku matki i siostry. Czytał stare kroniki, malował obrazy, zapisywał schizofreniczny ciąg skojarzeń.

–Pisał poezję.

–Był Lotermistrzem tygodni. Potem, dzięki Bogu, padł w Łowach. Chodził po dżungli za Batawią, zbierał polne kwiaty i pisał sonety. Czytał pan o nim. Może nawet żył pan już wtedy.

–Miałem trzynaście lat, kiedy go zamordowano.

–Pamięta pan, jaki los szykował ludzkości? Niech pan sobie przypomni. Po co istnieją Łowy? Cały system butelki ma nas chronić: wynosi on i obala na oślep, wybiera przypadkowe jednostki w przypadkowych odstępach czasu. Nikt nie może rozmyślnie zdobyć władzy ani jej utrzymać. Nikt nie wie, kim będzie za rok, za tydzień. Nikt nie może zaplanować, że zostanie dyktatorem: władza przychodzi i odchodzi zależnie od układu swobodnych cząstek elementarnych. Łowy strzegą nas przed innym niebezpieczeństwem. Chronią nas przed dyletantami, przed głupcami i szaleńcami. Jesteśmy absolutnie bezpieczni: ani despoty, ani idioty.

–Nie jestem idiotą – wyszeptał ochryple Cartwright. Sam się zdziwił brzmieniem swojego głosu. Mówił cicho, płacząco i bez przekonania.

Moore uśmiechnął się szeroko – nie miał już wątpliwości.

–Potrzebuję trochę czasu, żeby się przystosować -dokończył z trudem Cartwright.

–Sądzi pan, że potrafi się przystosować? – spytał Moore.

–Tak!

–Wątpię. Ma pan w przybliżeniu dwadzieścia cztery godziny. Tyle mniej więcej zajmie zwołanie Konwencji Łowów i wybór pierwszego kandydata. Będzie z kogo wybierać.

Szczupłe ciało Cartwrighta nagle drgnęło.

–Dlaczego?

–Yerrick przeznaczył milion dolarów w złocie dla tego, kto pana zabije. Oferta jest aktualna, dopóki pan nie zginie.

Cartwright słyszał słowa, ale nie pojmował ich sensu. Jak przez mgłę dotarło do niego, że Wakeman pojawił się w hallu i podszedł do Moore'a. Obaj odeszli, rozmawiając po cichu. Ich głosy ledwie było słychać.

Jak mrozący krew w żyłach koszmar zdanie o milionie dolarów w złocie zapadło w mózg Cartwrighta. Będzie wielu chętnych. Za tę sumę może kupić na czarnym rynku cały pakiet rejestracji. Najlepsze głowy świata zaryzykują życie – w społeczeństwie, które jest nieustannym hazardem, wieczną loterią.

Wakeman podszedł do niego, kiwając głową.

–Co za ruchliwy umysł. Nie wszystko udało nam się złapać. Myślał o ciałach, o bombach, o mordercach i o przypadku. Już pojechał.

–Wszystko, co mówił, jest prawdą – wykrztusił Cartwright. – Ma rację: dla mnie nie ma tu miejsca. Ja tu nie pasuję.

–Jego plan polegał na tym, żeby to właśnie w ciebie wmówić.

–Ale to prawda!

Wakeman niechętnie przytaknął.

–Wiem. Dlatego to jest dobra strategia. Ale my też, jak sądzę, mamy dobrą strategię. Dowiesz się wszystkiego we właściwym czasie. – Nagle chwycił Cartwrighta za ramię. – Może byś usiadł. Zaraz dam ci coś do picia. Yerrick zostawił tu kilka skrzynek prawdziwej szkockiej whisky.

Cartwright bez słowa pokręcił głową.

–Jak chcesz.

Wakeman wyjął chusteczkę i otarł sobie czoło. Ręce mu drżały.

–Ja jednak się napiję, jeśli pozwolisz. Myślę, że po telepowaniu tej tryskającej energią i patologicznie rozmytej osobowości zasłużyłem na szklaneczkę whisky.

Ted Benteley stanął w drzwiach kuchni, wdychając zapach gotującego się jedzenia. Dom Davisów był jasny i przyjemny. Al Davis, bez butów, siedział zadowolony przed telewizorem i wpatrywał się w reklamy. Jego żona, Laura, ładna szatynka, przygotowywała kolację.

–Jeżeli to jest protyna – zwrócił się do niej Benteley – to w życiu nie czułem lepiej spreparowanego zapachu.

–My nie używamy protyny – odpowiedziała z werwą Laura. – Próbowaliśmy w pierwszym roku naszego małżeństwa, ale nawet najlepiej przyrządzona zachowuje swój smak. Żywność naturalna jest oczywiście strasznie droga, jednak warto ją kupować. Protyna to dobre dla nierów.

–Gdyby nie protyna – wtrącił się do rozmowy Al -niery wymarłyby śmiercią głodową w dwudziestym wieku. Jak każdy laik, wciąż powtarzasz błędne informacje. Pozwól, że ci to wszystko wyjaśnię.

–Proszę – powiedziała Laura.

–Protyna nie jest naturalnym glonem. Jest to odmiana, która została wyhodowana w sztucznych zbiornikach na Bliskim Wschodzie, a następnie rozprzestrzeniła się po rozmaitych obszarach świeżej wody.

–Wiem coś o tym. Codziennie rano, kiedy idę do łazienki, widzę to świństwo, jak porasta umywalkę, rury, wannę... no i resztę.

4.

–Protyna porasta także Wielkie Jeziora- poinformował ją Al.

–W każdym razie to nie jest protyna – powiedziała Laura do Teda. – Wszystko jest prawdziwe: rostbef, młode kartofle, zielony groszek i białe pieczywo.

–Powodzi się wam dużo lepiej niż wówczas, gdy byłem tu ostatni raz – stwierdził Benteley. – Skąd te zmiany?

Kilka uczuć naraz odmalowało się na ładnej twarzązce Laury.

–Nie słyszałeś o tym? Al awansował o całą klasę. Wygrał Kwiz. Uczyliśmy się razem każdego wieczoru, kiedy wracał z pracy.

–Nigdy jeszcze nie spotkałem kogoś, kto wygrał Kwiz. Mówili o tym w telewizji?

–Tak – skrzywiła się niechętnie Laura. – Ten okropny Sam Oster gadał o tym przez cały program. To demagog, ma wielkie powodzenie wśród nierów.

–Obawiam się, że go nie znam – wyznał Benteley.

Na ekranie telewizora wspaniałe reklamy pojawiały się i znikaly jak żywy ogień. Reklamy są najwyższym gatunkiem sztuki- pracują nad nimi najbardziej utalentowani twórcy. Kolor, harmonia i rytm reklam pulsowały w nieustannym ruchu i emanowały z ekranu na przytulne mieszkanie Davisów. Z głośników ukrytych w ścianach płynęły przypadkowe kombinacje towarzyszących obrazowi dźwięków.

–Konwencja – powiedział Davis, wskazując ekran. – Poszukują chętnych i obiecują niezłą nagrodę.

Wibrujące światła i kolorowe pętle na ekranie telewizora symbolizowały Konwencję Łowów. Wirujące linie rozeszły się, znieruchomiały i utworzyły nową kombinację.

Potem pojawił się układ kuł tańczących szaleńczo przy akompaniamencie gorączkowego crescenda.

–Co to oznacza? – spytał Benteley.

–Jeśli chcesz, mogę przełączyć na pierwszy kanał. Tam mówią wprost.

Weszła Laura, niosąc srebra i porcelanę.

–Nie nastawiaj jedyńki, to dobre dla nierów. Właśnie dlatego są dwa kanały: ten dla nas, a dosłowny dla nich.

–Mylisz się, kochanie – powiedział rzeczowo Al. – Kanał pierwszy służy do przekazywania informacji o faktach i wiadomości. Kanał S jest dla przyjemności, dla rozrywki. Mnie osobiście ten kanał najbardziej odpowiada, ale... – Pstryknął palcami i obraz zmienił się raptownie. Znikły ruchliwe wiry dźwięków i barw. Na ich miejsce pojawiła się pogodna twarz spikera Wzgórza Westinghouse. – Tu masz to samo – dodał.

Laura nakryła do stołu i wróciła do kuchni. Pokój Davisów był przytulny i komfortowy. Jedna ściana, cała przezroczysta, odsłaniała widok na domy Berlina, skupione wokół Wzgórza Farben – gigantycznego stożka czerniejącego na tle wieczornego nieba. W ciemnościach poruszały się żółtawe światełka – to samochody powierzchniowe, płasające jak żółte iskierki wśród cieniów chłodnego wieczoru, znikwały we wnętrzu stożka, niczym żarzące się ćmy w ogniu kosmicznej lampy.

–Od jak dawna jesteś lennikiem Yerricka? – spytał Ala Benteley.

Al oderwał się od telewizora, w którym mówiono akurat o nowych eksperymentach z reaktorami C-plus.

–Słucham? Jakież trzy-cztery lata.

–Jesteś zadowolony?

–Oczywiście, czemu nie? Kto by nie był zadowolony? – powiedział Al, wskazując na ładnie urządzonej pokój.

–Nie mówię o tym. Miałem podobne mieszkanie w Oiseau-Lyre, tak jak większość rejestrowanych. Pytam o Yerricka.

Al Davis usiłował zrozumieć, o co chodzi Benteleyowi.

–Nigdy nie widziałem Yerricka. On był zawsze w Ba-tawii, aż do dziś.

–Wiedziałaś, że złożyłem mu przysięgę?

–Mówiłeś mi to godzinę temu- powiedział Davis, zwracając ku Benteleyowi spokojną i beztroską twarz. – Mam nadzieję, że w związku z tym przeniesiesz się tutaj.

–Dlaczego? Davis zamrugał.

–Jak to? Dlatego, że wówczas spotykalibyśmy się częściej z tobą i z Julie.

–Już od sześciu miesięcy nie jestem z Julie – powiedział niecierpliwie Benteley. – Zerwaliśmy. Ona jest teraz na Jowiszu, pracuje w administracji obozu pracy.

–Hm... Nie wiedziałem. Nie widzieliśmy się ładnych parę lat. Byłem kompletnie zaskoczony, kiedy zobaczyłem twoją gębę w mzpw.

–Przyleciałem z Yerrickiem i jego ekipą. – Tu głos Benteleya nabrał ironicznego tonu. – Zwolniony z Oiseau-Lyre poleciałem prosto do Batawii. Chciałem raz na zawsze zerwać ze Wzgórzami. Poszedłem wprost do Yerricka.

–Bardzo słusznie.

–Yerrick mnie nabrał! Już wtedy był obalony, nie miał żadnej władzy... Wiedziałem, że ktoś w Dyrektoriacie próbuje przelicytować Wzgórze. Ktoś, kto dysponuje olbrzymimi pieniędzmi. Nie chciałem mieć z tym nic wspólnego... a teraz sam widzisz. Zamiast się wyrwać z bagna, trafiłem tu, gdzie najbardziej śmierdzi. W ostatnie miejsce na ziemi, gdzie chciałbym się znaleźć.

Na tolerancyjnej twarzy Davisa odmalowało się oburzenie.

–Znam wielu wspaniałych ludzi, którzy są lennikami Yerricka – powiedział.

–To ludzie, którym wszystko jedno, w jaki sposób zarabiają pieniądze.

–Chcesz ukarać Yerricka za to, że mu się powiodło? On postawił na nogi to Wzgórze. Czy to jego wina, że nikt mu nie dorównuje? Jest przecież coś takiego jak dobór naturalny i ewolucja. Ci, co nie potrafią przeżyć, odpadają.

–Yerrick zniszczył nasze laboratorium badawcze.

– „Nasze”? Słuchaj, przecież jesteś człowiekiem Yerricka. – Davis nie posiadał się z oburzenia. – Jak śmiesz tak mówić? Yerrick jest twoim opiekunem, a ty sobie pozwalasz...

– Gotowe, chłopcy! – zawołała Laura, z wypiekami na twarzy, dumna ze swej domowej dzielności. – Kolacja na stole. Musicie tylko przynieść krzesła. Al, umyj ręce przed jedzeniem. I włóż buty.

– Tak, kochanie – powiedział posłusznie Al, wstając sprzed telewizora.

– Mogę w czymś pomóc? – spytał Benteley.

– Weź sobie tylko jakieś krzesło i siadaj. Mamy prawdziwą kawę. Ze śmietanką? Już zapomniałam.

– Tak, proszę- powiedział Benteley. Przyniósł dwa krzesła i usiadł zamyślony.

– Rozchmurz się – prosiła go Laura. – Zobacz, co masz przed sobą na talerzu. Więc już nie jesteś z Julie? Założę się, że stale jadasz poza domem, w restauracjach, gdzie podają tę okropną żywność z protyny.

Benteley bawił się nożem i widelcem.

– Macie ładne mieszkanie – powiedział po chwili. – Kiedy byłem u was ostatni raz, mieszkaliście w domu noclegowym Wzgórza. Jeszcze nie byliście wtedy małżeństwem.

– A pamiętasz, jak ty i ja mieszkaliśmy razem? – spytała Laura. – To nie trwało chyba dłużej niż miesiąc.

– Tak, prawie cały miesiąc – potwierdził Benteley, zastanowiwszy się chwilę. Był teraz nieco mniej napięty, odtajał wśród zapachów gorącej kolacji, w jasnym pokoju, w pobliżu pięknej kobiety. – Byłaś jeszcze wówczas

lenniczką Oiseau-Lyre, dopiero później straciłaś rejestrację.

Przyszedł Al – usiadł, rozwinął serwetkę i zatarł ręce z apetytem.

–Pachnie wyśmienicie – oznajmił. – Jedzmy, umieram z głodu.

Podczas kolacji telewizor mrucał i rzucał na pokój falę migotliwego światła. Benteley przysłuchiwał się wiadomościom, na wpół tylko zważając na to, co mówią gospodarze.

„...Lotermistrz Cartwright – mówił spiker – zapowiedział zwolnienie dwustu pracowników Dyrektoriatu, motywując tę decyzję W.W.B...”

–Ważnymi Względami Bezpieczeństwa – dopowiedziała Laura, sącząc kawę. – Zawsze tak mówią.

Spiker podawał dalsze wiadomości.

„...Konwencja rozwija się na wielką skalę. Do Rady Konwencji i do biur Wzgórza Westinghouse wpłynęły już setki tysięcy zgłoszeń. Poprzedni Lotermistrz, Reese Ver-rick, zgodził się zająć stroną techniczną, aby uruchomić imprezę, która będzie zapewne najciekawszym i najbardziej spektakularnym wydarzeniem ostatniego dziesięciolecia...”

–Idę o zakład – powiedział Al – że Yerrick ma Westinghouse w kieszeni. Już on się postara, żeby wszystko grało.

–Czy stary sędzia Waring jest ciągle w Radzie? – spytała Laura. – Musi mieć już ze sto lat.

–Tak, jest jeszcze w Radzie. Nie zrezygnuje, póki żyje. To stary żółw! Powinien zejść z drogi, ustąpić komuś młodszemu.

–Ale za to wie wszystko o Łowach – powiedziała Laura. – Potrafi utrzymać grę na wysokim poziomie moralnym. Pamiętam, byłam jeszcze w szkole, jak obalono tego

Lotermistrza, co się jąkał. I wygrał ten przystojny młody chłopiec, czarnowłosy morderca, który był potem takim cudownym Lotermistrzem. A stary sędzia Waring przewodniczył Radzie i prowadził Łowy jak Jehowa w starych mitach chrześcijańskich.

–To ten z brodą – powiedział Benteley. – Tak, ma długą siwą brodę.

Na ekranie pojawił się inny spiker. W tle widać było potężne audytorium, w którym miała się odbyć Konwencja. Na sali ustawiono krzesła i wzniesiono wysoką trybunę, na której zasiadła Rada. Ludzie chodzili tam i z powrotem. Audytorium rozbrzmiewało głośnymi rozmowami, dobiegały ostatnie polecenia.

–Pomyśleć tylko – powiedziała Laura – że tam dzieją się takie doniosłe sprawy, a my tu siedzimy i spokojnie jemy sobie kolację.

–To tak daleko stąd – stwierdził Al obojętnie.

„...Zapowiedziana przez Reese'a Yerricka premia w wysokości miliona dolarów w złocie zaostriżyła przebieg Konwencji. Statystycy notują rekordową liczbę zgłoszeń, które wciąż jeszcze napływają. Każdy chce spróbować sił w roli wymagającej niezwyklej odwagi, gdzie ryzyko jest największe i najwyższa stawka. Oto dziś oczyszczeniu miliardów ludzi na dziewięciu planetach kierują się na Wzgórze Westinghouse. Kto zostanie pierwszym mordercą? Kto spośród wielu wspaniałych kandydatów, przedstawicieli wszystkich klas i Wzgórz, pierwszy wyciągnie dłoń po milion dolarów w złocie, po uznanie i oklaski całej cywilizacji?”

–A ty? – zwróciła się nagle Laura do Benteleya. – Dlaczego się nie zgłosisz? Nie masz przecież w tej chwili żadnego przydziału.

–To nie w moim stylu. Laura roześmiała się.

–Więc niech to będzie w twoim stylu. Al, czy nie

mamy gdzieś tej taśmy ze wszystkimi mordercami, którym się powiodło, wiesz, ich życiorysy i wszystkie plotki o nich? Pokaż ją Tedowi.

–Znam to – powiedział krótko Ted.

–Czy gdy byłeś chłopcem, nie marzyłeś o tym, żeby zostać mordercą, który pokona Lotermistrza? – Pwne oczy Laury zasnuły się mgiełką wspomnień. – Pamiętam, jak rozpaczałam, że jestem dziewczynką i że przez to, kiedy dorosnę, nie będę mogła zostać mordercą. Kupowałam sobie amulety, ale one nie zmieniły mnie w chłopca.

Al Davis odsunął pusty talerz i czknął najedzony.

–Mogę rozpiąć pasek?

–Oczywiście – powiedziała Laura. Al rozpiął pasek.

–Kolacja była pyszna, kochanie. Mógłbym tak jeść codziennie.

–Prawie codziennie jemy tak jak dzisiaj. – Laura wypła kawę i delikatnie przytknęła serwetkę do ust. – Może jeszcze kawy, Ted?

„...Jak przewidują eksperci, pierwszy morderca będzie miał szansę siedem do trzech na to, że zniszczy Lotermistrza Cartwrighta i wygra milion dolarów, które obiecał Reese Yerrick, poprzedni Lotermistrz, obalony przed niespełna dwudziestoma czterema godzinami na skutek niespodziewanego obrotu butelki. Jeśli pierwszy morderca zawiedzie, znawcy stawiają sześć do czterech na drugiego. Według wstępnych obliczeń Cartwright po dwóch dniach będzie miał lepszą kontrolę nad armią i Gwardią telepatów. Dlatego też dla mordercy, zwłaszcza we wstępnej fazie, ważniejsza jest szybkość niż forma ataku. W ostatniej rundzie walka będzie zażarta, ponieważ...”

–Już się zaczęły indywidualne zakłady – powiedziała Laura. Przeciągnęła się z rozkoszą, trzymając zapalonego papierosa i uśmiechając się do Benteleya. – Do-

brze, że znów tu jesteś – powiedziała. – Masz zamiar ściągnąć swoje rzeczy do Farben? Możesz zatrzymać się u nas, póki nie znajdziesz odpowiedniego mieszkania.

–Coraz więcej dobrych niegdyś dzielnic zajmują ostatnio niery – zauważył Al.

–Wszędzie się wciskają – potwierdziła Laura. – Pamiętasz, Ted, te wspaniałe tereny wokół laboratorium syntetyków? Te nowe domy, zielono-różowe? Dziś mieszkają tam

niery i oczywiście domy są zniszczone, brudne i śmierdzą. To okropne, czemu oni nie zgłaszają się do obozów pracy. Przecież tam jest ich miejsce, a nie tu, wśród nas.

Al ziewnął.

– Spać mi się chce. – Wziął daktyla z misy stojącej pośrodku stołu. – Daktyl? Co to takiego? – Powoli zjadł owoc. – Za słodki. Skąd się biorą daktyle? Z Wenus? Smakują jak te soczyste owoce, co rosną na Wenus.

– Daktyle pochodzą z Azji Mniejszej – powiedziała Laura.

– Tu, na Ziemi? Kto je wyhodował?

– Nikt. To naturalny owoc. Rośnie na palmach. Zdumiony Al kiwał głową.

– Niezliczone są twory boskie. Laura była oburzona.

– Niechby cię ktoś w pracy usłyszał, jak wygadujesz takie rzeczy.

– A niech słyszą. Gwiżdżę na to – powiedział Al i znów ziewnął.

– Jeszcze by pomyśleli, że jesteś chrześcijaninem. Benteley wstał powoli.

– Pójdę już, Lauro.

– Dlaczego? – zdziwił się Al.

– Muszę spakować swoje rzeczy i przywieźć je tutaj z Oiseau-Lyre.

Al poklepał Teda po plecach.

–Farben ściągnie ci rzeczy. Przecież jesteś teraz człowiekiem Yerricka. Zadzwoń do sekcji transportowej Wzgórza, a oni się tym zajmą. Za darmo.

–Wolę sam to zrobić – powiedział.

–Dlaczego? – spytała zdziwiona Laura.

–Mniej rzeczy się potłucze – odpowiedział wymijająco Ted. – Wynajmę taksówkę i spakuję się przez weekend. Nie sądzę, żebym tu był potrzebny przed poniedziałkiem.

–Nie jestem pewien – powiedział z powątpiewaniem Al. – Lepiej ściągnij tu swoje rzeczy jak najszybciej. Czasami Yerrick potrzebuje kogoś natychmiast, a wtedy...

–Co tam Yerrick – zachnął się Benteley. – Jestem panem swojego czasu. – Kiedy odchodził od stołu, tańczyły mu przed oczyma zdumione twarze przyjaciół. Żołądek Benteleya był pełen ciepłego i smacznego jedzenia, ale głowę miał pustą, jak cienka, gorzka skórka wokół... czego? Nie wiedział.

–Nie można tak mówić – powiedział Al.

–Mówię, co czuję.

–Zdaje mi się, że nie masz poczucia rzeczywistości -stwierdził Al.

–Może i nie mam – powiedział Benteley, sięgając po marynarkę. – Dziękuję za kolację, Lauro. Była wspaniała.

–Czuję, że mówisz bez przekonania.

–To prawda – przyznał Benteley. – Macie tu śliczne gniazdko. Z wszystkimi wygodami i udogodnieniami. Życzę wam obojgu dużo szczęścia. Życzę ci, Lauro, żeby twoja kuchnia nadal przekonywała cię do rzeczywistości.

–Nam ona odpowiada – stwierdziła Laura.

Sprawozdawca mówił:

„...ponad dziesięć tysięcy, ze wszystkich stron świata. Oświadczenie sędziego Waringa, że pierwszy morderca zostanie wybrany na dzisiejszym posiedzeniu...”

–Już dziś! – zawołał Al i gwizdnął z uznaniem. – Yerrick nie traci czasu. Potrafi

działać, musisz mu to przyznać, Ted.

Benteley kucnął i wyrwał z gniazdka wtyczkę telewizora. Znikła kaskada dźwięków i obrazów. Podniósł się i zapytał:

–Można?

–Co się stało? – zająknęła się Laura. – Nie ma obrazu.

–Ja wyłączyłem. Mam dość tej cholernej szczekaczki. Mam dość Konwencji i całego szumu wokół niej.

Zapadło przykre, pełne skrępowania milczenie. Po chwili Al uśmiechnął się niepewnie:

–Może strzelisz sobie kielicha przed wyjściem? To cię odpręży.

–Jestem odprężony – burknął Benteley.

Podszedł do przezroczystej ściany i stanął plecami do Laury i Ala, wpatrując się ponuro w noc i w nieustanną procesję migocących światełek, które krążyły wokół Wzgórza Farben. W głowie wirowały mu podobne widmowe światełka. Mógł wyłączyć telewizor i zasłonić ścianę, ale nie mógł powstrzymać ciągłej gonitwy myśli.

–Z tego widzę – powiedziała w końcu Laura, nie zwracając się do nikogo – że nie będziemy oglądać Konwencji.

–Będziesz mogła oglądać tę Konwencję na taśmie do końca życia – obiecał jej Al.

–Ale ja chcę teraz!

–Konwencja jeszcze się nie zaczęła – próbował łagodzić Al. – Ciągłe sprawdzają kamery i mikrofony.

Laura głęboko westchnęła i wytoczyła stół do kuchni. Woda bulgotała w zlewie, zabrzączały talerze i sztucce.

–Jest wściekła – zauważył Al.

–To moja wina – powiedział Benteley bez przekonania.

–Przejdzie jej. Zresztą sam wiesz. Jeśli masz ochotę powiedzieć mi, co się stało, zamieniam się w słuch. Co tu opowiadać? – pomyślał bezradnie Benteley.

–Poleciałem do Batawii w nadziei, że zacznę robić coś naprawdę wielkiego – powiedział. – Coś, co jest ponad ludźmi, którzy rwą się do władzy, którzy chcą wdrzeć się na szczyt po trupach innych. A tymczasem znalazłem się tutaj i muszę wysłuchiwać, jak to pudło jazgotuje na cały regulator.

Al uroczyście uniósł pulchny palec i oznajmił:

–Reese Yerrick w ciągu tygodnia obejmie z powrotem pierwszą pozycję. On płaci mordercy. Morderca jest jego lennikiem. Kiedy zabije tego typa Cartwrighta, stanowisko Lotermistrza przypadnie znów Yerrickowi. Brak ci cierpliwości. Poczekaj tydzień, stary. Wszystko będzie tak jak dotychczas, albo i lepiej.

W drzwiach pojawiła się Laura. Gniew minął, teraz na jej twarzy malowała się niecierpliwa ciekawość.

–Al, moglibyśmy obejrzeć Konwencję? Słyszę przez ścianę, że właśnie w tej chwili wybierają mordercę!

–Włączę telewizor – powiedział zrezygnowany Ted. – I tak zaraz wychodzę.

Przykucnął i włożył wtyczkę do kontaktu. Telewizor rozgrzał się błyskawicznie. Benteley nie zdążył dojść do drzwi, gdy dobiegł go szaleńczy wrzask. Metaliczne owacje tysięcy ludzi wymknęły się za nim w chłodną, ciemną noc.

„Morderca! – wrzeszczał telewizor, kiedy Benteley z rękoma w kieszeniach kroczył ciemną ścieżką. – Właśnie ogłaszają jego nazwisko, podam je państwu za sekundę...”

Owacje osiągnęły orgiastyczne fortissimo, jak fale morskiego przyboju, zagłuszając na chwilę słowa sprawozdawcy.

„Pellig – przebił się głos komentatora. – Przez aklamację... zgodnie z wolą planety... mordercą jest... Keith Pellig!”

Lśniąca smuga zimnej szarości zatrzymała się bezgłośnie tuż przed Tedem Benteleyem. Rozsunęły się drzwi i jakaś wysmukła postać wyszła w chłodny mrok nocy.

–Kto tam? – spytał Benteley.

Wiatr poruszył mokrymi liśćmi drzew rosnących przed domem Davisów. Niebo było lodowato zimne. Z ciemności dobiegały głucho echa dalekiej krzątaniny i przytłumiony łoskot fabryk Wzgórza Farben.

–Gdzieś ty się podziewał, na miłość boską? – Głos dziewczyny był podniesiony, mówiła szybko. – Yerrick szuka cię od godziny.

–Byłem u przyjaciół – odparł Benteley. Eleonora Stevens wynurzyła się nagle z mroku.

–Powinieneś być pod ręką, odkąd statek wylądował. Reese jest wściekły. – Rozejrzała się nerwowo. – Gdzie jest Davis? W domu?

–Oczywiście – odpowiedział Benteley, w którym wzbierał gniew. – O co ten cały raban?

–Nie denerwuj się. – Głos dziewczyny był obojętny, jak gwiazdy, co świeciły nad ich głowami. – Wróć do mieszkania i zabierz Davisa oraz jego żonę. Poczekam na was w samochodzie.

Kiedy Benteley ukazał się w drzwiach i wszedł do ciepłego, jasnożółtego salonu, Al Davis wlepił w niego osłupiały wzrok.

5.

–On nas wzywa – powiedział Benteley. – Powiedz Laurze, ona też ma jechać.

Laura siedziała na skraju łóżka, rozwiązując sandały, kiedy Al wszedł do sypialni. Szybko wygładziła spodnie na kostkach.

–Zbieraj się, kochanie – powiedział Al. Laura od razu zerwała się na nogi.

–Co się stało? O co chodzi?

We trójkę wyszli w mroźne ciemności, ubrani w płaszcze i ciężkie buty. Eleonora zapuściła motor, słychać było jednostajny warkot.

–Wskakuj – mruknął Al i pomógł Laurze znaleźć miejsce w atramentowym mroku. – Nie ma tu jakiegoś światła?

–Nie trzeba światła, żeby usiąść – odpowiedziała Eleonora, po czym zasunęła drzwi.

Samochód wtoczył się na drogę i z miejsca nabral szybkości. Ciemne sylwetki domów i drzew tylko migaly. Raptem z okropnym gwizdem samochód uniósł się w górę. Przez chwilę leciał tuż nad ziemią, potem ostrym łukiem przeskoczył nad linią wysokiego napięcia. Po kilku minutach nabral wysokości nad rozległym skupiskiem domów i ulic, które tworzyły pasożytniczy krąg wokół Wzgórza Farben.

–O co chodzi? – spytał Benteley. – Mamy prawo wiedzieć.

Samochód zadrżał, pochwycony przez fale magnetyczne, które skierowały go w dół, w stronę mrugających światłami budynków.

–Czeka nas małe przyjęcie – powiedziała Eleonora z uśmiechem, który ledwie poruszył jej wąskie karminowe usta. Poczekala, aż samochód osiadzie we wklęsłym doku i zatrzyma się na dobre przy magnetycznej płycie. Szybkim ruchem wyłączyła silnik i otworzyła drzwi. – Wsiadajcie. Jesteśmy na miejscu.

63

Obcasy łomotały w pustych korytarzach, kiedy Eleonora prowadziła ich pospiesznie z jednego poziomu na drugi. W regularnych odstępach mijali milczących strażników o nalanych twarzach, zaspanych i obojętnych, z bronią trzymaną od niechcenia.

Eleonora otworzyła opancerzone drzwi i energicznym gestem zaprosiła ich do środka. Kiedy niepewnym krokiem mijali ją, wchodząc do drugiego pokoju, owiało ich aromatyczne powietrze.

Reese Yerrick stał odwrócony do wchodzących plecami. Mocował się z czymś, naprężając muskularne ramiona z rosnącą wściekłością.

–Cholera jasna, jak się uruchamia to paskudztwo? – warknął ze złością. Rozległ się rozpaczliwy zgrzyt pękającego metalu. – Psiakrew, chyba złamałem.

–Daj mi – powiedział Herb Moore, wstając z głębokiego fotela w rogu pokoju. – Nie masz zdolności manualnych.

–Pewnie, że nie mam – burknął Yerrick. Odwrócił się: ogromny, barczysty niedźwiedź, z krzaczastymi brwiami, które sterczały sztywno i zaczepnie. Błyszczącymi oczyma świdrował trójkę przybyszów.

Eleonora Stevens rozpięła płaszcz i rzuciła go na oparcie luksusowej kanapy.

–Oto oni – zwróciła się do Yerricka. – Byli razem i dobrze się bawili.

Wyszła z szeregu, długonoga, w sztruksowych spodniach i skórzanych sandałach, i stanęła przy kominku, grzejąc piersi i ramiona. W migotliwym świetle ognia jej nagie ciało płonęło ciemną purpurą.

Yerrick bez ogródek zwrócił się do Benteleya:

–Bądź zawsze tam, gdzie mogę cię znaleźć – powiedział, pogardliwie cedząc słowa. – Nie mam już telepatów, którzy mogą odszukać człowieka po jego myślach. Muszę korzystać z trudniejszych sposobów. – Tu wska-

zał na Eleonorę. – Posłałem ją, ale to już nie to co dawniej.

Eleonora uśmiechnęła się z przymusem, ale nic nie powiedziała.

Yerrick obrócił się na pięcie i zawołał do Moore'a:

–Uruchomiłeś wreszcie tę cholerną maszynę?

–Zaraz będzie gotowa. Yerrick chrząknął pogardliwie.

–Robimy małą uroczystość – powiedział do Bente-leya – chociaż nie bardzo wiem, z jakiego powodu.

Moore, elegancki i pewien siebie, podszedł do nich z małym, zgrabnym modelem rakiety międzyplanetarnej w ręce.

–Mamy mnóstwo powodów do radości – oznajmił. – Oto po raz pierwszy mordercę wybrał Lotermistrz. Pel-lig nie został wybrany przez bandę sklerotycznych ramoli. Yerrick trzymał rękę na pulsie. A cała sprawa zaczęła się od tego, że...

–Za dużo gadasz – przerwał mu Yerrick. – Zawsze masz w ustach pełno gładkich słów. Połowa z nich nic nie znaczy.

Moore zaśmiał się wesoło.

–To samo stwierdziła Gwardia.

Benteley cofnął się skrępowany. Yerrick był lekko wstawiony- wyglądał groźnie i złowieszczo, jak niedźwiedź wypuszczony z klatki. Ale za niezgrabnymi ruchami krył się precyzyjny umysł, któremu nic nie mogło umknąć.

Pokój był wysoko sklepiony, wyłożony drewnem, które pochodziło zapewne z jakiegoś starego klasztoru. Kształtem przypominał wnętrze kościoła, z kopułą i żebrowaniem ginącymi w bursztynowym mroku, z grubymi belkami osmalonymi i przydymionymi przez niezliczone ognie, które płonęły w kamiennych paleniskach. Wszystko było masywne i ciężkie, utrzymane w boga-

tych, intensywnych barwach. Kominki były czarne od popiołu, ich obramowania – grube jak pnie drzew. Benteley dotknął matowej boazerii. Drewno było zmurszałe, ale dziwnie gładkie, jakby pokryte warstwą przyćmionego światła, które wnikało w głąb.

–To drewno – powiedział Yerrick, spostrzegłszy gest Benteleya – pochodzi ze średniowiecznego zamtuza.

Laura przyglądała się ciężkim tkaninom które wisiały nieruchomo nad witrażowymi oknami. Na dużym kominku stały poobijane, wyszczerbione kubki. Benteley ostrożnie wziął jeden z nich. Poczuł w dłoni masywną bryłę, stare naczynie o grubych ściankach, ciężkie, proste i niezdarne – saskie średniowiecze.

–Za chwilę ujrzycie Pelliga – powiedział Yerrick. – Eleonora i Moore już go poznali.

Moore znowu się zaśmiał, krótko i agresywnie, co zabrzmiało jak szczek złego psa.

–Tak, ja go poznałem – powiedział.

–Jest bardzo zmyślny – dodała bezbarwnym głosem Eleonora.

–Pellig krąży w pobliżu – ciągnął Yerrick. – Rozmawiajcie z nim, bądźcie z nim. Chcę, żeby go wszyscy widzieli. Mam zamiar wysłać tylko jednego mordercę. – Machnął niecierpliwie ręką i dodał: – Nie ma sensu wysłać ich bez końca.

Eleonora rzuciła na Yerricka szybkie spojrzenie.

–Stawiam wszystko na jedną kartę – powiedział Yerrick i podszedł do zamkniętych podwójnych drzwi w drugim końcu pokoju. Kiedy je otworzył, do wnętrza wdarło się jasne, skłębione światło i pulsujący ruch wielu ludzi. – Chodźcie tutaj – rozkazał. – Zaraz poszukam Pelliga.

–Pan/pani się napije?

Eleonora Stevens wzięła kieliszek z tacy obnoszonej przez macmillana o twarzy pozbawionej wyrazu.

–A ty? – spytała Benteleya. Kiwnęła na robota i wzięła drugi kieliszek. – Spróbuj. To bardzo łagodne. Z jagód, które rosną po słonecznej stronie Callisto, w szczelinach pewnej odmiany łupku ilastego, jeden miesiąc w roku. Yerrick ma tam specjalny obóz pracy.

Benteley wziął kieliszek.

–Dziękuję.

–Rozchmurz się.

–O co tu chodzi? – spytał Benteley, wskazując piwnicę pełną ludzi. Wszyscy byli dobrze ubrani, w różnych zestawieniach kolorystycznych: przedstawiciele najwyższych klas. – Znosi się na to, że za chwilę zabrzmi muzyka i zaczną się tańce – powiedział.

–Kolacja i tańce już się odbyły. Na litość boską, przecież dochodzi druga. Mnóstwo rzeczy się dziś wydarzyło. Obrót butelki, Konwencja Łowów, tyle emocji. – Nagle Eleonora cofnęła się, wpatrzona w jeden punkt. – Nadchodzą – powiedziała.

Nagle zapadła nerwowa cisza. Benteley odwrócił się, inni także. Wszyscy natarczywie wpatrywali się w Ree-se'a Yerricka. Razem z nim siedł szczupły mężczyzna w zwykłym szarym garniturze, ze swobodnie opuszczonymi rękami, z twarzą pustą, pozbawioną wyrazu. Otaczał go jednostajny szmer głosów – były wśród nich przytłumione okrzyki i spontaniczne wyrazy hołdu.

–To on. – Eleonora zgrzytnęła zębami, z błyskiem w oku. Wpiła się kurczowo w ramię Benteleya. – Keith Pellig. Przyjrzyj mu się.

Pellig milczał. Włosy miał koloru słomy, nieco wilgotne i miękkie. Jego rysy były nieustalone, właściwie nie do określenia. Był człowiekiem bezbarwnym i cichym, niemal ginął w cieniu giganta, który popychał go wśród zaintrygowanych par. Po chwili zniknęli w gąszczu atłasowych spodni i długich sukien, a wokół Benteleya znowu wzbił się gwar ożywionych rozmów.

–Przyjdą do nas później – powiedziała Eleonora i wzdrygnęła się. – Dostaję gęsiej skóry na jego widok. A ty?– spytała z uśmiechem, wciąż trzymając Benteleya pod rękę. – Co o nim myślisz?

–Nie wiem, co o nim myśleć.

W oddali stał Yerrick, otoczony grupką ludzi. Nad jednostajny szmer rozmów wzbijał się pełen entuzjazmu głos Herba Moore'a, który znów coś wyjaśniał. Benteley, zniechęcony, ruszył w stronę wyjścia.

–Dokąd idziesz? – spytała Eleonora.

–Do domu – odpowiedział odruchowo.

–To znaczy: dokąd? – powiedziała Eleonora z wymuszonym uśmiechem. – Już nie mogę śledzić twoich myśli, mój drogi. To się skończyło.

Odchyliła ogniste rude włosy i pokazała mu dwa martwe krążki nad uszami, szare kropki, które odcinały się brzydko na tle gładkiej, jasnej skóry.

–Nie rozumiem – powiedział Benteley. – Przecież to była wrodzona zdolność, dar natury.

–Mówisz jak Wakeman. Gdybym została w Gwardii, musiałabym użyć zdolności telepatycznych przeciw Yerrickowi. Cóż miałam robić, musiałam odejść.

Benteley dostrzegł ból w oczach dziewczyny.

–Teraz wszystko minęło – ciągnęła. – Jestem jak oślepią. Przez parę godzin wyłam i płakałam. Nie mogłam wytrzymać. Zupełnie się załamalam.

–A teraz, jak się czujesz teraz? Niepewnie machnęła ręką.

–Przeżyję. Tak czy owak, rzecz jest nieodwracalna. Więc nie przejmuj się tym, kochanie. Wypij do dna i rozchmurz się.

Stuknęli się kieliszkami.

–To się nazywa Metanowa Burza – powiedziała dziewczyna. – Callisto ma chyba metanową atmosferę.

–Byłaś kiedy na planetach skolonizowanych? – spy-

tał Benteley. Upił nieco bursztynowego płynu: trunek był bardzo mocny. – Widziałaś obóz pracy albo nielegalną kolonię, spacyfikowaną przez policję?

–Nie – odpowiedziała po prostu Eleonora. – Nigdy nie byłam poza Ziemią. Urodziłam się dziewiętnaście lat temu w San Francisco. Jak wiesz, wszyscy telepaci stamtąd pochodzą. W czasie Wojny Ostatecznej radziecki pocisk raketowy trafił w centrum badawcze w Livermore. Ci, co przeżyli, przeszli niezłą łaźnię. Jesteśmy wszyscy potomkami jednej pary, Earla i Verny Phillipsów. Cała Gwardia to jedna rodzina. Byłam trenowana przez całe dzieciństwo, taki los.

Z drugiego końca pokoju poczęły dobiegać niewyraźne odgłosy muzyki. Robot muzyczny tworzył przypadkowe kombinacje dźwięków, kolorów i cieni, zgranych tak subtelnie, że nie raniły niczyjego ucha ni oka. Kilka par tańczyło ospale. Obok zebrała się grupa mężczyzn, którzy dyskutowali głośno, zaciętrzewieni. Benteley słyszał oderwane zdania.

–Mówią, że w czerwcu wyszedł z laboratorium.

–To nieludzkie: kazać kotu nosić spodnie.

–Czy w ogóle trafi przy tej szybkości? Osobiście zostałbym przy starej technice.

Niektórzy szukali swoich okryć w pobliżu podwójnych drzwi i wychodzili otępiali, apatyczni, ziewając ze zmęczenia i nudy.

–Zwykle tak bywa – powiedziała Eleonora. – Kobiety wychodzą do łazienki, a mężczyźni zaczynają się kłócić.

–A co robi Yerrick?

–To jego głos, posłuchaj.

Donośny głos Yerricka wzbił się nad inne. Ludzie, którzy stali w pobliżu, powoli przestawali rozmawiać i podchodzili, żeby go lepiej słyszeć. Wokół Yerricka i Moore'a, którzy mówili coraz głośniej i z coraz większym

żarem, utworzył się ciasny krąg poważnych, wręcz ponurych twarzy.

–Nasze problemy są naszym dziełem – twierdził Ver-rick. – Nie są rzeczywiste, tak jak problemy nadprodukcji czy nadwyżki siły roboczej.

–Dlaczego tak sądzisz? – spytał Moore.

–Cały ten system jest sztuczny. Minimax został wymyślony przez kilku matematyków w początkowej fazie drugiej wojny światowej.

–Chciałeś powiedzieć: odkryty. Dostrzegli oni, że sytuacje społeczne są analogiczne do gier strategicznych, takich jak poker. System, który sprawdza się w pokerze, sprawdzi się też w sytuacji społecznej: w operacjach finansowych albo na wojnie.

–Jaka jest różnica między grą losową a grą strategiczną? – spytała Laura Davis z miejsca, gdzie stała, obok Ala.

Moore odpowiedział zniecierpliwiony:

–Zasadnicza. W grze losowej nie ma miejsca na świadome mieszanie szyków. Natomiast w pokerze każdy gracz ma rozmyślną strategię blefu, fałszywych zagrań, mylących odżywek i błazeńskich min, które mają oszukać pozostałych graczy, by ukryć jego stan posiadania i zamiary. Każdy ma swój sposób na to, żeby wprowadzić przeciwników w błąd i skłonić ich do nierozsądnych posunięć.

–Na przykład mówiąc, że ma dobre karty, kiedy nie ma?

Moore zignorował pytanie Laury i zwrócił się do Ver-ricka:

–Twierdzisz, że społeczeństwo nie działa w myśl praw, które rządzą grami strategicznymi? Minimax to cudowna hipoteza. Dała nam ona racjonalne, naukowe podstawy do obalenia wszelkich strategii i przekształcenia gry strategicznej w losową, w której obowiązują statystyczne prawa nauk ścisłych.

–A mimo to – zagrzmiał Yerrick – ta przeklęta butelka bez najmniejszego powodu wyrzuca człowieka na bruk, a na jego miejsce wnosi osła, dziwaka, wybranego przypadkiem, bez uwzględnienia jego zdolności ani klasy.

–Oczywiście! – zawołał z zapalem Moore. – Cały nasz system opiera się na Minimaxie. Butelka stawia każdego przed wyborem: grać w Minimax albo przepaść. Nakazuje odrzucić krętactwo i postępować racjonalnie.

–Nie ma nic racjonalnego w przypadkowym obrocie butelki – odpowiedział ze złością Yerrick. – Jakże przypadek może być racjonalny?

–Czynnik przypadku jest funkcją ogólnego, racjonalnego schematu. W obliczu przypadkowego obrotu butelki nikt nie może stosować strategii. Zmusza to ludzi do przyjęcia metody uwzględniającej przypadek: najlepsza analiza statystycznego prawdopodobieństwa pewnych wydarzeń plus pesymistyczne założenie, że każdy plan będzie natychmiast wykryty. Jeśli założysz, że od razu wszystko wiadomo, uwalniasz się od jednego niebezpieczeństwa: że twój plan wyjdzie na jaw. Skoro działasz zgodnie z przypadkiem, twój przeciwnik nie może przewidzieć twoich posunięć, ponieważ nawet ty nie wiesz, co zrobisz.

–I dlatego jesteśmy bandą przesądnych głupców – poskarżył się Yerrick. – Każdy stara się odczytać znaki i zwiastuny. Każdy stara się wytłumaczyć dwugłowe cielęta i stada białych kruków. Wszyscy zależymy od ślepego przypadku. Tracimy kontrolę, bo nie możemy planować.

–Jak można coś planować, mając wokół siebie telepatów? Telepaci są świetnym dopełnieniem pesymistycznej strony Minimaxu: odkrywają każdą strategię. Odkryją cię w chwili, w której zaczniesz grać.

Yerrick dotknął ręką swej szerokiej piersi.

–Jak widzicie, żadne babskie amulety nie dyndają mi

na szyi. Ani płatki róży, ani kozie bobki, ani przegotowana ślina sowy. Wybrałem grę zręcznościową zamiast losowej, a nawet zamiast strategicznej. Nie kieruję się abstrakcyjnym teoretyzowaniem. Kieruję się doświadczeniem. Robię to, czego wymaga konkretna sytuacja – ciągnął. – To kwestia wprawy. A ja mam wprawę.

–Wprawa jest funkcją losu. Jest to intuicyjne wyciągnięcie korzyści z sytuacji losowej. Jesteś w takim wieku i przeżyłeś tyle różnych sytuacji, że możesz z góry

znać praktyczne...

–A Pellig? Czy to nie jest strategia?

–Strategia zakłada oszustwo, a Pelligiem nikogo nie chcemy oszukać.

–Bzdura – burknął Yerrick. – Wychodziłeś ze skóry, żeby telepaci nie poznali prawdy o Pelligu.

–To był twój pomysł – odpowiedział czerwony ze złości Moore. – Mówiłem i nadal mówię: niech wiedzą, i tak nic nie mogą zrobić. Gdybym mógł, ogłosiłbym wszystko jutro w telewizji.

–Ty skończony idioto! – prychnął Yerrick. – Wierzę, że byś to zrobił.

–Pellig jest niezwyciężony – odpowiedział Moore, wściekły, że Yerrick upokorzył go na oczach wszystkich. – Wykorzystaliśmy samą istotę Minimaxu. Wychodząc od obrotu, opracowałem...

–Zamknij się, Moore, za dużo gadasz – rzucił Yerrick półgłosem, odwracając się od swego rozmówcy. Odszedł kilka kroków, a tłum pospiesznie rozstępował się przed nim. – Trzeba z tym skończyć – dodał. – Nie można planować, dopóki rządzi nami przypadek.

–Przecież po to go mamy! – krzyknął za nim Moore. – Więc pozbądźmy się go.

–Minimax to nie jest coś, co można włączyć i wyłączyć. Minimax jest jak przyciąganie, jest prawem, prawem pragmatycznym.

Benteley zbliżył się do Moore'a.

–Wierzysz w prawa natury? – spytał. – Ty, 8/8?

–Kto to jest? – warknął Moore, patrząc wściekłym wzrokiem na Benteleya. – Z jakiej racji wtrąca się do naszej rozmowy?

Yerrick wyprostował się, jakby urósł, i powiedział:

–To jest Ted Benteley. Klasa 8/8, tak jak ty. Właśnie go przyjęliśmy. Moore zbladł.

–8/8! Przecież nie potrzebujemy nikogo tej klasy! – Twarz mu pożółkła. – Benteley? Wyrzucony z Oiseau-Lyre? Bez przydziału?

–Zgadza się – powiedział spokojnie Benteley. – Przyjechałem prosto tutaj.

–Po co?

–Interesuje mnie to, co robicie.

–Co ja robię, to nie twój interes!

–Dość tego – przerwał mu Yerrick. – Zamknij się albo wynoś się stąd. Benteley od dziś pracuje z tobą, czy ci się to podoba, czy nie.

–Jeżeli on nie umiał się utrzymać w trzeciorzędnym Wzgórzu, jakim jest Oiseau-Lyre, nie jest widać dość dobry, żeby...

–Zobaczymy – powiedział zimno Benteley. – Palę się do tego, żeby dostać twoje notatki w swoje ręce. Z rozkoszą zajmę się tą pracą. Wydaje mi się, że jest to właśnie to, na co mam ochotę.

–A ja mam ochotę się napić- mruknął Yerrick. – Mam za dużo roboty, żeby tu z wami gadać.

Moore obrzucił Benteleya jeszcze jednym wzgardliwym spojrzeniem i pospieszył za Yerrickiem. Trzask drzwi uciął ich podniesione głosy. Zwarty tłum poruszył się i z cichym gwarem rozbił na mniejsze grupki.

–Oto gospodarz wychodzi – powiedziała gorzko Eleonora. – Niezłe przyjęcie, co?

Benteleya rozboleła głowa. To ten ciągły harmider głosów, zmieszany z wirowaniem jaskrawych strojów i ciał. Na podłodze wały się rozgniecione niedopałki i inne śmieci. Cały pokój miał zaniedbany wygląd, sprawiał wrażenie, że powoli osiada na jednym boku. Górne światła, pulsujące i wciąż zmieniające układ i natężenie, raziły oczy. Jakiś mężczyzna, przepychając się przez tłum, uderzył Benteleya w bok. Opierając się o ścianę, z papierosem przyklejonym do warg, młoda kobieta zdejmowała sandały i wdzięcznym ruchem rozcierała palce u nóg z pomalowanymi na czerwono paznokciami.

–Na co masz ochotę? – spytała Eleonora.

–Chciałbym stąd wyjść.

Eleonora wprawnie poprowadziła go wśród wędrujących grupek w kierunku wyjścia. Idąc, popijała Metanową Burzę.

–To wszystko może się wydawać bezcelowe – zaczęła -ale naprawdę ma sens. Yerrick...

Herb Moore zagroził im drogę. Jego twarz pociemniała od niezdrowych wypieków. Obok niego stał blady i milczący Keith Pellig.

–Tu jesteście – mruknął Moore i zakołysał się niepewnie, wylewając trunek. Wbił wzrok w Benteleya i oznajmił nieprzyjemnym tonem: – Chciałeś zająć się tą sprawą. – Tu klepnął Pelliga po plecach. – Oto najwięk-

szę zjawisko w historii świata. Najważniejsza osoba, jaka kiedykolwiek żyła. Syć oczy jej widokiem, Benteley.

Pellig nie odzywał się. Patrzył obojętnie na Bente-leya i Eleonorę, spokojny i greczny. Trudno było przypisać mu jakiś kolor. Oczy, włosy, skórę, nawet paznokcie miał wyblakłe, niemal przezroczyście. Cały był czysty i antyseptyczny. Bez smaku, bez zapachu, bezbarwny, po prostu zero.

Benteley wyciągnął dłoń.

–Cześć, Pellig.

Tamten uścisnął wyciągniętą dłoń. Jego ręka była zimna i nieco wilgotna, bez życia i bez siły.

–Co o nim sądzisz? – spytał agresywnie Moore. – Prawda, że to jest coś? Największy wynalazek od czasów koła!

–Gdzie Yerrick? – spytała Eleonora. – Pellig powinien być stale w jego pobliżu. Moore pociemniał z gniewu.

–Dobre sobie! Kto...

–Za dużo wypieś – przerwała mu Eleonora i rozejrzała się wokół. – Ach, ten Reese, pewnie znów z kimś dyskutuje.

Zafascynowany Benteley przyglądał się Pelligowi. Było coś odstręczającego w tym apatycznym, smukłym ciele, jakiś cień bezpłciowego, mdłego hermafrodytyzmu. Pellig nie miał nawet kieliszka w ręce. Nic nie miał.

–Nie pijesz? – spytał Benteley. Pellig zaprzeczył ruchem głowy.

–Dlaczego? Bardzo dobra Metanowa Burza.

Benteley niezręcznie sięgnął do tacy przechodzącego macmillana – trzy kieliszki spadły na podłogę i rozbiły się u podstawy robota. Macmillan zatrzymał się i niezwłocznie przystąpił do skomplikowanych czynności sprzątnięcia i wycierania.

–Proszę. – Benteley wręczył kieliszek Pelligowi. –

Jedz, pij i baw się na całego. Jutro ktoś zginie, ale na pewno nie będziesz to ty.

–Daj spokój – szepnęła mu Eleonora na ucho.

–Powiedz mi, Pellig – ciągnął Benteley -jak się czuje zawodowy morderca. Nie wyglądasz na zawodowego mordercę. W ogóle nie wyglądasz na nikogo. Nawet na mężczyznę. Ani na człowieka.

Ludzie zaczęli się gromadzić wokół nich. Eleonora szarpnęła Benteleya za rękaw.

–Ted, na miłość boską! Yerrick tu idzie.

–Puść mnie. – Benteley wyszarpnął rękę. – Mój rękaw- powiedział i pogłaskał marynarkę zdrętwiałymi palcami. – Nie tak wiele rzeczy mi zostało, mogłabyś uważać. – Wpatrzył się w nieobecną twarz Keitha Pelli-ga. Wciąż czuł szum w głowie, bolał go nos i gardło. – Powiedz, Pellig, jak to jest, kiedy trzeba zamordować człowieka, którego się nigdy w życiu nie widziało? Człowieka, który nie zrobił ci nic złego. Nieszkodliwego dziwaka, co przypadkiem wszedł w drogę wielkim tego świata. Szyjka butelki...

–O co ci chodzi? – przerwał Moore, tonem skrywanej wrogości w głosie. – Sugerujesz, że z Pelligiem jest coś nie w porządku? – Przełknął groteskowo i dodał: – Mój przyjaciel Pellig.

Z sąsiedniego pokoju wyszedł Yerrick i zaczął przeciskać się przez tłum.

–Zabierz go stąd, Moore! – zawołał. – Mielicie iść na górę. – Obcesowo wskazał gościom podwójne drzwi. – Przyjęcie skończone. Do domu. Wezwie się was, kiedy będziecie potrzebni.

Ludzie rozchodzili się i podążali do wyjścia. Roboty podawały im płaszcze i okrycia. Niektórzy tylko zatrzymywali się w małych grupkach, rozmawiając półgłosem i wpatrując się ciekawie w Yerricka i Pelliga.

Yerrick chwycił Pelliga pod ramię.

–Idź stąd. Idź na górę. Najwyższy czas. – Ruszył w stronę szerokich schodów, przygarbiony, przechylając nastroszoną głowę na bok. – Mimo wszystko sporo dziś zrobiliśmy – powiedział. – Idę spać.

Benteley ruszył ostrożnie za nim, mówiąc:

–Chwileczkę, Yerrick. Mam pomysł. Dlaczego nie zabijesz Cartwrighta własnoręcznie? Bez pośrednika. To logiczniejsze.

Yerrick wybuchnął krótkim śmiechem, ale nie zwolnił ani nie odwrócił się.

–Porozmawiamy jutro – rzucił przez ramię. – Idź do domu i prześpij się.

–Nie pójdę do domu – powiedział uparcie Benteley. – Przyjechałem tu po to, żeby się dowiedzieć, na czym polega strategia, i zostanę, dopóki się nie dowiem.

Na pierwszym stopniu Yerrick zatrzymał się i odwrócił. Na jego szerokiej, pobrużdżonej twarzy malował się wyraz zdziwienia.

–Co to ma znaczyć?

–To, co powiedziałem.

Benteley przymknął oczy i stał na szeroko rozstawionych nogach, żeby utrzymać równowagę w kołyszącym się i wirującym pokoju. Kiedy otworzył oczy, Yerrick był już na szczycie schodów, a Eleonora Stevens wpijała się kurczowo w jego ramię.

–Ty bałwanie! – piszczała. – Co ci się stało?

–To wariat- powiedział niepewnym tonem Moore, prowadząc Pelliga w stronę schodów. – Lepiej zabierz go stąd, Eleonoro. Jeszcze trochę, a zacnie chodzić po ścianach.

Benteley był zbity z tropu. Otworzył usta, ale nic nie powiedział. Wreszcie wymamrotał:

–Poszedł. Wszyscy sobie poszli. Yerrick i Moore, i ta woskowa kukła.

Eleonora wyprowadziła go do jednego z bocznych po-

koików i zamknęła drzwi. Pomieszczenie było małe i pogrążone w cieniu, kąty ginęły

w gęstym mroku. Dziewczyna nerwowo zapaliła papierosa i zaciągnęła się łapczywie, wypuszczając kłęby dymu przez nos.

–Ty chyba zwariowałeś, Benteley.

–Upiłem się. To ten napój z Callisto. Czy to prawda, że tysiące niewolników zatrutych metanem męczy się i umiera, żeby Yerrick mógł mieć swój trunek?

–Siadaj.

Popchnęła go na krzesło i zaczęła krążyć niecierpliwie tuż przed nim, sztywna jak marionetka na sznurku.

–Wszystko się sypie – mówiła. – Moore jest tak dumny z Pelliga, że wciąż się nim chwali. Yerrick nie może się pogodzić z myślą, że go obalono. Ciągle mu się zdaje, że ma wokół siebie wiernych telepatów. Boże, Boże...

Odwróciła się na pięcie i ukryła twarz w dłoniach. Benteley przyglądał się jej nieobecny wzrokiem, tymczasem ona opanowała się powoli i żałośnie ocierała spuchnięte powieki.

–Czy mogę coś dla ciebie zrobić? – spytał przyjaźnie.

Eleonora znalazła na niskim stoliku karafkę z zimną wodą. Wzięła porcelanową miseczkę z landrynkami, wysypała słodycze na krzesło i napełniła naczynie wodą. Szybko opłukała twarz, dłonie i ramiona, potem wytarła twarz i ręce wyszywaną zasłoną okienną.

–Chodźmy stąd, Benteley – mruknęła.

Ruszyła po omacku przez pokój. Benteley z trudem podniósł się i poszedł za nią. Drobną sylwetka dziewczyny z gołymi piersiami sunęła jak duch pośród mrocznych sprzętów w domu Yerricka – wśród potężnych, ciężkich posągów i oszklonych gablot, po wyłożonych dywanem schodach, obok nieruchomych robotów, które w kątach czekały na rozkazy.

Wyszli na opustoszały parkiet, spowity mrokiem i cieniami. Eleonora poczekała, aż Ted ją dogoni.

–Idę do łóżka – powiedziała po prostu. – Możesz iść ze mną, jeśli chcesz, albo wracaj do domu.

–Nie mam już domu.

Poszedł za nią korytarzem, mijając po obu stronach nie domknięte drzwi. Tu i ówdzie paliło się światło. Słyszał głosy. Zdawało mu się, że niektóre rozpoznaje.

Głosy męskie mieszały się z sennym, przytłumionym szeptem kobiet. Nagle Eleonora znikła i Ted został sam.

Szedł po omacku wśród majaczących kształtów i oddalonych cieni. Raz wpadł na coś z impetem. Runęła z łoskotem kaskada tłuczonych naczyń. Z trudem wygramolił się spod tej lawiny i stał chwilę bezradnie.

–Co ty tu robisz? – spytał gniewny głos. To Herb Moore, gdzieś bardzo blisko. Oto pojawiła się jego oświetlona twarz, jak głowa ducha zawieszona w powietrzu. – Nic tu po tobie! – Głos rósł razem z pulchną, nalaną twarzą. – Wynoś się stąd, do jasnej cholery! Idź tam, gdzie twoje miejsce, wyrzutku z trzeciorzędowego Wzgórza. Klasa 8/8? Nie rozśmieszaj mnie. Kto powiedział, że...

Benteley uderzył Moorea. Twarz zgmiotła się, trysnęła płynem i w końcu rozpadła się na kawałki. Coś runęło na Benteleya i przewróciło go. Przyduszony i przygnieciony przez płynną, galaretowatą masę usiłował wydostać się na wierzch, a przynajmniej chwycić coś twardego.

–Bądźcie cicho, błagam! – szepnęła nagląco Eleonora. – Uspokójcie się.

Benteley znieruchomiał. Obok niego Moore sapał, prychał i wycierał zakrwawioną twarz.

–Zabiję cię, ty gnojku! – zasyczał i łkając z bólu i wściekłości, ryknął: – Pożałujesz, żeś mnie uderzył!

Kiedy Benteley się ocknął, siedział na czymś niskim i rozwiązywał niezdarnie sznurowadła. Marynarka leżała na podłodze. Buty poniewierały się, oddzielone kawałkiem luksusowego dywanu. Panowała cisza – pokój

był absolutnie cichy i zimny. Przyćmiona lampa migotała w odległym kącie.

–Zamknij drzwi – dobiegł z bliska głos Eleonory. – Zdaje mi się, że Moore zwariował.

Miota się po korytarzu jak szalony.

Benteley znalazł drzwi i zamknął staromodny ręczny rygiel. Eleonora stała na środku pokoju, z jedną nogą opartą na krześle, i powoli rozwiązywała rzemyki sandałów. Benteley patrzył w milczeniu, przestraszony i zdziwiony, jak zrzuca sandały, rozpinia spodnie i oswobadza się z nich. Przez chwilę w świetle lampy zajaśniały jej nagie kostki. Białe lśniące łydki – ich obraz zatańczył przed oczyma Benteleya, który wreszcie poddał się i zacisnął powieki. Smukłe linie, drobne, doskonale gładkie nogi, w górę, aż do kolan, gdzie zaczynała się bielizna...

Potem osunął się na podłogę, a dziewczyna wyciągnęła do niego ręce. Wilgotne ramiona, drżące piersi z ciemnoczerwonymi sutkami, pełne i twarde pod jego ciężarem. Eleonora zaczerpnęła tchu, zadrżała i oplótła go ramionami. W głowie wciąż mu szumiało. Zamknął oczy i spokojnie pograżył się w rwącym strumieniu.

Po dłuższym czasie obudził się. W pokoju było zimno jak w psiarni. Wszystko trwało w bezruchu. Cisza, martwa cisza. Podniósł się z trudem, zeszywniały, oszołomiony. Umysł rozlatywał mu się na setki kawałków. Przez otwarte okno sączyło się szare światło poranka, a zimny, złowieszczy wiatr przenikał do szpiku kości. Oparł się o ścianę i próbował pozbierać myśli.

Ludzie leżeli pokotem wśród porozrzucanych ubrań i pościeli. Potykał się o wyciągnięte kończyny – odkryte ręce, gołe białe nogi, których widok był dla niego wstrząsem. Rozpoznał Eleonorę – leżała pod ścianą, na boku, z wyciągniętą ręką i zaciśniętą-pięścią, z podciągnięty-

mi nogami, oddychała przez rozchylone wargi. Szedł dalej i nagle skamieniał.

Szare światło padało na kolejną postać -jego starego przyjaciela Ala Davisa, który, spokojny i zadowolony, spoczywał w ramionach swej pogrążonej w głębokim śnie żony. Leżeli przytuleni, zapomniawszy o świecie.

Trochę dalej leżeli inni – niektórzy chrapali, ktoś ruszał się, na wpół przebudzony. Ktoś inny stęknął i po omacku szukał przykrycia.

Niechcący nadepnął na kieliszek – ciemny płyn rozlał się wśród okruchów szkła. A następna twarz jakby znajoma. Kto to? Mężczyzna, przystojny brunet...

Przecież to jego twarz!

Przedarł się do drzwi i znalazł się w jasno oświetlonym hallu. Poczł zgrozę; zaczął biec na oślep. W absolutnej ciszy bosc stopy niosły go przez wyłożone dywanami korytarze, bezkresne i opustoszałe, obok szarych okien, po bezgłośnych schodach, które zdawały się nie mieć końca. Wypadł zza jakiegoś zakrętu i znalazł się w małej alkowie przed olbrzymim lustrem, które zagroziło mu drogę.

W lustrze odbijała się zamazana postać. Pusty, bezduszny robak, pochwycony w mętnej, żółtawej toni. Oniemiał wpatrywał się w lniane włosy, usta pozbawione wyrazu, bezbarwne oczy. Po bokach zwisały bezwładne ręce bez kości. Błady stwór bez kręgosłupa oddawał mu spojrzenie, niemy i nieruchomy.

Wrzasnął i zjawa znikła. Rzucił się w szarawe korytarze, ślizgając się bosymi stopami na zakurzonych dywanach. Nie czuł, po czym biegnie. Pędził gnany przerażeniem- wrzeszcząca kreatura, usiłująca dostać się na kopulasty dach budynku.

Z rozpostartymi ramionami mknął bezgłośnie przez wyłożone drewnem korytarze i bezludne przejścia – oślepiiony, przerażony upiór, który miota się rozpaczliwie

i rzuca na zamknięte okna, bezskutecznie szukając wyjścia. Z potężnym łoskotem rąbnął boleśnie w murowany kominek. Potłuczony osunął się na miękki, zakurzony dywan. Przez chwilę leżał oszołomiony, ale zaraz zerwał się i ruszył na oślep, bezmyślnie, przed siebie, osłaniając rękoma twarz, z zamkniętymi oczyma i otwartymi ustami.

Z przodu dobiegały jakieś głosy. Smuga żółtego światła sączyła się przez uchylone drzwi. Wewnątrz kilku mężczyzn siedziało wokół stołu, zarzuconego taśmami i notatkami. Pośrodku płonęła atroniczna żarówka, ciepła, niezawodna miniatura słońca, która przyciągała go hipnotycznie. Mężczyźni pisali coś, pracowicie pomrukując, otoczeni filiżankami kawy. Jeden z nich był mocno zbudowany, miał szerokie, spadziste ramiona.

–Yerrick! – krzyknął do niego, głosem ciekim i słabym, trzepotliwym jak głos owada. – Yerrick, pomóż mi! Reese Yerrick spojrzał niechętnie.

–Czego chcesz? Jestem zajęty. Trzeba to wszystko skończyć, zanim wyruszymy w drogę.

–Yerrick! – wrzasnął, przejęty zgrozą i ślełą paniką. – Kim ja jestem?

–Ty jesteś Keith Pellig- odparł zirytowany Yerrick, ocierając czoło olbrzymią łapą i odsuwając leżące przed nim taśmy. – Jesteś mordercą, którego wybrała Konwencja. Musisz być gotów do akcji za niecałe dwie godziny. Masz przed sobą poważne zadanie.

Z pograżonego w mroku hallu weszła Eleonora Stevens.

–Yerrick, to nie jest Keith Pellig. Sprowadź tu Moore'a i jego spytaj. On się mści na Benteleyu, pobili się wczoraj. Yerrick szeroko otworzył oczy.

–To jest Benteley? Ten cholerny Moore! On chyba zwariował, w ten sposób wszystko może wziąć w łeb. Benteley zaczął powoli wracać do zdrowych zmysłów.

–Czy to można naprawić? – spytał cicho.

–Był nieprzytomny – powiedziała łamiącym się głosem Eleonora. Miała na sobie spodnie i sandały oraz płaszcz, narzucony na ramiona. Jej twarz była bezbarwna, a rude włosy w strąkach i bez połysku. – Nie przeszedłby przez to w stanie pełnej świadomości – ciągnęła. – Wezwij lekarza z laboratorium, żeby go oszołomił. I nie próbuj skorzystać z tej okazji. Wycofaj go, zanim mu cokolwiek powiesz. On by tego nie zniósł w tej chwili, rozumiesz?

Zjawił się Moore, mocno przestraszony.

–Nie stało się nic złego, po prostu trochę się pospieszyłem. – Chwycił Benteleya pod rękę. – Chodź. Zaraz wszystko naprawimy.

Benteley oswobodził się. Odszedł od Moore'a i spojrzał na swoje obce ręce, na twarz.

–Yerrick – powiedział słabym, pustym głosem. – Pomóż mi.

–Załatwimy to – odparł grubym głosem Yerrick. – Wszystko będzie w porządku. Oto lekarz.

Yerrick i lekarz chwycili go pod rękę. Herb Moore cofnął się kilka kroków, bojąc się podejść za blisko do Yerricka. Przy biurku zmęczona Eleonora paliła papierosa i przyglądała się, jak doktor wprowadza igłę w ramię Benteleya i naciska tłok. Pograżając się w ciemnościach, pacjent słyszał, jak mocny głos Yerricka cichnie i zanika:

–Trzeba było go zabić albo zostawić w spokoju, a nie robić takie sztuczki. Myślisz, że on o tym zapomni?

Moore odpowiedział coś, ale Benteley już nie słyszał. Zapanowała kompletna ciemność, a on był w jej środku.

Z oddali docierał głos Eleonory Stevens.

–Wiesz, Reese nie rozumie naprawdę, czym jest Pel-lig. Nie uważasz?

–On nie rozumie żadnej teorii – odparł ponury i zgryźliwy głos Moore'a.

–Nie musi rozumieć teorii. Po co, skoro może wynająć dowolną liczbę inteligentnych młodzieńców, którzy będą rozumieli za niego.

–Przypuszczam, że mnie masz na myśli.

–Dlaczego jesteś z Reese'em? Przecież go nie lubisz. Nie macie wspólnego języka.

–Yerrick inwestuje pieniądze w moje prace. Gdyby nie on, nic bym nie osiągnął.

–Jak będzie po wszystkim, Reese zbierze owoce.

–Nieważne. Posłuchaj, przejrzałem papiery MacMil-lana, jego prace o robotach. Co z tego w końcu wynikło? Tylko te tępe pojazdy, osławione odkurzacze, piecyki i głupkowaci kelnerzy. Pomysł MacMillana był z gruntu zły. Jemu zależało tylko na przyrządzie, który byłby duży i silny, żeby niery mogły leżeć do góry brzuchem. Żeby zlikwidować służbę i robotników-nierów. MacMillan lubił nierów. Pewnie kupił swoją klasę na czarnym rynku.

Słyszeć było jakiś ruch – ludzie budzili się, wstawali, chodzili, brzęczało szkło.

–Szkocka z wodą – powiedziała Eleonora.

Potem ktoś usiadł. Jakiś mężczyzna westchnął z ulgą.

–Jestem zmęczony. Co za noc. Chyba dziś pójdę wcześniej spać. Cały dzień do niczego.

–To twoja wina.

–Nie szkodzi, on poczeka na naszego wspaniałego Pelliga.

–Chyba nie będziesz się sam tym zajmował w takim stanie?

Głos Moore'a wibrował wściekłością.

–Przecież on należy do mnie!

–On należy do świata – powiedziała Eleonora. – Tak jesteś pogrążony w swoich pamięciowych rozgrywkach szachowych, że nie zdajesz sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie na nas ściągasz. Każda godzina daje temu dziwakowi lepsze szansę przeżycia. Gdybyś nie zwariował i nie wyrzucił wszystkiego do góry nogami z powodu osobistej urazy, Cartwright już by nie żył.

Był wieczór.

Benteley poruszył się. Uniósł się nieco, zdziwiony, że znów jest silny i może jasno myśleć. Pokój był pogrążony w półmroku. Jarzyło się tylko jedno światło, mała, rozżarzona kropka, w której rozpoznał papierosa Eleonory. Obok niej siedział Moore, po turecku, ze szklanką whisky w ręce, z twarzą smutną i nieobecną. Eleonora wstała nagle i zapaliła małą lampkę na stole.

–Ted?

–Która godzina? – spytał Benteley.

–Pół do dziewiątej.

Dziewczyna podeszła do łóżka, z rękoma w kieszeniach.

–Jak się czujesz? – spytała.

Ted niepewnie opuścił nogi na podłogę. Miał na sobie

85

zwykłą nocną koszulę. Nigdzie w pobliżu nie było widać ubrania.

–Jestem głodny – powiedział.

Nagle zacisnął pięść i uderzył się mocno w twarz.

–To ty – powiedziała rzeczowo Eleonora. Kiedy wstał, ugięły się pod nim nogi.

–Cieszę się. Więc to się naprawdę zdarzyło?

**–Naprawdę. – Dziewczyna sięgnęła po papierosa. – I jeszcze nieraz się zdarzy –
dodała. – Tylko następnym razem będziesz przygotowany. Ty oraz dwudziestu
trzech innych bystrych młodych ludzi.**

–Gdzie jest moje ubranie?

–Dlaczego pytasz?

–Idę stąd.

Moore zerwał się błyskawicznie.

**–Nie możesz stąd wyjść. Zastanów się. Odkryłeś tajemnicę Pelliga. Myślisz, że
Yerrick puści cię wolno?**

**–Gwałćcie reguły Konwencji Łowów. – Benteley znalazł swoje ubranie w szafie i
rozłożył je na łóżku. – Można wysłać tylko jednego mordercę naraz. Ten wasz stwór
jest tak zmontowany, że wygląda na jednego człowieka, ale...**

–Powoli – wtrącił Moore. – Nie rozszyfrowałeś go do końca.

Benteley zdjął koszulę nocną i rzucił ją w kąt.

–Ten cały Pellig jest sztucznym tworem.

–Zgadza się.

**–Pellig jest tylko pojazdem. Chcecie w nim zamknąć tuzin świetnych mózgów i
skierować go w stronę Bata-wii. Cartwright zginie, wy spalicie powłokę Pelliga i nikt
nie dowie się prawdy. Zapłacicie mózgom i odeślecie każdego do jego pracy. Mnie
również.**

Moore zaśmiał się.

**–Chciałbym, żeby tak było. Nawet próbowaliśmy czegoś w tym rodzaju.
Zamknęliśmy w Pelligu naraz trzy**

L

osobowości. W rezultacie wynikł chaos. Każdy ciągnął w swoją stronę.

–Czy Pellig ma jakąś osobowość? – spytał Benteley, ubierając się. – Co się dzieje po odłączeniu wszystkich mózgów?

–Pellig jest wtedy, jak my to nazywamy, rośliną. Nie umiera, tylko przechodzi na prymitywny poziom istnienia. Trwają procesy organiczne, Pellig zapada w półsen.

–A kto nim poruszał wczoraj na przyjęciu?

–Urzędnik z mojego laboratorium. Nieciekawy typ. Jak zauważyłeś, Pellig jest dobrym medium, nie zniekształca ani nie rozszcza osobowości.

Benteley wyrwał się z zamyślenia i powiedział:

–Kiedy ja w nim byłem, zdawało mi się, że Pelling jest tam razem ze mną.

–Ja też miałam to wrażenie – przyznała Eleonora. – Kiedy spróbowałam pierwszy raz, zdawało mi się, że mam węża w spodniach. To złudzenie. Kiedy to spostrzegłeś?

–Gdy spojrzałem w lustro.

–Staraj się nie patrzeć w lustro. Pomyśl, co ja czułam. W końcu ty jesteś mężczyzną. Dla mnie to było ciężkie przeżycie. Myślę, że Moore nie powinien eksperymentować z kobietami. To jest zbyt duży szok.

–Ale przecież nie pakujecie w niego ludzi bez uprzedzenia? – spytał Benteley.

–Mamy wytrenowaną ekipę – odparł Moore. – Przez ostatnie kilka miesięcy wypróbowaliśmy setki ludzi. Większość odpadła. Po paru godzinach dostawali klaustrofobii. Chcieli się z tego wydostać, zdawało im się, że dotykają, tak jak Eleonora, czegoś oślizgłego i brudnego. – Wzruszył ramionami. – Ja tego tak nie odczuwam. Uważam, że on jest piękny.

–Ilu w końcu zostało? – spytał Benteley.

–Dwudziestu czterech. Wśród nich twój przyjaciel

Davis. Ma odpowiednią osobowość, jest spokojny, łagodny, niewymagający.

Benteley wyprostował się.

–A więc to jest jego nowa klasa. Dzięki temu wygrał Kwiz.

–Każdy dostaje za to wyższą klasę. Oczywiście kupioną na czarnym rynku. Yerrick mówi, że ty się nadajesz. Nie jest to tak ryzykowne, jak mogłoby się wydawać. Gdyby coś nie wyszło, gdyby przyczepili się do Pelliga, wycofamy tego, kto w nim w danej chwili siedzi.

–Więc na tym polega metoda – powiedział Benteley, na wpół do siebie. – Cóż, skuteczna.

–Niech nam udowodnią pogwałcenie praw Konwencji – ożywił się Moore. – Nasza ekipa prawna rozpatrzyła wszystkie za i przeciw. Prawo mówi o jednym mordercy naraz, wybranym przez ogólną Konwencję. Keith Pellig jest wybrany przez Konwencję i zawsze będzie tylko on jeden.

–Nie wiem, czemu to ma służyć.

–Zobaczysz – powiedziała Eleonora. – Moore ci to wszystko opowie ze szczegółami.

–Najpierw muszę coś zjeść – stwierdził Benteley.

Wszyscy troje ruszyli powoli wyłożonym dywanami hallem w stronę jadalni. W drzwiach Benteley zamarł w bezruchu – przy stole Yerricka siedział sobie spokojnie Pellig, przed nim talerz z cielęcina i tłuczonymi ziemniakami, u białych, bezkrwistych warg szklanka wody.

–Co się stało? – spytała Eleonora.

–Kto w nim jest?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

–Technik z laboratorium. Zawsze kogoś w nim trzymamy. Im bardziej się z nim oswoimy, tym większe mamy szansę.

Benteley usiadł możliwie najdalej od Pelliga. Krępo-

wała go jego woskowa bladość – wyglądał jak owad, który dopiero co wyszedł z kokonu i jeszcze nie zdążył się wzmocnić i wyschnąć na słońcu. A potem sobie przypomniał.

–Słuchajcie – powiedział matowym głosem. – Jest jeszcze coś.

Moore i Eleonora wymienili spojrzenia.

–Nie przejmuj się tak, Benteley – powiedział Moore.

–Latanie. Uniosłem się w powietrze. Leciałem nad ziemią jak duch. A potem ten kominek. Dotknął ręką czoła – ani guza, ani blizny. Oczywiście. Przecież to inne ciało.

–Powiedzcie – domagał się natarczywie. – Co się ze mną działo?

–To ma związek z lżejszą wagą – powiedział Moore. – Tamto ciało jest nieco lepsze od zwykłego ciała ludzkiego.

Twarz Benteleya musiała wyrażać niedowierzanie, bo Eleonora wtrąciła:

–Prawdopodobnie Pellig wypił narkotyczny koktajl, zanim wszedłeś w jego ciało. Krążyły na przyjęciu, widziałam kilka kobiet, które je piły.

Gruby głos Yerricka przerwał rozmowę.

–Moore, ty jesteś dobry w abstrakcyjnych kwestiach. – Yerrick posłał w stronę Moore'a zwój metalowej folii. – Przeglądałem tajne zapisy dotyczące tego dziwaka Cart-wrighta. Nic ważnego, ale jedna rzecz mnie niepokoi.

–Co takiego? – spytał Moore.

–Po pierwsze miał własną kartę „W”. To rzadkie u nierów. Szansa, że dana karta wygra, jest tak mikroskopijnie mała, tak absolutnie nikła...

–Zawsze jest statystyczne prawdopodobieństwo. Yerrick zachnął się.

–Butelka to największy kant w historii świata. To jest loteria, w której każdy człowiek ma swój los. Ale po co trzymać kartę, dającą jedną szansę na sześć miliar-

dów, szansę, która nigdy nie nadejdzie? Niery mają dość oleju w głowie, żeby

sprzedawać karty, jeśli nie odbierze im ich Wzgórze. Ile teraz kosztuje taka karta?

–Około dwóch dolarów. Kiedyś była warta więcej.

–Otóż to. A ten Cartwright trzymał swoją kartę. Co więcej... – Na potężnej twarzy Yerricka pojawił się wyraz przebiegłości. – według moich danych w ciągu ostatniego miesiąca Cartwright kupił, kupił, nie sprzedał, co najmniej sześć kart „W”.

Moore wyprostował się.

–Naprawdę?

–A może – powiedziała z namysłem Eleonora – Cartwright znalazł w końcu szczęśliwy amulet. Yerrick ryknął jak zraniony wół.

–Co za bzdury! Nie chcę słyszeć o tych idiotycznych amuletach.

Dźgnął palcem osłonięte piersi dziewczyny.

–Co to znaczy? Nosisz jeden z tych woreczków z okiem trytona? Zdejmij mi go zaraz i wyrzuć. To strata czasu.

Eleonora uśmiechnęła się łagodnie. Wszyscy znali dziwactwo Yerricka-jego niechęć do amuletów.

–Co więcej? – spytał Moore. – Masz jeszcze inne informacje?

–W dniu, w którym butelka dokonała obrotu, odbyło się zebranie Towarzystwa Prestonitów – powiedział Yerrick, zaciskając pięści. – Może on odkrył to, czego ja szukałem, czego wszyscy szukają: sposób na opanowanie butelki. Zapis jej przyszłych ruchów. Jak pomyślę, że Cartwright siedział sobie spokojnie w fotelu i czekał na potwierdzenie nominacji...

–To co? – spytała Eleonora.

Yerrick zamilkł. Dziki grymas przeciął mu rysy, tik udręki, który zdumiał Benteleya i zmroził pozostałych. Nagle Yerrick zajął się jedzeniem, a reszta poszła w jego ślady.

Po obiedzie Yerrick odsunął filiżankę z fusarni i zapalił cygaro.

–Posłuchaj – zwrócił się do Benteleya. – Powiedziałeś, że chcesz poznać naszą strategię. Oto ona. Kiedy telepata przechwyci myśli mordercy, ma go w ręku. Gwardziści nigdy nie dadzą mordercy przedrzeć się: przekazują go sobie nawzajem. Wiedzą dokładnie, co zamierza zrobić, z chwilą gdy o tym pomyśli. Upada wszelka strategia: morderca jest pod ciągłym nadzorem, aż gwardziści znudzą się i wykończą go.

–Dlatego telepaci zmusili nas do zastosowania Mini-maxu – wpadł mu w słowo Moore. – Nie ma strategii przeciw telepatom, trzeba działać przypadkowo. Trzeba nie wiedzieć samemu, co się robi za chwilę. Trzeba zamknąć oczy i gnać na oślep. Problem w tym, jak oprzeć strategię na przypadku, a równocześnie zmierzać konsekwentnie do celu.

–W przeszłości – ciągnął Yerrick – mordercy starali się w jakiś sposób podejmować przypadkowe decyzje. Pomógł im Plimp. Plimp to treningowy morderca. Kieszonkowa tabliczka wyznacza przypadkowe kombinacje, według których można podejmować najbardziej skomplikowane decyzje. Morderca patrzy na tabliczkę, odczytuje numer i działa zgodnie z ustalonymi wcześniej regułami. Telepata nie wie z góry, co pokaże tabliczka, tak jak nie wie tego morderca.

Ale to nie wystarczało – mówił dalej Yerrick. – Morderca grał w ten cholerny Minimax, lecz wciąż przegrywał. Przegrywał, bo telepaci też grali w Minimax, a poza tym ich było osiemdziesięciu, a on jeden. Mieli miążdżącą przewagę. Tylko raz na jakiś czas morderca miał szczęście. De Falla wygrał, otwierając na oślep Zmierzch cesarstwa rzymskiego Gibbona i w skomplikowany sposób wykorzystując otrzymane dane.

–Pellig jest właściwym rozwiązaniem – wtrącił się

Moore. – Mamy dwadzieścia cztery różne mózgi. Nie będzie między nimi żadnego kontaktu. Każdy z nich siedzi w innej kabinie, tu, w Farben. Każdy jest podłączony do urządzeń transmitujących. Co jakiś czas uruchamiamy inny mózg na zasadzie przypadku. Każdy mózg ma w pełni opracowaną strategię. Ale nikt nie wie, który mózg będzie następny... i kiedy. Nikt nie wie, która strategia, który plan działania zacznie się za chwilę. Telepaci nie będą wiedzieć, co ciało Pelliga zrobi za pięć sekund.

Benteley odczuł dreszcz podziwu dla tego bezwzględnego, superlogicznego

inżyniera...

–Nieźle – przyznał.

–A widzisz! – powiedział z dumą Moore. – Pellig jest jak cząstka nieoznaczona Heisenberga. Telepaci mogą odkryć jego drogę: wprost do Cartwrighta. Ale nie mogą określić prędkości. W którym miejscu tej drogi będzie w danym momencie Pellig – tego nikt nie wie.

8.

Mieszkanie Eleonory Stevens składało się z kilku atrakcyjnych pokoi w najlepszej dzielnicy Wzgórza Far-ben.

Benteley rozglądał się z aprobatą, podczas gdy Eleonora zamykała drzwi, zapalała światło i robiła powierzchowne porządki.

–Dopiero co się wprowadziłam – wyjaśniła. – Stąd ten bałagan.

–A gdzie Moore?

–Przypuszczam, że został w głównym budynku.

–Myślałem, że z nim mieszkasz.

–Już nie.

Eleonora przekręciła filtr przezroczystości w widokowej ścianie pokoju. Nocne niebo, usiane gwiazdami i świetlnymi punkcikami Wzgórza, ściemniało i znikło. Dziewczyna spojrzała na Teda z ukosa i powiedziała trochę zakłopotana:

–Prawdę mówiąc, w tej chwili z nikim nie mieszkam.

–Przepraszam – powiedział Benteley skrępowany. – Nie wiedziałem.

Eleonora wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się błyskiem oczu i drgnieniem nerwowych ust.

–Niezła historia, co? Gdy rozstałam się z Moore'em, żyłam z innym inżynierem z laboratorium, jego przyjaciele, a potem z pewnym planistą. Pamiętaj, że byłam

93

telepatką. Zwykli ludzie na ogół nie chcą żyć z telepatami, a z kolei z gwardzistami też trudno mi się było dogadać.

–Teraz już nie masz tych problemów.

–Tak, to prawda.

Chodziła po pokoju z rękoma wbitymi w kieszenie, poważna i zamyślona.

–Chyba zmarnowałam sobie życie. Nigdy naprawdę nie chciałam być telepatką. Ale miałam do wyboru przejść przez trening gwardyjski albo poddać się operacji mózgu.

Zapisałam się na kurs, żeby uniknąć obozu pracy... Nie mam żadnej klasy. Wiedziałaś o tym? Jeżeli Yerrick mnie odrzuci – jestem skończona. Nie mogę wrócić do Gwardii i nie mam najmniejszych szans, żeby wygrać Kwiz. – Spojrzała błagalnie na Benteleya. – Czy teraz, wiedząc, że jestem sama, myślisz o mnie inaczej?

–Oczywiście, że nie.

–Czuję się bardzo dziwnie, nie mając nikogo – powiedziała z energicznym gestem. – Jestem zupełnie odcięta. Na własnym rachunku. To dla mnie okropne przeżycie, Ted. Musiałam pójść za Yerrickiem, to jedyny człowiek, przy którym czuję się całkowicie bezpieczna. Ale z drugiej strony to mnie oderwało od rodziny. – Spojrzała na Teda z przejęciem. – Nie znoszę być sama. Tak się boję...

–Nie bój się. Gwiżdż na ludzi. Eleonora wzdrygnęła się.

–Nie mogę. Co to za życie? Trzeba mieć ludzi, na których można polegać, kogoś silnego, kto się będzie tobą opiekował. Żyjemy w wielkim, zimnym świecie, ponurym, wrogim, pozbawionym ciepła. Wiesz, co się z tobą stanie, jeżeli załamiesz się i wypadniesz z gry?

–Wiem – przytaknął Ted. – Wysyłają ich setki tysięcy.

–Może powinnam zostać w Gwardii. Ale ja nienawidzę gwardzistów. Wciąż węszą, nadśluchują, zawsze wie-

dzą, o czym myślisz. To nie jest życie, człowiek przestaje być odrębną jednostką, staje się czymś w rodzaju organizmu zbiorowego. Nie można naprawdę kochać ani naprawdę nienawidzić. Ma się tylko swoją pracę. A nawet i ona nie jest twoja. Dzielisz ją z osiemdziesięcioma innymi ludźmi, ludźmi pokroju Wakemana.

–Chciałabyś być sama, ale się boisz – powiedział Benteley.

–Chcę być sobą! Wcale nie chcę być sama. Nie cierpię, kiedy budzę się rano i obok mnie nie ma nikogo. Nie cierpię wracać po pracy do pustego mieszkania. Sama jem obiad, dla siebie gotuję i sprzątam. Wieczorem zapalam światło, zaciemniam okno. Oglądam telewizję. Siedzę. Myślę.

–Jesteś młoda. Przywykniesz.

–Nie chcę przywyknąć! – Nagle rozpromieniła się. – Zresztą i tak nieźle mi się wiodło. – Odrzuciła z czoła płomienne włosy, a olśniewająco zielone, bystre oczy zaszyły jej mgiełką. – Żyłam z wieloma mężczyznami, odkąd skończyłam szesnaście lat. Już nie pamiętam wszystkich. Poznawałam ich tak, jak poznałam ciebie, w pracy, na przyjęciach, czasem przez znajomych. Jakiś czas byliśmy razem, potem się kłóciliśmy. Zawsze coś się psuło, nic nie trwało długo. – Znów zadrżała, ogarnięta przemożnym lękiem. – Wszyscy odchodzą! Są ze mną jakiś czas, a potem sobie idą, a mnie zostawiają. Albo nawet... wyrzucają.

–Zdarza się – stwierdził Benteley. Ledwie słyszał, co mówi dziewczyna, pogrążony we własnych myślach.

–Któregoś dnia znajdę tego jedyne – powiedziała żarliwie Eleonora. – Dlaczego nie? Mam dopiero dziewiętnaście lat. Jak na swój wiek sporo osiągnęłam. A Ver-rick jest moim opiekunem. Zawsze mogę na niego liczyć.

Benteley wstał.

–Czy prosisz mnie, żebym z tobą zamieszkał?

Eleonora zaczerwieniła się.

–A nie chciałbyś? Ted nie odpowiedział.

–O co chodzi? – spytała szybko dziewczyna nalegającym tonem.

–To nie ma nic wspólnego z tobą. Benteley odwrócił się do niej plecami i podszedł

do przezroczystej ściany widokowej. Przekręcił gałkę.

–Nocą Wzgórze wygląda pięknie – powiedział z melancholią. – Patrząc na nie teraz, można zapomnieć, czym ono jest naprawdę.

–Co tam Wzgórze! – powiedziała Eleonora, zaciemniając szybę. – Mówisz, że nie chodzi o mnie. Więc o Ver-ricka? Tak, chodzi o Yerricka. Teraz sobie przypominam, jak wpadłeś do biura, trzymając kurczowo teczkę niby pas cnoty. – Uśmiechnęła się z lekka. – Byłeś taki podekscytowany. Jak chrześcijanin, który ma za chwilę dostać się do nieba. Tak długo czekałeś... tyle sobie wyobrażałeś. Było w tobie wówczas coś wzruszającego. Miałam nadzieję, że zostaniesz przyjęty.

–Chciałem wydostać się z systemu Wzgórz. Chciałem dostać się w lepsze miejsce. Do Dyrektoriatu.

–Do Dyrektoriatu! – zaśmiała się Eleonora. – A cóż to takiego? Czysta abstrakcja. Jak myślisz, z czego się składa Dyrektoriat? – Oddychała szybko, z szeroko otwartymi oczyma. – Prawdziwi są ludzie, a nie instytucje czy biura – dodała po chwili. – Jak możesz być wierny rzeczy? Starzy umierają, przychodzą nowi, twarze się zmieniają. Czy twoja lojalność trwa? Dlaczego? Wierność czemu? To przesady. Jesteś wierny słowu, nazwie. A nie żywemu człowiekowi z krwi i kości.

–Urzędy i biurka to nie wszystko – powiedział Benteley. – Jest coś ponadto. One coś reprezentują.

–Co reprezentują?

–To jest wyższe od nas. Większe niż człowiek czy grupa ludzi. To jest jakby wszystko.

–Raczej nic. Jeśli masz przyjaciela, to on jest konkretną osobą, a nie klasą czy grupą, prawda? Nie przyjaźnisz się przecież z klasą 4/7. Jeśli idziesz do łóżka z dziewczyną, to jest to konkretna dziewczyna. Wszystko poza tym rozpada się... jak kapryśny, bezwolny dym, którego nie można dotknąć. Zostają tylko ludzie: rodzina, przyjaciele, kochanka, opiekun. Ich możesz dotknąć, możesz się do nich zbliżyć... odetchnąć ciepłym, prawdziwym życiem. Pot, włosy, skóra, ślina, oddechy, ciała. Smak, dotyk, zapach, barwy. Dobry Boże, przecież musi być coś, czego można się trzymać! A co jest tam, poza ludźmi? Na czym można polegać, poza opiekunem?

–Polegaj na sobie.

–Reese się o mnie troszczy. On jest potężny i silny.

–On jest twoim ojcem – powiedział Benteley. – A ja nienawidzę ojców.

–Jesteś... nienormalny. Coś jest z tobą nie w porządku.

–Wiem – przyznał Benteley. – Jestem chory. A im więcej rozumiem, tym bardziej choruję. Jestem tak chory, że wyobrażam sobie, iż wszyscy inni są chorzy, a ja jeden jestem zdrowy. Nieźle, prawda?

–Tak – powiedziała oszołomiona Eleonora.

–Chciałbym rozwalić to wszystko z wielkim trzaskiem. Ale nie muszę, świat sam się rozpada. Wszystko jest cienkie, puste, metaliczne. Gry, loterie: zabawki inteligentnych dzieci! Jedyna rzecz, która trzyma wszystko w kupie, to hold lenny. Stanowiska na sprzedaż, cynizm, luksus i nędza, znieczulica... ryk telewizorów. Jakiś człowiek wybiera się zabić innego człowieka, a wszyscy patrzą i biją brawo. W co my wierzymy? Co mamy? Zdolnych przestępców, którzy pracują dla potężnych przestępców. Przysięgamy wierność plastikowym popiersiom.

–Popiersie jest symbolem. I to nie na sprzedaż. Jest jedyną rzeczą, jakiej nie można kupić ani sprzedać. – Zielone oczy Eleonory rozbłysły triumfalnie. – Ty o tym wiesz, Ted. To nasza najcenniejsza rzecz. Wierność i lojalność między nami, między opiekunem i lennikiem, między mężczyzną i jego kochanką.

–A może – powiedział powoli Benteley – może powinniśmy być wierni ideałom?

–Jakim ideałem?

Mózg Benteleya nie zdobył się na odpowiedź. Zacięły się kółka, przekładnie i tryby. Obce, niepojęte myśli wdzierały się do głowy, niechciane i nie wzywane, powodując zakłócenia i zgrzyty w pracy mechanizmu. Skąd się wziął ten strumień myśli? Nie miał pojęcia.

–Tylko to nam zostało – powiedział w końcu. – Hołd lenny. Wierność. To cement, który chroni cały świat przed ostatecznym rozpadem. Ale czy spoiwo jest wiele warte? Czy jest trwałe? Nie zanadto. Kruszy się, gdy my tu stoimy.

–Nieprawda – zachnęła się Eleonora.

–Czy Moore jest wierny Yerrickowi?

–Nie! Dlatego go opuściłam. On i jego teorie. Tylko im jest wierny. Herb Moore i jego teorie. Jakie to wstrętne! Amulety zatańczyły jej wściekle na szyi.

–Yerrick też nie jest lojalny – powiedział ostrożnie Benteley, próbując wy badać reakcję dziewczyny. Jej twarz zastygła i pobladła. – To nie jest wina Moore'a – ciągnął. – On tylko próbuje zdobyć, co się da. Podobnie inni. Także Reese Yerrick. Każdy z nich złamałby przysięgę wierności, gdyby mu to przyniosło zysk albo dodatkową przewagę. Każdy walczy o władzę. Każdy chce się dostać na szczyt i nic nie jest go w stanie powstrzymać. Gdyby gra toczyła się w otwarte karty, zobaczyłabyś, jak mało jest warta lojalność.

–Yerrick nigdy nie złamałby przysięgi! On nigdy nie opuści ludzi, którzy są od niego zależni.

–Już to zrobił. Złamał zasady etyczne, pozwalając mi złożyć hołd. Ty też w to jesteś zamieszana, przecież wiedziałaś. Ja złożyłem przysięgę w dobrej wierze.

–Och, Boże -jęknęła Eleonora. – Pewnie nigdy o tym nie zapomnisz. Gniewasz się, bo myślisz, że wystrychnięto cię na dudka.

–Tu chodzi o coś więcej, nie łudźmy się. Przeświecają przez to żałośnie słabe podstawy systemu. Kiedyś to zrozumiesz. Ja to już wiem: dostałem nauczkę. Zresztą czego innego można się spodziewać po społeczeństwie gier, kwizów i morderców?

–Nie wiń o to Yerricka. Konwencja powstała przed wielu laty, kiedy opracowano i uruchomiono sam system obrotu butelki, cały ten Minimax.

–Yerrick nie trzyma się nawet reguł Minimaxu. Próbuje wygrać za pomocą Pelliga.

–I wygra?

–Prawdopodobnie.

–Więc czemu narzekasz? Czyż nie liczy się rezultat? – Eleonora chwyciła Teda kurczowo za ramię. – No już, zapomnij o tym. Zanadto się przejmujesz. Moore za dużo gada, a ty się za dużo przejmujesz. Ciesz się: jutro będzie wielki dzień.

Nalała whisky i podała Benteleyowi. Siedział zamyślony, powoli sączył trunek. Eleonora usiadła obok niego na kanapie. W przyćmionym świetle ogniste włosy dziewczyny iskrzyły się i płonęły czerwoną łuną. Podciągnęła pod siebie nogi. Szare kropki nad uszami nikły w mroku – ale wciąż tam były. Eleonora oparła się o Teda, zamknęła oczy i obracając w palcach szklankę, powiedziała cicho:

–Chcę cię o coś zapytać. Czy zostaniesz po naszej stronie?

Benteley milczał dłuższą chwilę. W końcu powiedział:

–Tak.

Eleonora odetchnęła z ulgą.

–Bogu dzięki. Strasznie się cieszę. Benteley schylił się i postawił szklankę na niskim stoliku.

–Przecież przysięgałem. Złożyłem hołd Yerrickowi. Nie mam żadnego wyboru, chyba

że chciałbym złamać przysięgę i zwrócić się przeciwko niemu.

–To się zdarza.

–Ja nigdy nie złamałem przysięgi. Od lat miałem dość Oiseau-Lyre, ale nigdy nie starałem się odejść. Mogłem próbować: ryzykowałbym, że mnie złapią i zabiją. Uznaję prawo, które czyni opiekuna panem życia i śmierci zbiegłego lennika. Ale uważam, że nikt nie powinien łamać przysięgi. Ani opiekun, ani lennik.

–Mówiłeś, że te zasady się kruszą.

–Tak. Ale ja nie chcę przykładać do tego ręki. Eleonora odstawiła szklankę i zarzuciła Tedowi na szyję gładkie, nagie ramiona.

–Powiedz mi, jak wygląda twoje życie? Co dotychczas robiłeś? Czy żyłeś z wieloma kobietami?

–Z kilkoma.

–Jakie one były?

Benteley wzruszył ramionami.

–Różne – powiedział.

–Czy były ładne?

–Chyba tak.

–A ostatnia?

Benteley poszukał w pamięci.

–Parę miesięcy temu. Dziewczyna z klasy 7/9. Na imię miała Julie.

Zielone oczy Eleonory wpatrywały się uporczywie w Benteleya.

–Powiedz mi coś o niej.

–Drobna. Ładna.

–Podobna do mnie?

–Ty masz ładniejsze włosy. – Dotknął miękkich, ognistych włosów dziewczyny. – Masz bardzo ładne włosy. I oczy. – Przyciągnął ją do siebie i trzymał tak przez dłuższy czas. – Jesteś bardzo ładna.

Drobna piąstka dziewczyny zacisnęła się na amuletach, wiszących między jej piersiami.

–Wszystko zaczyna się układać – szepnęła Eleonora. – Szczęście, prawdziwe szczęście.

Podniosła się, żeby pocałować go w usta. Przez chwilę jej ciepła, namiętna twarz przylegała do jego twarzy, potem dziewczyna odsunęła się z westchnieniem.

–Będzie nam tu wszystkim dobrze, zobaczysz.

Benteley nic na to nie powiedział.

Po chwili Eleonora odsunęła się i zapaliła papierosa. Siedziała z założonymi rękoma i wpatrywała się z powagą w Benteleya dużymi natchnionymi oczami.

–Ty zajdziesz bardzo daleko, Ted. Yerrick bardzo cię ceni. Tak się bałam, kiedy wczoraj to zrobiłeś. Kiedy mu wszystko wygarnąłeś. Ale to mu się spodobało. On cię szanuje. Uważa, że jest w tobie coś. I ma rację! Jest w tobie coś wyjątkowego, jakaś siła. – Po chwili dodała żarliwie: – Dużo bym dała, żeby móc zajrzeć w twoje myśli. Ale skończyła się telepatia.

–Ciekaw jestem, czy Yerrick zdaje sobie sprawę, co poświęciłaś dla niego.

–Yerrick ma ważniejsze sprawy na głowie. – W głosie dziewczyny zabrzmiało nagłe ożywienie. – Kto wie, może jutro wrócimy do władzy! Wszystko będzie tak jak przedtem, tak jak powinno być. Czyż to nie będzie wspaniałe?

–Myślę, że tak.

Eleonora odłożyła papierosa, przytuliła się do Teda i pocałowała go.

–A ty naprawdę będziesz z nami? Naprawdę pomożesz kierować Pelligiem?

–Tak. – Benteley lekko skinął głową.

–Więc wszystko się dobrze składa.

Spojrzała mu łapczywie w twarz, jej zielone oczy zaiskrzyły się i zabłysły w półmroku. Oddychała teraz szybciej, chrapliwie, Ted czuł na twarzy jej ciepły, słodko pachnący oddech.

–Czy podoba ci się to mieszkanie? – pytała. – Pokoje nie są za małe? Masz dużo rzeczy?

–Niedużo – powiedział Benteley. Był apatyczny i odrętwiały. Zdawało mu się, że jakiś ciężar wisi mu nad głową. – Mieszkanie jest w sam raz – dodał.

Eleonora odetchnęła z ulgą. Wyślizgnęła się z ramion Teda i jednym wdzięcznym ruchem wychyliła szklankę. Potem zgasła lampę i położyła się obok Teda. Teraz jedynym źródłem światła był jej papieros, żarzący się w małej miedzianej popielniczce. Głęboka, płomienista czerwień promieniowała z włosów i warg dziewczyny. Jej sutki zdawały się świecić w półmroku. Benteley przysunął się do Eleonory, podniecony świeceniem jej ciała.

Leżeli zaspokojeni i ociężali, wśród porzucanych ubrań, a ich ciała parowały od spełnionej miłości. Eleonora sięgnęła nagą ręką po nie dopalonego papierosa. Przytknęła go do warg, tuż obok twarzy Benteleya i wionęła dziwnie słodkim zapachem zaspokojonego podniecenia w jego oczy, w nos i usta.

–Ted – szepnęła po chwili – czy ja ci wystarczam? – Przeciągnęła się delikatnie, zwinna i sprężysta. – Wiem, że jestem... mała.

–Jesteś dobra – odpowiedział wymijająco.

–Czy jest ktoś, z kim może wolałbyś być w tej chwili?– Nie słysząc odpowiedzi, mówiła dalej: – Chodzi mi o to, że może nie jestem w tych sprawach dość dobra.

–Ależ skąd, jesteś znakomita. – Ted leżał obok niej

bez ruchu. Jego głos był pusty, bezbarwny. – Jesteś w sam raz – dodał.

–Więc o co chodzi?

–O nic – powiedział Benteley. Wstał i wolnym krokiem odszedł od Eleonory. – Po prostu jestem zmęczony. Chyba pójdę spać. – Jego głos nabrał nagle szorstkości. – Sama mówiłaś, że jutro będzie wielki dzień.

9.

Leon Cartwright jadł właśnie śniadanie z Ritą O'Neill i Peterem Wakemanem, kiedy operator mzpw zawiadomił go, że złapał bezpośrednie połączenie ze statkiem.

–Przepraszam – powiedział kapitan Groves, kiedy zobaczył Cartwrighta, oddalonego o miliardy kilometrów przestrzeni kosmicznej. – Widzę, że u was jest rano. Masz jeszcze na sobie stary niebieski szlafrok.

Twarz Cartwrighta była blada i zmęczona. W dodatku obraz z powodu olbrzymiej odległości falował i chwilami zanikał.

–Gdzie jesteście w tej chwili? – spytał Cartwright niepewnym głosem.

–Czterdzieści jednostek astronomicznych od Ziemi -odpowiedział Groves.

Kapitan przeraził się na widok wychudłej twarzy Cartwrighta, ale nie był pewien, czy to nie wina transmisji dalekiego zasięgu.

–Wkrótce wkroczymy w nie zbadaną przestrzeń. Już teraz przerzuciłem się z oficjalnych map nawigacyjnych na informacje pozostawione przez Prestona.

A więc statek jest mniej więcej w połowie drogi. Ognista Tarcza ma orbitę o promieniu dwa razy większym niż Pluton- założywszy oczywiście, że w ogóle istnieje. Orbita dziewiątej planety stanowi granicę badań kartograficznych. Poza nią rozciąga się nieskończone pustko-

104

wie, o którym mało wiadomo, a dużo się przypuszcza. Wkrótce statek minie ostatnie boje sygnalizacyjne i opuści znany, skończony świat.

–Niektórzy chcą wracać – mówił dalej Groves. – Zdają sobie sprawę, że lecimy poza Układ Słoneczny. Teraz mają ostatnią szansę, żeby opuścić statek. Jeśli tego nie zrobią, będą musieli lecieć do końca.

–Ilu chciałoby wysiąść?

–Dziesięciu, może dwunastu.

–Dacie sobie radę bez nich?

–Będziemy mieli większe zapasy żywności. Konklin zostanie, jego dziewczyna Mary także. I stary cieśla, Jereti. I Japończycy z zakładów optycznych, i nasz palacz... Myślę, że możemy sobie pozwolić na stratę tamtych ludzi.

–Więc niech wysiadają, jeśli to nie narazi statku na niebezpieczeństwo.

–Kiedy rozmawialiśmy poprzednim razem – powiedział Groves – nie zdążyłem ci pogratulować.

Zamazany obraz Cartwrighta trochę się poruszył.

–Pogratulować? Ach, tak. Dziękuję.

–Chciałbym móc uścisnąć ci dłoń.

Groves wyciągnął swoją wielką, ogorzałą łapę w kierunku ekranu telewizora. Cartwright uczynił to samo i ich palce niemal się zetknęły.

–Oczywiście – mówił Groves – wy tam na Ziemi już pewnie dawno oswoiliście się ze zmianą Lotermistrza. Prawy policzek Cartwrighta drgnął nerwowo.

–Samemu trudno mi w to uwierzyć. Mam wrażenie, że to straszny sen, z którego nie mogę się obudzić.

–Koszmar?! Myślisz o mordercy?

–Tak – skrzywił się Cartwright. – Prawdopodobnie już jest w drodze. A ja tu siedzę i czekam na niego.

Po skończonej transmisji Groves wezwał do kabiny kontrolnej Konklina wraz z Mary Uzich i oznajmił im beznamiętnym tonem:

–Cartwright zgadza się, żeby oni opuścili statek. To załatwia sprawę. Powiem wszystkim w trakcie obiadu.

Pokazał jeden ze wskaźników, który właśnie się zapalił.

–Widzicie tę zardzewiałą igłę? Ten wskaźnik poruszył się po raz pierwszy w dziejach naszego statku.

–Mnie to nic nie mówi – stwierdził Konklin.

–Te nieregularne drgania to sygnały dla robota. Gdybym włączył głośnik, pewnie byś je rozpoznał. Sygnalizują ostateczną granicę oznakowanej przestrzeni. Granicę, której nie przekraczają żadne statki, z wyjątkiem eksperymentalnych wypraw naukowych.

–Kiedy dotrzemy do Tarczy – powiedziała Mary – ten wskaźnik znów będzie milczał.

–Ekspedycja z roku osiemdziesiątego dziewiątego nic nie znalazła – zauważył pochmurnie Konklin. – A mieli wszystkie dane, które zostawił Preston.

–A może Preston widział tylko olbrzymiego węża kosmicznego- podsunęła Mary pół żartem, pół serio. – Węża, który nas pożre, jak w bajce.

Groves zmierzył ją wzrokiem.

–Ja się zajmę nawigacją. Wy zajmijcie się przygotowaniem szalupy ratunkowej, w której odleć tamci. Dotychczas spaliście w ładowni, prawda?

–Pokotem, razem ze wszystkimi – odparł Konklin.

–Kiedy łódź odbije, możecie przenieść się do kabiny. Większość kabin będzie pusta. Wybierzcie, którą chcecie – powiedział Groves i dodał z przekąsem: – Obawiam się, że prawie cały statek będzie pusty.

W kabinie była przedtem izba chorych. Obydwoje zamietli i posprząтали każdy centymetr kwadratowy. Mary

umyła ściany i sufit, wytarła podłogę i starannie odkurzyła kraty wentylatora.

–Nie ma tu tyle metalowego pyłu – powiedziała do Konklina, wyrzucając śmieci do zsypu.

–To były pomieszczenia załogi.

–Jeśli statek wyląduje szczęśliwie, może moglibyśmy tu mieszkać na stałe. To lepsze niż moje mieszkanie na Ziemi. – Zmęczona rzuciła się na małą żelazną koję i zsunęła sandały. – Masz papierosa? Moje się skończyły.

Konklin, markotny, podał jej paczkę.

Zaciągnąwszy się z rozkoszą, Mary opadła z powrotem na koję i przymknęła oczy.

–Jak tu spokojnie. Nikt się nie wydziera na korytarzu.

–Zbyt spokojnie. Wciąż myślę o tym, co jest na zewnątrz. Bezpański teren. Próżnia, lodowata pustka. Oto, co nas otacza. Zięb, cisza, śmierć... albo coś gorszego!

–Nie myśl o tym. Powinniśmy czymś się zająć.

–Jak się tak dobrze zastanowić, to nie jesteśmy wcale takimi fanatykami. To był całkiem dobry pomysł: dziesiąta planeta, na którą można wyemigrować. Ale teraz, kiedy odlecieliśmy tak daleko od Ziemi...

Mary spytała zmartwiona:

–Jesteś na mnie zły?

–Jestem zły na wszystkich. Połowa już zrezygnowała. Jestem zły, bo Groves siedzi w kabinie kontroli lotu i z braku danych naukowych próbuje ustalić kurs na podstawie przewidywań szalonego mistyka. Jestem zły, bo ten statek to stary, zdezelowany transportowiec do przewozu rudy, który wkrótce rozpadnie się na kawałki. Jestem zły, bo minęliśmy ostatnią boję i nikt tędy nie lata, z wyjątkiem wizjonerów i dziwaków.

–Do której kategorii nas zaliczysz? – spytała cicho Mary.

–Przekonamy się za kilka dni. Mary nieśmiało chwyciła go za rękę.

–Nawet jeśli nie osiągniemy celu, jest bardzo dobrze.

–Co? W tej kajucie, małej jak cela mnicha?

–Tak myślę – powiedziała żarliwie, patrząc na Kon-klina. – Tego właśnie chciałam. Tego chciałam, kiedy kręciłam się bez celu, kiedy szukałam. Kiedy wędrowałam od mężczyzny do mężczyzny. Nie chciałam być dziewczyną do łóżka... prawdę mówiąc, nie wiedziałam, czego chcę. Teraz chyba wiem. Może nie powinnam ci tego mówić, znów będziesz zły. Mam amulet, który zrobiłam specjalnie po to, żeby cię do siebie przyciągnąć. Pomogła mi Ja-net Sibley: ona ma wprawę w sporządzaniu amuletów.

Konklin uśmiechnął się i nachylił, żeby ją pocałować. Nagle, bezszelestnie dziewczyna znikła. Ściana oślepiającego blasku wypełniła kabinę. Nie było nic, tylko ten zimny, lśniący blask, który przenikał wszystko, żywił migoczącego żaru, który pochłaniał kształty, istota, która nie zostawiała nic poza sobą.

Konklin odskoczył, potknął się i wpadł w mleczne morze światła. Zaszlochał, jęknął żałościwie, próbując się wydostać, szarpał się, rzucał, lamentował. Bezskutecznie szukał czegoś, czego mógłby się złapać, ale wokół był tylko bezmiar oślepiającej poświaty.

A potem głos zaczął mówić.

Z początku wydobywał się gdzieś z wnętrza Konkli-na, ale szybko wydostał się na powierzchnię. Zdziwiająca była siła głosu. Konklin opadł na dno, mamrocząc bezsensowne słowa, i znieruchomiał w pozycji płodu, oszołomiony i bezradny, zredukowany do stanu słabej, bezwolnej protoplazmy. Głos grzmiał w nim, a wokół niego świat dźwięku i ognia, który strawił go bez reszty. Był niczym zwitek zeschniętych śmieci, wypalona ruina, która pozostała po przejściu oszałamiającej energii z piekła rodem.

–Statku ziemski – mówił głos. – Dokąd zmierzasz? Po co tu lecisz?

Dźwięk przepelniał Konklina, który leżał bez sił, pogrążony w morzu jaskrawego światła. Głos przepływał i odpływał jak ogień – pulsująca masa czystej energii, która co i raz w niego uderzała.

–Jesteście poza swoim układem – huczał głos w ściśniętym mózgu. – Wylecieliście poza wasz Układ. Czy to rozumiecie? Jesteście w pustej przestrzeni, między waszym

światem a moim. Dlaczego zapuściliście się tak daleko? Czego szukacie?

W kabinie kontrolnej Groves walczył rozpaczliwie z falą wściekłości, z prądem, który obmywał mu ciało i umysł. Rzucił się na oślep w kierunku stołu nawigacyjnego. Przyrządy i mapy pospadały i teraz tańczyły wokół niego jak rozżarzone iskry. Głos mówił dalej, ostro, bez chwili przerwy, pełen butnej wyższości i bezgranicznej pogardy dla istot, do których przemawia.

–Słabi Ziemianie, którzy zapędziliście się aż tutaj, wracajcie do swojego Układu. Wracajcie do swojego ma-lego, uregulowanego światka, do swojej przyziemnej cywilizacji. Trzymajcie się z dala od obszarów, których nie znacie! Trzymajcie się z dala od mroków i potworów!

Groves potknął się o klapę wjazdu. Po omacku wypełził z kabiny na korytarz. Głos znów przemówił – ogłuszający łoskot, tak silny, że rzucił kapitana na poobijane ściany kadłuba.

–Widzę, że szukacie dziesiątej planety waszego Układu, legendarnej Ognistej Tarczy. Dlaczego jej szukacie? Czego od niej chcecie?

Groves zadrżał ze zgrozy. Teraz wiedział, co to za głos. „Usłyszycie głosy”, przepowiadała księża Prestona. Nagła nadzieja ogarnęła Grovesa. Otworzył usta, ale ogłuszający łoskot nie dał mu powiedzieć słowa.

–Ognista Tarcza to nasz świat. Przyciągnęliśmy ją

przez kosmiczne pustki do tego Układu. Tają uruchomiliśmy, żeby na wieki krążyła wokół waszego Słońca. Nie macie do niej najmniejszych praw. Czego szukacie? To nas interesuje.

Groves spróbował skierować swe myśli na zewnątrz. W jednej krótkiej chwili starał się przekazać wszystkie swoje marzenia, plany, wszystkie potrzeby swojej rasy, wszystkie dążenia ludzkości...

–Możliwe – odpowiedział głos. – Rozważymy, przeanalizujemy twoje zwerbalizowane myśli... oraz impulsy uboczne. Musimy być ostrożni. Moglibyśmy spalić wasz statek, gdyby nam na tym zależało. – Głos umilkł na chwilę, a potem mówił dalej: – W każdym razie nie teraz. Musimy mieć czas do namysłu.

Groves znalazł pokój transmisyjny mzpw. Rzucił się do nadajnika – zamazana bryła tańczyła w obłoku białego ognia. Wymacał przycisk zasilania. Obwód zamknięty włączył się automatycznie.

–Cartwright! – wyszeptał kapitan.

Ukierunkowany sygnał ruszył przez próżnię do przekaźnika Dyrektoriatu na Plutonie, a stamtąd na Uran. Z planety na planetę mknął słaby sygnał, transmitowany wprost do biura w Batawii.

–Ognista Tarcza nie bez powodu została umieszczona w waszym Układzie – ciągnął potężny głos. Potem przerwał, jakby naradzając się z niewidocznymi towarzyszami. – Kontakt pomiędzy naszymi rasami mógłby wznieść nas na wyższy poziom integracji kulturowej -mówił teraz głos. – Ale musimy...

Groves porzucił nadajnik. Obraz był zamazany – pół-ośleplonymi oczyma nie mógł nic dojrzeć na ekranie. Modlił się żarliwie o to, żeby sygnał dotarł na Ziemię, żeby w Batawii Cartwright widział to, co on widzi, słyszał grzmiący głos, który on słyszy, rozumiał te straszne, a zarazem budzące nadzieję słowa...

–Musimy was poznać – mówił głos. – Musimy dowiedzieć się o was więcej. Nie lubimy szybko decydować. Prowadząc wasz statek w kierunku Ognistej Tarczy, podejmujemy decyzję. Postanowimy, czy was zniszczyć, czy też zaprowadzić bezpiecznie na Ognistą Tarczę, doprowadzić do pomyślnego zakończenia waszej ekspedycji.

Reese Yerrick otrzymał przynaglające wezwanie od techników mzpw.

–Chodź – rzucił oschle w stronę Moore'a. – Nasłuch statku Cartwrighta. Jest bezpośrednia transmisja do Ba-tawii, coś ważnego.

Siedząc przed urządzeniem podsłuchowym, zmontowanym specjalnie dla Wzgórza Farben, Yerrick i Moore wpatrywali się w ekran z niedowierzaniem. Groves, miniaturowa postać zagubiona w wirujących płomieniach, zmałał do rozmiarów owada pod naporem czystej energii, która szalała wokół niego. Z głośnika umieszczonego nad ekranem grzmiał, stłumiony przez odległość wielu milionów kilometrów, donośny głos:

–... nasze ostrzeżenie. Jeśli będziecie próbowali odrzucić naszą przyjacielską pomoc w kierowaniu waszym statkiem, jeśli będziecie usiłowali sterować na własną rękę, nie możemy obiecać, że...

–Co to takiego? – wychrypiał oszołomiony Yerrick. – Czy to jakiś montaż? Wykryli naszą „pluskwę” i chcą nas nabrać tym przedstawieniem? – Nagle zadrżał. – A może to naprawdę...

–Siedź cicho! – warknął Moore i obejrzał się dookoła. – Czy to się nagrywa na taśmę?

Yerrick przytaknął. Szczęka mu opadła.

–Na litość boską – powiedział w końcu – co myśmy złapali? Zawsze krążyły legendy i pogłoski o tych bajkowych istotach z kosmosu, aleja w to nigdy nie wierzyłem. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że to może być prawda!

Moore sprawdził na wszelki wypadek urządzenie nagrywające dźwięk i obraz, po czym odwrócił się energicznie do Yerricka.

–Uważasz, że to są zjawiska nadprzyrodzone? – spytał.

–W każdym razie z innej cywilizacji – odparł Yer-rick głosem drżącym ze strachu i przerażenia. – To niewiarygodne. Nawiązaliśmy kontakt z inną rasą.

–Rzeczywiście niewiarygodne – rzucił cierpko Moore. Kiedy transmisja się skończyła, porwał taśmy i pobiegł z nimi do biblioteki publicznej, która mieściła się poza głównym budynkiem Wzgórza Farben.

Po godzinie z centralnego laboratorium badawczego Kwizu w Genewie nadeszły wyniki analizy. Moore złapał kartkę papieru i zaniósł ją Yerrickowi.

–Spójrz na to – powiedział, ciskając wyniki na biurko Yerricka. – Kogoś tu nabierają, ale nie jestem pewien kogo. Yerrick zamrugał ze zdumienia.

–Co? Co oni piszą? Czy ten głos...

–To był John Preston – powiedział Moore z dziwnym wyrazem twarzy. – Kiedyś nagrał fragment swojego Jednorożca. Centralna Biblioteka ma nagranie dźwiękowe, a także, dla porównania, kilka migawek filmowych. Nie ma najmniejszych wątpliwości.

Yerrick wpatrywał się w niego z głupią miną.

–Nie rozumiem. Wytłumacz mi to.

–John Preston jest tam, w kosmosie. Czekał na ten statek i teraz nawiązał z nim kontakt. Zaprowadzi ekspedycję na Tarczę.

–Ależ Preston umarł sto pięćdziesiąt lat temu! Moore zaśmiał się ostro.

–Tak ci się zdaje. Każ jak najszybciej otworzyć sarkofag i wtedy zrozumiesz. John Preston żyje!

10.

Między fotelami szedł powoli macmillan i sprawdzał bilety. W górze prażyło czerwcowe słońce, a jego promienie odbijały się od połyskującego srebrnego kadłuba liniowej rakiety międzyplanetarnej. Poniżej rozciągał się błękitny Ocean Spokojny, odwieczny przestwór barw i światła.

–To naprawdę piękny widok – powiedział jasnowłosy młodzieniec do ładnej dziewczyny, która siedziała w sąsiednim fotelu. – Ten ocean i to, jak łączy się z niebem. Ziemia jest jedną z najpiękniejszych planet naszego Układu.

Dziewczyna zsunęła z nosa podróżne okulary telewizyjne, zmrużyła oczy, porażone nagłym blaskiem światła słonecznego, i niepewnie wyjrzała przez okno.

–To jest rzeczywiście piękne – przyznała nieśmiało.

Była bardzo młoda, nie mogła mieć więcej niż osiemnaście lat. Miała małe, sterczące piersi, włosy krótkie i kręcone, tworzące ciemnopomarańczową – w myśl najnowszej mody – aureolę wokół miłej twarzy. Zaczerwieniła się i szybko powróciła do oglądania telewizji.

Jej sąsiad, spokojny, jasnooki młody człowiek, wyciągnął paczkę papierosów, wziął jednego, a potem uprzejmie poczęstował dziewczynę.

–Dziękuję – powiedziała nerwowo, drżącym głosem. Pomalowanymi na czerwono paznokciami wyciągnęła pa-

pierosa. – Dziękuję – powiedziała znów, kiedy podsunął jej złotą zapalniczkę.

–Dokąd lecisz? – spytał mężczyzna.

–Do Pekinu. Dostałam pracę na Wzgórzu Sung. To znaczy, zostałam zaproszona na wstępną rozmowę. – Zaczęła grzebać w malutkiej torebce. – Mam to gdzieś tutaj. Może mógłbyś przeczytać i powiedzieć mi, co to znaczy. Nie rozumiem tych wszystkich terminów prawniczych. Oczywiście – dodała szybko – jak przylecę do Batawii, Walter mi pomoże...

–Jesteś rejestrowana?

Dziewczyna zaczerwieniła się mocniej.

–Tak. Mam klasę 11/76. To niedużo, ale lepiej niż nic. – Nerwowym ruchem strzepnęła popiół z jedwabnej, haftowanej apaszki i z prawej piersi. – Zostałam zarejestrowana w tym miesiącu. Po chwili wahania spytała: – A ty jesteś rejestrowany? Wiem, że to drażliwe pytanie, zwłaszcza jeśli ktoś nie jest...

Mężczyzna pokazał rękaw.

–Klasa 56/3.

–To zabrzmiało tak... cynicznie. Młodzieniec zaśmiał się bezbarwnie.

–Może jestem cynikiem. – Spojrzał łagodnie na dziewczynę. – Jak się nazywasz?

–Margaret Lloyd- odpowiedziała i nieśmiało opuściła wzrok.

–Ja jestem Keith Pellig – oznajmił mężczyzna, głosem jeszcze bardziej oschłym i cienkim. Dziewczyna zastanawiała się chwilę.

–Keith Pellig? – Przez chwilę jej gładkie czoło było pokryte zmarszczkami. – Zdaje mi się, że już gdzieś słyszałam to nazwisko.

–Możliwe. – W bezbarwnym głosie Pelliga zabrzmiała lekka ironia. – Ale to nie ma znaczenia. Nie przejmuj się tym.

–Zawsze się martwię, jak nie mogę sobie czegoś przypomnieć. – Teraz, kiedy знаła nazwisko sąsiada, mogła mówić otwarcie. – Nie zostałabym zarejestrowana, gdyby nie to, że żyję z bardzo ważnym człowiekiem. Mamy się spotkać w Batawii. – Na

szczerej twarzy Margaret malowała się duma, a zarazem skromność. – Walter wszystko załatwił. Inaczej nigdy bym tego nie osiągnęła.

–Wiedział, co robi – powiedział Keith Pellig.

Obok nich stanął macmillan i wyciągnął uchwyt. Margaret Lloyd szybko wręczyła mu bilet, Keith Pellig zrobił to samo.

–Czołem, bracie – powiedział zagadkowo do robota, kiedy ten oddał mu skasowany bilet.

Gdy macmillan oddalił się, Margaret Lloyd zapytała:

–A ty dokąd lecisz?

–Do Batawii.

–W interesach?

–Teraz bym to nazwał interesem – uśmiechnął się poważnie Pellig. – Ale może za jakiś czas nazwę to przyjemnością. Często zmieniam zdanie.

–Mówisz bardzo dziwnie – powiedziała dziewczyna, zaintrygowana i nieco przestraszona rewelacjami starszego od niej mężczyzny.

–Jestem dziwny. Czasem zupełnie nie wiem, co zrobię lub powiem za chwilę. Czasem sam sobie wydaję się obcy. Czasem zdumiewa mnie to, co robię, i nie potrafię zrozumieć, czemu to robię. – Pellig zdusił papierosa i zapalił następnego. Ironiczny uśmiech znikł z jego twarzy. Siedział naburmuszony, zły. Nagle oznajmił dobitnie: -Życie jest wspaniałe, tylko nie trzeba się poddawać.

–Co to znaczy? Pierwszy raz słyszę coś takiego.

–To zdanie ze starego rękopisu. – Pellig wyjrzał przez szerokie okno na leżący pod nimi ocean. – Wkrótce będziemy na miejscu. Chodźmy na górę do baru, kupię ci coś do picia.

Margaret Lloyd zadrżała z obawy i z emocji. Propozycja bardzo jej pochlebiała.

–Czy to wypada? – spytała jednak. – To znaczy, ponieważ jestem z Walterem...

–Wypada – powiedział Pellig, wstając i przeciskając się między rzędami foteli z rękoma w kieszeniach. – Postawię ci nawet dwie kolejki. Pod warunkiem, że jak dojdziemy do baru, będę jeszcze pamiętał, kim jesteś.

Peter Wakeman wypił szklankę soku pomidorowego, wzdrygnął się i popchnął wyniki analizy w stronę Cart-wrighta.

–To jest naprawdę Preston. A nie jakaś nadprzyrodzona istota z innego świata.

Cartwright obracał filiżankę w zdrętwiałych palcach.

–Nie mogę w to uwierzyć.

Rita O'Neill położyła mu rękę na ramieniu.

–On o tym pisał w swojej książce – powiedziała. – Zapowiedział, że tam będzie i że nas poprowadzi. „Usłyszycie głosy”.

Wakeman pogrążył się w myślach.

–Interesuje mnie co innego. Parę minut przed naszym pytaniem Centralna Biblioteka otrzymała inną prośbę o identyczną analizę.

Cartwright drgnął.

–Co to znaczy? – szepnął.

–Nie mam pojęcia. Powiedzieli tylko, że otrzymali taśmy z nagraniem obrazu i dźwięku, zawierające ten sam materiał, który my przesłaliśmy. Ale nie wiedzą, od kogo były tamte taśmy.

–A co o tym sądzisz? – spytała Rita O'Neill.

–Po pierwsze oni wiedzą, kto przysłał tamte taśmy. Tylko nie chcą powiedzieć. Zastanawiam się, czy nie wysłać kilku telepatów, żeby się przyjrżeli urzędnikom, którzy mają bezpośredni kontakt z klientami.

Cartwright niecierpliwie zamachał ręką.

–Nie ma czasu. Mamy ważniejsze sprawy na głowie. Czy coś wiadomo o Pelligu? Wakeman spojrział zdziwiony.

–Wiadomo tylko, że prawdopodobnie opuścił już Wzgórze Farben.

Cartwright skrzywił się.

–Nie udało wam się nawiązać z nim kontaktu? Ręka Rity zacisnęła się na jego dłoni.

–Nawiążemy z nim kontakt, jak tylko wejdzie w obręb strefy ochronnej. Na razie jest poza nią.

–Na miłość boską, czy nie możecie wyjść poza strefę i tam go złapać? Chcecie tu siedzieć z założonymi rękoma i czekać na niego? – Cartwright spuścił głowę. – Przepraszam, Wakeman – powiedział. – Tłumaczyłeś mi to setki razy.

Wakeman wstydził się, ale nie za siebie. Przede wszystkim za Cartwrighta. W ciągu kilku dni, odkąd został Lotermistrzem, w Leonie dokonana się zmiana na gorsze. Siedział teraz, bawiąc się niezdarnie filiżanką, zgarbiony, wystraszony stary człowiek. Twarz miał szarą ze zmęczenia. Z oczu wyzierał strach. Leon co chwila otwierał usta, żeby coś powiedzieć, a potem rezygnował i pogrążał się w chmurnym milczeniu.

–Cartwright – powiedział łagodnie Wakeman – jesteś w nie najlepszej formie.

Cartwright wlepił w niego wzrok.

–Ktoś leci tu, żeby mnie zabić publicznie, w biały dzień i z pełną aprobatą całego świata. Wszyscy go oklaskują, wszyscy tkwią przed telewizorami, patrzą i czekają na rezultat. Czekają na zwycięzcę w tym... narodowym sporcie. Więc jak do cholery mam się czuć?

–To tylko jeden człowiek – powiedział spokojnie Wakeman. – Nie jest silniejszy od ciebie. Przeciwnie, ty masz za sobą całą Gwardię i całą potęgę Dyrektoriatu.

–Jak go złapiemy, będzie następny. Nieskończony potok morderców.

–Każdy Lotermistrz musi przez to przejść. – Wake-man uniósł brwi. – Zdawało mi się, że chcesz tylko przeżyć do czasu, aż twój statek będzie bezpieczny.

Szara, zmęczona twarz Cartwrighta starczyła za odpowiedź.

–Chcę żyć – dodał po chwili. – Czy to coś złego? – Wyprostował się i próbował opanować drżenie rąk. – Ale, rzecz prosta, masz rację – przyznał z uśmiechem, jakby się usprawiedliwiał. – Spróbuj spojrzeć na to z mojej strony. Ty miałeś przez całe życie do czynienia z mordercami. Dla mnie to nowe przeżycie. Byłem zwykłym, anonimowym człowiekiem, żyłem skromnie na uboczu. A teraz jestem przykuty do tego miejsca, oświetlony milion-watową żarówką. Znakomity cel. – Podniósł głos. – A oni starają się mnie zabić! Na czym, na litość boską, polega ta wasza strategia? Co zamierzacie zrobić?

Jest nieźle przestraszony, pomyślał Wakeman. Rozłazi się. Już zapomniał o statku. A przecież to z powodu statku znalazł się na tym miejscu.

Do mózgu Wakemana dotarły myśli Shaeffera. Shaef-fer siedział w swoim gabinecie po przeciwnej stronie głównego budynku Dyrektoriatu, działając jako łącznik między Wakemanem a Gwardią.

–Nadszedł czas, żeby go tam wywieźć – przekonywał Shaeffer. – Choć osobiście nie sądzę, żeby Pellig był blisko. Ale trzeba przyjąć duży margines błędu, ze względu na osobę Yerricka.

–To prawda – odpowiedział w myśli Wakeman. Ciekawe: w innym momencie Cartwright byłby oszołomiony wieścią o tym, że John Preston żyje. A teraz wcale się tym nie przejął. Tymczasem może przecież zakładać, że jego statek osiągnął cel.

–Uważasz, że Ognista Tarcza istnieje?

–Bez wątpienia.

Ale to nie nasza sprawa, pomyślał Wakeman. I, jak widać, także nie sprawa Cartwrighta. Zdobył stanowisko Lotermistrza, żeby osłonić lot tego statku ku Ognistej Tarczy. Ale teraz, kiedy musi stawić czoło trudnej sytuacji, zrozumiał, że wpadł w niebezpieczną pułapkę.

Wakeman zwrócił się do Cartwrighta i powiedział do niego na głos:

–Przygotuj się: wywieziemy cię stąd. Mamy mnóstwo czasu. Nie ma jeszcze żadnych doniesień o Pelligu. Cartwright spojrział na niego podejrzliwie.

–Dokąd mnie chcecie wywieźć? Myślałem, że gabinet, który przygotował Yerrick...

–Yerrick zakłada, że zamkniesz się w gabinecie: tam uderzy najpierw. Zabieramy cię poza Ziemię. Gwardia przygotowała kryjówkę na Księżycu. Oficjalnie jest to ośrodek rekreacji psychicznej. A w rzeczywistości coś jeszcze bardziej wyszukanego niż kryjówka Yerricka tu, w Batawii. Kiedy gwardziści będą walczyć z Pelligiem, ty będziesz czterysta tysięcy kilometrów stąd.

Cartwright spojrział bezradnie na Rite O'Neill.

–Co mam zrobić? Czy jechać?

–W Batawii – powiedział Wakeman – ląduje sto rakiet na godzinę. Tysiące ludzi przylatują i odlatują z Wysp: jest to najgęściej zaludnione miejsce w całym wszechświecie. W końcu tu mieści się rzeczywiste centrum Układu Słonecznego. A na Księżycu prawie nie ma ludzi. Nasz ośrodek jest oddalony od innych, przez podstawioną firmę kupiliśmy teren w najmniej poszukiwanym regionie. Wokół będziesz miał tysiące kilometrów ponurej, bezpowietrznej pustki. Gdyby Keith Pellig zdołał wysledzić cię na Księżycu i chciał się dostać do ośrodka w ciężkim skafandrze Farleya, z licznikiem Geigera, anteną radarową, z pistoletem i w hełmie, ręczę, że zlokalizowalibyśmy go bez trudu.

Wakeman silił się na żarty, ale Cartwright nawet się nie uśmiechnął.

–Inaczej mówiąc, tutaj nie potraficie mnie obronić. Wakeman westchnął.

–Potrafimy cię lepiej bronić, kiedy będziesz na Księżycu. Tam jest bardzo pięknie. Zadbaliśmy o różne atrakcje. Możesz pływać, wylegiwać się na słońcu, odpoczywać, nawet spać. Możemy cię nawet uspić na czas zagrożenia.

–I nigdy się nie obudzę – powiedział podejrzliwie Cartwright.

Zupełnie jak dziecko. Przestraszony, bezradny starszy człowiek przestał myśleć. Pograżył się ponownie w archaicznym świecie dziecinnego uporów. Wakeman żałował, że jest za wcześnie na wypicie czegoś mocniejszego. Wstał i spojrzał na zegarek.

–Rita pojedzie razem z tobą – powiedział spokojnie, ale stanowczo. – Ja również. Będziesz mógł w każdej chwili wrócić na Ziemię. Ale proponuję, żebyś obejrzał nasz ośrodek na Księżycu. Zobaczysz i sam podejmiesz decyzję.

Cartwright wahał się, targany wątpliwościami.

–Mówisz, że Yerrick nic o tym nie wie? Jesteś pewien?

–Powiedz mu lepiej, że jesteśmy pewni – wtrącił się Shaeffer w myśli Wakemana. – On łaknie pewności. W tym stanie nie ma sensu zawracać mu głowy statystycznym prawdopodobieństwem.

–Jestem pewien – powiedział Wakeman, kłamiąc z zimną krwią. Shaefferowi dodał w myśli:

–Mam nadzieję, że postępujemy słusznie. Yerrick najprawdopodobniej wie. Ale to nie ma znaczenia. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, Pellig nie wydestanie się z Bata wii.

–A jeśli mu się uda... – nadeszła niepewna odpowiedź.

–Nie może się udać. Wasza głowa w tym, żeby go zatrzymać. Nie martwię się specjalnie, ale byłbym spokojniejszy, gdyby tereny, otaczające z trzech stron nasz ośrodek, nie należały do Wzgórza Yerricka.

Sala barowa w liniowcu międzykontynentalnym lśniła od chromu. Keith Pellig stał obok panny Lloyd, która usiadła boczkiem w głębokim pluszowym fotelu i skrzyżowała nerwowo ręce na blacie beznogiego plastikowego stolika. Pellig siadł

naprzeciw niej.

–Coś się stało? – spytała zaniepokojona dziewczyna.

–Nie – powiedział Pellig, w zamyśleniu studiując menu. – Czego się napijesz? Tylko szybko, bo zaraz lądujemy.

Panna Lloyd wzdrygnęła się i zaczerwieniła. Jej przystojny towarzysz sposepniał i spochmurniał. Przez chwilę miała ochotę wstać i wrócić na dół, na swoje miejsce. Tak się źle zachowuje, obraża ją, brzydko postępuje... ale paraliżujący lęk, że przyczyną było coś, co ona zrobiła, stłumił niechęć do Pelliga.

–Którego Wzgórza jesteś lennikiem? – spytała pokornie.

Nie było odpowiedzi. Nadszedł macmillan.

–Czego pani/pan sobie życzy?

W ciele Keitha Pelliga Ted Benteley bił się z myślami. Zamówił dla siebie burbona z wodą, a dla Margaret koktajl Tom Collins. Ledwie zauważył szklanki, które postawił przed nimi macmillan. Zapłacił odruchowo i zaczął pić.

Panna Lloyd wygadywała jakieś bzdury. Była pod wrażeniem tego, co ją czeka na lądzie. Oczy jej błyszczały, połyskiwały białe zęby, pomarańczowe włosy płonęły jak świeca. Nic z tego nie docierało do jej partnera. Benteley pozwolił palcom Pelliga odstawić burbona z wodą na stolik – bawił się szklanką, zatopiony w myślach.

Wciąż snuł refleksje, kiedy przełączono urządzenie. Nagle, bez słowa, znalazł się z powrotem w laboratorium Wzgórza Farben.

To był szok. Zamknął oczy i mocniej przylgnął do metalowego pancerza, w którym spoczywało jego ciało. Na małym monitorze jaśniała scena, którą przed chwilą opuścił. W ciało wmontowany był krótkofalowy nadajnik małego zasięgu, z którego obraz przekazywano kontrolnym kanałem mzpw wprost do Farben. Miniaturowa Marga-ret Lloyd siedziała naprzeciw miniaturowego Keitha Pelliga w mikroskopijnym barze. Z głośnika dobiegały ciche dźwięki – paplanina panny Lloyd.

–Kto w nim jest teraz? – spytał drżącym głosem Ben-teley.

Herb Moore powstrzymał go, kiedy chciał wydostać się z metalowego pancerza.

–Nie ruszaj się! Chyba że chcesz zatrasnąć pół swojej psyche tam, a pół tutaj.

–Dopiero co w nim byłem. Mam teraz trochę spokoju.

–Nie, możesz być następny. Siedź spokojnie, dopóki twój układ nerwowy jest podłączony do obwodu.

W tej chwili zapalił się czerwony guzik, czwarty w trzecim rzędzie. Na monitorze też zmienił się operator, transmisja szła na żywo. Benteley zauważył, że w pierwszej chwili szoku nowy operator przewrócił szklankę.

Panna Lloyd natychmiast przestała paplać.

–Nic ci nie jest? – spytała ciało Pelliga. – Wyglądasz... jesteś blady.

–Nie, dobrze się czuję – mruknęło ciało Pelliga.

–Dobrze to robi – powiedział Moore do Benteleya. To twój przyjaciel Al Davis.

Benteley zapamiętał sobie dobrze pozycję świecącego guzika.

–A który guzik jest twój?

Moore zignorował to pytanie.

–Przełącznik zaświeci twój guzik na sekundę przed faktycznym podłączeniem. Jeśli patrzysz uważnie, będziesz przygotowany. Ale jeśli oderwiesz wzrok od guzików,

możesz się znaleźć nagle w gaju palmowym, otoczony uzbrojonymi po zęby telepatami.

–Albo martwy – powiedział Benteley. – Kto w tej grze zostanie na zawsze berkiem?

–Ciało nie ma być zniszczone – stwierdził Moore. – Ma dotrzeć do Cartwrighta i zabić go.

–W twoim laboratorium już się buduje drugiego an-droida – zaprzeczył mu Benteley.
– Kiedy ten ulegnie zagładzie, Konwencja Łowów mianuje tamtego.

–Nawet gdyby coś się nie powiodło, operator będzie wycofany z ciała przed śmiercią. Możesz sobie obliczyć, jakie masz szansę, że właśnie w tym konkretnym momencie ty będziesz Pelligiem. Jeden na dwadzieścia cztery, razy czterdzieści procent szans, że w ogóle utracimy ciało.

–A ty rzeczywiście bierzesz osobisty udział w tych sztuczkach?

–Zupełnie tak samo jak ty.

Moore ruszył w stronę wyjścia z kabiny. Benteley spytał go jeszcze:

–A co się dzieje z moim ciałem, kiedy jestem tam?

–Z chwilą, gdy wcielasz się w Pelliga, zaczyna działać ta maszyna- powiedział Moore, pokazując agregat, który wypełniał metalową komorę. – Ona podtrzymuje wszystkie funkcje życiowe: dostarcza powietrza, sprawdza ciśnienie krwi i rytm pracy serca, karmi, poi oraz usuwa resztki, słowem, robi wszystko, co trzeba.

Trzasnęły metalowe drzwi. Benteley został sam w kabinie pełnej maszyn i urządzeń.

Na ekranie monitora Al Davis zamawiał drugą kolejkę. Obydwoje nie mieli sobie wiele do powiedzenia – z gło-

śnika dobiegał tylko gwar odległych rozmów i brzęk szklanek. Benteley rzucił okiem przez mikroskopijne okienko liniowca i serce mocniej mu zabiło. Statek zbliżał się do rozległego cesarstwa Indonezji, największego obecnie zbiorowiska ludzkiego w Układzie Słonecznym.

Łatwo można sobie było wyobrazić, że telepaci sprawdzają działanie swojej siatki nasłuchowej. Oto pierwszy kontakt – telepata przechadza się po płycie lotniska albo wali w klawisze maszyny jako młodszy urzędnik w kasie biletowej. Albo telepatka sterczy w gronie dziewczyn do łóżka, które jak zwykle wyszły na spotkanie nowych pasażerów. Albo dziecko telepata, strofowane przez rodziców. Albo okropny staruch, weteran jakiejś wojny, który przysiadł w cieniu, otuliwszy nogi pledem.

To mógł być każdy. Wszędzie. I cokolwiek. Pomadka do ust, torebka cukierków, gazeta, lusterko, moneta, chusteczka do nosa. Nieskończony wachlarz nowoczesnej broni.

Na ekranie pasażerowie statku wstawali pospiesznie i przygotowywali się do lądowania. Jest zawsze chwila napięcia, kiedy wysmukła rakieta gwałtownie opada -a potem westchnienie ulgi, gdy gasną silniki i z łoskotem otwierają się drzwi.

Keith Pellig poderwał się niezdarnie i niezdecydowanie kiwnął na Margaret Lloyd. Oboje wmieszali się w powoli kroczący tłum, który schodził po schodkach. Davis spisywał się całkiem nieźle – tylko raz się potknął, to wszystko. Benteley wpatrywał się z napięciem w szczegółowy plan siedziby Dyrektoriatu w Batawii. Lotnisko ma bezpośrednie połączenie z głównym budynkiem. Pozycję Pelliga już oznaczała na planie wędrująca kolorowa szpilka.

Oto jest tutaj – ale żadne szpilki nie oznaczają pozycji siatki telepatów. Benteley bez trudu domyślał się, kiedy nastąpi pierwszy kontakt między Pelligiem, sztucz-

nym androidem, a siatką telepatów. Minuty można policzyć na palcach jednej ręki.

Wakeman kazał sprowadzić z hangaru specjalną raketę C-plus. Nalał sobie whisky, wypił łąpczywie, a potem porozumiał się z Shaefferem.

–Za pół godziny Pellig znajdzie się w ślepym zaułku. Przynęta jest, ale nie będzie zdobyczy. Od razu odebrał odpowiedź Shaeffera:

–Właśnie otrzymaliśmy inferencyjny raport o Pelli-gu. Wsiadł w Bremie na regularny, bezpośredni statek powietrzny. Kierunek: Jawa. W tej chwili jest w

drodze, gdzieś między Europą a nami.

–Czy wiecie, którym statkiem leci?

–Ma bilet ważny na dowolny statek. Ale można założyć, że już jest w drodze.

Wakeman podążył na górę, do prywatnych apartamentów Lotermistrza. Cartwright z pomocą dwóch macmilla-nów i Rity O'Neill apatycznie pakował swoje rzeczy. Rita była blada, spięta, ale opanowana. Przesłuchiwała taśmy dźwiękowe z danymi encyklopedycznymi na szybkoobrotowej przeglądarce, wybierając te, które warto zabrać. Wakeman uśmiechnął się na widok szczupłej, zgrabnej dziewczyny, której między piersiami kołysała się kocia łapka na szczęście.

–Nie zapomnij o amulecie – powiedział do Rity. Dziewczyna podniosła głowę.

–Są jakieś nowiny?

–Pellig pojawi się lada chwila. Rakiety pasażerskie lądują bez przerwy. Mamy na lotnisku kogoś, kto je sprawdza. A nasz statek jest już prawie gotów.

Zwrócił się do Cartwrighta, który stał nad rozgrzebanymi walizkami.

–Może chcesz, żebym ci pomógł? Cartwright wyprostował się.

–Posłuchaj, ja nie chcę dać się złapać w kosmosie, po prostu nie chcę.

Wakemana zdumiały te słowa oraz myśli, które czytał poza nimi. Nagi strach sączył się przez umysł starego Cartwrighta, poczynając od najgłębszych warstw.

–Nie damy się złapać w kosmosie – powiedział z miejsca Wakeman. Nie było czasu na brak zdecydowania. – Nasz statek to nowy eksperymentalny C-plus, pierwszy z serii. W okamgnieniu znajdziemy się na Księżycu. Żadna siła nie zatrzyma C-plus, gdy już wystartuje.

Cartwright ściągnął ziemiste usta.

–Czy to dobry pomysł, żeby dzielić Gwardię? Mówiłeś, że niektórzy telepaci polecą z nami, a niektórzy zostaną tutaj. Wiem, że nie możecie porozumiewać się na tę odległość. Czy to nie...

–Do jasnej cholery! – wybuchnęła Rita, rzucając na podłogę naręcze taśm. – Przestań się zachowywać w ten sposób! To niepodobne do ciebie.

Cartwright mruknął coś żałośnie i zaczął grzebać w stercie koszul.

–Zrobię, jak mi radzisz, Wakeman. Ufam ci.

Zabrał się niezdarnie do pakowania, ale z jego zastraszonej głowy płynęły smugi prymitywnej, atawistycznej tęsknoty. Rosło i potężniało z każdą chwilą przemożne pragnienie ucieczki do rekseroidowej komnaty, którą zbudował Yerrick, ucieczki i zamknięcia się w niej na cztery spusty. Wakeman wzdrygnął się, gdy dotarł do niego ten pierwotny lęk, gorączkowe pragnienie powrotu do łona. Umyślnie przeniósł uwagę z Cartwrighta na Rite O'Neill.

I tu doznał nowego szoku. Z głowy dziewczyny walił wprost w niego lodowaty strumień nienawiści. Zaczął analizować ten strumień, zdumiony jego nagłością - przedtem nie czuł wcale niechęci Rity.

Dziewczyna spostrzegła wyraz jego twarzy i jej myśli

uległy zmianie. Sprytnie zorientowała się, że jest podsłuchiwana, więc zaczęła myśleć o taśmach, które buczały jej w uszach, kiedy włączała przeglądarkę. Teraz te myśli docierały do Wakemana, ogłuszając go wściekłym zgiełkiem głosów, przemówień, wykładów, fragmentów książek Prestona, dyskusji, komentarzy.

–Co to znaczy? – spytał Wakeman. – Co się stało? Rita nie odpowiedziała, tylko mocno zacisnęła usta. A po chwili odwróciła się i wybiegła z pokoju.

–Mogę ci wyjaśnić, co to znaczy – powiedział ochrypłym głosem Cartwright, zatrzasnąwszy sfatygowaną walizę. – Ona uważa, że to twoja wina.

–Co?

Cartwright chwycił obydwie zamszowe walizy i ruszył powoli w kierunku drzwi.

–Jak wiesz, jestem jej stryjem. Zawsze widziała mnie na czele, u władzy, widziała, jak wydaję rozkazy i robię plany. A teraz wmieszałem się w coś, czego nie rozumiem... – Głos Cartwrighta przeszedł w niewyraźny szept. – W sytuację, nad którą nie panuję. Muszę polegać na tobie. – Odsunął się na bok, żeby Wakeman mógł otworzyć drzwi. – Myślę, że zmieniłem się, odkąd tu jestem. Ona czuje się zawiedziona, rozczarowana... i uważa, że ty jesteś winien.

–Och! – zachnął się Wakeman. Wyszedł za Cartwrightem, świadom dwóch rzeczy: że nie rozumie ludzi tak dobrze, jak mu się zdawało, i że w końcu Cartwright zdecydował się posłuchać rad telepatów.

Rakieta C-plus stała gotowa do startu na awaryjnej wyrzutni pośrodku głównego budynku. Gdy tylko Cartwright, jego bratanica i kilku telepatów weszli do środka, masywne drzwi statku zasunęły się i mocno zatrzasnęły. Otworzył się ruchomy dach budynku, zajaśniało pogodne popołudniowe niebo.

–To mały statek – zauważył Cartwright. Był blady

i zmęczony, ręce mu drżały, kiedy zapinał pas. – Ciekawy model – dodał.

Wakeman szybko zapiął pas Rity, a potem swój. Dziewczyna nie odzywała się, ale prąd nienawiści nieco zelżał.

–Możemy stracić przytomność – powiedział Wakeman. – Statek jest pilotowany przez robota.

Rozsiadł się wygodnie w swoim fotelu i myślą przekazał skomplikowanemu mechanizmowi rozkaz startu. Czułe przekaźniki zareagowały: włączyły się wszystkie urządzenia i gdzieś blisko zaczęły wyc potężne silniki.

W statku, który reagował na jego myśli, Wakeman doznał przyjemnego wrażenia, że potężna konstrukcja ze stali i plastiku jest rozszerzeniem jego małego ciała. Odzywał, upajając się czystym, równym warkotem rozgrzewających się silników. Cudowny statek – pierwszy zbudowany na podstawie nowych planów.

–Wiesz, co czuję – powiedziała Rita do Wakemana, wytrącając go z przyjemnego nastroju. – Czytałeś w moich myślach.

–Wiem, co czułaś. Myślę, że już ci to przeszło.

–Może, nie wiem. Nie ma sensu winić ciebie. Wykonujesz swoje zadania najlepiej, jak potrafisz.

–Myślę, że postępuję słusznie – powiedział Wakeman. – Myślę, że panuję nad sytuacją. – Odczekał chwilę i rzucił: – A więc? Statek gotów do drogi.

Cartwright z trudem kiwnął głową.

–I ja jestem gotów.

Wakeman zastanawiał się chwilę.

–Macie coś? – spytał w myśli Shaeffera.

–Właśnie ląduje kolejny statek pasażerski – nadeszła błyskawiczna odpowiedź. – Zaraz wejdzie w strefę ochronną.

Pellig przyleci do Batawii, to nie ulega wątpliwości. Będzie szukał Cartwrighta – to też jest pewne. Jedyłą

niewiadomą w tym równaniu jest wykrzycie i unieszkodliwienie Pelliga. Można założyć, że jeśli uda mu się wymknąć z sieci telepatów, odkryje ośrodek na Księżycu. A jeśli odkryje ośrodek...

–Na Księżycu nie mamy ochrony – pomyślał Wake-man do Shaeffera. – Zabierając Cartwrighta na Księżyc, tracimy możliwość czynnej obrony.

–To prawda – przyznał Shaeffer. – Ale ja sądzę, że złapiemy Pelliga tu, w Batawii. Jak tylko nawiążemy kontakt, będzie nasz.

Wakeman podjął ostateczną decyzję.

–Dobrze. Zaryzykujemy. Więcej przemawia za niż przeciw.

Dał sygnał myślowy i statek przyjął pozycję startową. Automat wycelował go w miejsce przeznaczenia: w blade, ślepe oko, wiszące nieruchomo na jasnym niebie. Wakeman zamknął oczy i rozluźnił mięśnie.

Statek drgnął. Z początku pchała go siła zwykłych turbin, potem dostał wściekły zastrzyk energii od napędu C-plus, pobudzonego do działania pierwszym wybuchem.

Przez chwilę statek unosił się nad błyszczącymi w słońcu budynkami Dyrektoriatu. Ale po uruchomieniu napędu C-plus oderwał się od Ziemi z takim przyspieszeniem, że pasażerowie doznali chwilowego zamroczenia.

Gdy ciemność nieubłagania ogarniała Petera Wake-mana, niejasne uczucie zadowolenia przemknęło przez jego mózg. Keith Pellig znajdzie w Batawii jedynie śmierć. Sprawdzała się strategia Gwardii.

W chwili, gdy sygnał Wakemana uruchomił statek C-plus, regularna rakietka międzykontynentalna podchodziła do lądowania w Batawii.

Wraz z grupą pasażerów, którzy przylecieli w interesach bądź jak co dzień do pracy, na metalowe schodki wszedł w blasku słońca Keith Pellig, mrugając oczyma i rozglądając się ciekawie. Oto budynki Dyrektoriatu, nieustanny ruch ludzi i pojazdów- i wyczekująca sieć telepatów.

11.

O wpół do szóstej rano potężna rakieta wylądowała w centrum tego, co niegdyś było Londynem. Z obu stron na gładką płytę lotniska zjechały z sykiem niskie transportery, a z nich wysypali się uzbrojeni mężczyźni, Szybko rozwinęli się w tyralierę i wzięli do niewoli pojedyncze patrole policji Dyrektoriatu.

W parę chwil później podniszczony, stary budynek, w którym znajdowały się biura Towarzystwa Prestona, został otoczony.

Pojawił się Reese Yerrick, w wysokich butach i ciepłym wełnianym płaszczu. Obchodził budynek z zewnątrz, śladem swoich ludzi. Powietrze było rześkie i czyste. Cienka warstwa rosy pokrywała ulice i domy, szare, milczące budowle bez śladu życia.

–To tutaj – powiedział do Yerricka brygadzysta. – Ta stara szopa należy do nich. A tu jest mauzoleum.

Pokazał Yerrickowi zaśmiecone podwórze.

Yerrick wyprzedził brygadzystę i wszedł na podwórze, brnąc przez śmieci. Robotnicy już zabrali się do rozbierania pomnika, zrobionego ze stali i plastiku. Pożółkła plastikowa bryła – sarkofag Prestona – spoczywała teraz na zimnym betonie podwórza, wśród nie sprzątanym od dawna odpadków i zmiętych papierów. W przezroczystym sarkofagu wysuszony kształt przechylił się nieco na bok. Podobna do fajki ręka zasłaniała okulary i nos.

131

–A więc to jest John Preston – powiedział w zamyśleniu Yerrick.

Brygadzysta przykucnął i oglądał pokrywą trumny.

–Oczywiście zamknięta pod ciśnieniem. Jeśli ją tutaj otworzymy, ciało rozsypie się w proch. Yerrick zawahał się.

–Dobrze – zgodził się w końcu. – Zabierzcie całą trumnę do laboratorium. Tam ją

otworzymy.

Z budynku zaczęły wychodzić grupy robocze, taszcząc broszury, taśmy, płyty, meble, lampy, ubrania, pudła z czystym papierem i powielacze.

–Tu jest jeden wielki magazyn – powiedział któryś z robotników brygadziście. – Sterty rupieci sięgają sufitu. Zdaje się, że jedna ściana jest fałszywa, a za nią mieści się coś w rodzaju podziemnej sali konferencyjnej. Właśnie rozwalamy ścianę, żeby się tam dostać.

A więc w tych brudnych pomieszczeniach mieściła się centrala Towarzystwa. Yerrick wszedł do budynku i znalazł się w sekretariacie. Ekipy robotników zbierały, co się da, zostawiając tylko poplamione, łuszczące się ściany.

Z sekretariatu drzwi wiodły do żółtawego korytarza. Yerrick wyszedł na korytarz i stanął obok zakurzonej, upstrzonej przez muchy fotografii Johna Prestona, która wciąż jeszcze wisiała wśród zardzewiałych haków.

–Nie zapomnijcie o tym portrecie – powiedział do brygadzisty. Pod zdjęciem ziała w ścianie ogromna dziura. Ukryte przejście wiodło równoległe do żółtego korytarza. Roili się tam robotnicy, szukający nowych zamaskowanych wejść.

–Przypuszczamy, że gdzieś tu powinno być zapasowe wyjście bezpieczeństwa – wyjaśnił brygadzista. – Chłopcy właśnie go szukają.

Yerrick z założonymi rękoma przyglądał się fotografii Prestona. John Preston był niski, jak większość szaleńców. Drobny, zasuszony, miał olbrzymie pofałdowane uszy,

odstające z powodu ciężkich okularów w rogowych oprawkach. Dzika gęstwina siwych włosów, długich i zmierzwionych, oraz małe, niemal kobiece usta. Zarośnięta broda, niezbyt wydatna, ale świadcząca o uporze i zdecydowaniu. Nos haczykowaty, niezgrabny, sterczące jabłko Adama i szkaradna szyja w poplamionej koszuli.

Uwagę Yerricka przyciągnęły oczy Prestona: ostre, błyszczące dwie bezkompromisowe kule za grubymi szklami okularów. Preston patrzył gniewnie jak starożytny prorok. Jedną rękę miał uniesioną, z artretycznie wykrzywionymi palcami. Był to gest buntu, przekory, a zarazem gest wskazujący. Oczy wpatrywały się w Yerricka uporczywie i bardzo żywo. Nawet przez zakurzoną szybkę gorzały ogniem, życiem, gorączkowym uniesieniem. Preston był podobnym do ptaka kaleką, przygarbionym, prawie ślepyim naukowcem, astronomem i lingwistą – i kim jeszcze?

–Odkryliśmy wyjście bezpieczeństwa – poinformował Yerricka brygadzysta. – Prowadzi do taniego podziemnego garażu publicznego. Prawdopodobnie przyjeżdżali i odjeżdżali zwykłymi samochodami. Jak się wydaje, ten budynek był ich jedyną siedzibą. Mieli coś w rodzaju klubów, rozrzuconych po całej Ziemi, ale te kluby liczyły po dwóch, trzech członków, którzy spotykali się w mieszkaniach prywatnych.

–Wszystko spakowane? – spytał Yerrick.

–Jesteśmy gotowi do drogi. Mamy sarkofag, mamy to, co znaleźliśmy w budynku, oraz trójwymiarowe fotografie do zbiorów archiwalnych.

Yerrick i brygadzysta wrócili do rakiety. Wkrótce lecieli z powrotem na Wzgórze Farben.

Kiedy umieszczono plastikową bryłę na stole laboratoryjnym, natychmiast zjawił się Herb Moore.

–To jest ten sarkofag? – spytał.

–Myślałem, że jesteś podłączony do maszynerii Pel-liga – powiedział Yerrick, zdejmując płaszcz.

Moore zignorował uwagę Yerricka i zaczął ścierać kurz z przezroczystej pokrywy, pod którą spoczywało wyschnięte ciało Prestona.

–Zdejmijcie to – rozkazał technikom.

–Ciało jest bardzo stare – ktoś zaprotestował. – Jeżeli nie będziemy ostrożni, może rozsypać się w proch.

Moore chwycił ostre narzędzie i zaczął podważać pokrywę.

–Akurat, w proch. Myślę, że on tak to zbudował, żeby przetrwało milion lat.

Stara, wysuszona pokrywa pękła na dwoje. Moore cisnął ją na podłogę, gdzie roztrzaskała się na setki kawałków. Z otwartego sarkofagu wydobyła się chmura stęchłego, zbutwiałego powietrza. Kłęby kurzu buchnęły Moore'owi i jego asystentom w twarz, aż musieli cofnąć się, dławieni kaszlem. Ruszyły umieszczone wokół stołu kamery i filmowały dokładnie całą operację.

Moore dał niecierpliwy znak. Dwa macmillany wyjęły pomarszczone ciało z trumny i trzymały je na wysokości oczu. Moore dotknął twarzy mumii zaostrzoną sondą. Nagle chwycił prawą kończynę i nacisnął. Ręka oderwała się bez trudu. Trzymał ją z głupią miną.

Ciało było plastikową atrapą.

–Widzicie! – krzyknął Moore. – Imitacja!

Z rozmachem rzucił rękę. Jeden z macmillanów złapał ją, zanim spadła na podłogę. W miejscu ręki ziała teraz dziura. Ciało było w środku puste. Podtrzymywały je metalowe żebra, zamontowane ręką mistrza.

Moore oglądał ciało z wszystkich stron, ponury i zamyślony. Nie odzywał się do Yerricka. Wreszcie chwycił mumię za włosy i szarpnął. Skalp oderwał się, obnażając matową metalową półkulę. Moore rzucił perukę robotowi i odwrócił się plecami do eksponatu.

–Wygląda zupełnie jak na fotografii- powiedział z podziwem Yerrick.

–Naturalnie! – zaśmiał się Moore. – Najpierw zrobiono kukłę, a potem ją sfotografowano. Ale przypuszczalnie tak mniej więcej wyglądał Preston. To znaczy, wygląda – poprawił się z błyskiem w oku.

Eleonora Stevens podeszła ostrożnie do mumii.

–Czy to naprawdę coś nowego? – spytała. – Twoje dzieło idzie dużo dalej. Być może Preston, tak jak ty, wykorzystał notatki MacMillana. Zbudował swoją replikę, tak jak ty zbudowałeś Pelliga.

–Słyszeliśmy prawdziwy głos Prestona – odparł Moore. – To nie był głos sztucznie zbudowanego medium. Każdy głos ma swoje cechy wyróżniające, tu nie może być pomyłki. Nawet jeśli zbudował replikę swojego ciała...

–Myślisz, że on nadal żyje w swoim własnym ciele? – spytała Eleonora. – Przecież to niemożliwe!

Moore nie odpowiedział. Wpatrywał się zamyślony w atrapę Johna Prestona. Potem wziął urwaną rękę i zaczął mechanicznie, jeden po drugim, odrywać sztuczne palce. Eleonora nigdy dotąd nie widziała u niego podobnego wyrazu twarzy.

–Mój sztuczny człowiek – powiedział cicho Moore -może przeżyć rok. Potem się psuje. Po roku będzie do niczego.

–Co z tego – wtrącił Yerrick. – Jeśli przez rok nie zniszczymy Cartwrighta, to i tak wszystko jedno!

Czy jesteś pewien, że jego głos i wygląd będą... – zaczęła Eleonora, ale Moore jej przerwał.

–Ja nie potrafię – oznajmił stanowczo. W jego głosie zabrzmiał dziwny ton. – Jeśli można to zrobić, ja nie mam pojęcia jak. – Nagle zerwał się i ruszył w stronę wyjścia. – Pellig prawdopodobnie wkroczy za chwilę w strefę ochronną telepatów. Chcę być podłączony do aparatu, kiedy do tego dojdzie.

Yerrick i Eleonora wyszli szybko za nim, zapominając o atrapie Prestona.

–To może być ciekawe – rzucił Yerrick, biegnąc do swojego gabinetu. Twarz mu płonęła, kiedy niecierpliwie włączał monitor, zainstalowany specjalnie na jego biurku. Z Eleonorą, stojącą za jego plecami, Yerrick przygotowywał się do widoku Keitha

Pelliga w chwili, gdy wysiada z rakiety międzykontynentalnej na płytę lotniska w Batawii.

Keith Pellig odetchnął głęboko ciepłym, świeżym powietrzem i rozejrzał się wokół.

Drżąc z emocji, Margaret Lloyd zeszła tuż za nim po schodkach.

–Chciałabym, żebyś poznał Waltera. Powinien gdzieś się tu kręcić. O Boże, tyle ludzi...

Lotnisko było zatłoczone. Pracownicy rannej zmiany wysiadali z raket, tłumy urzędników Dyrektoriatu czekały na odlot do domu. Niesforne grupki pasażerów oczekiwały nerwowo na statki międzyplanetarne. Wszędzie pełno było bagażu i zapracowanych macmillanów, słychać było ciągły gwar i krzątanie, głosy ludzkie i łoskot silników, skrzek głośników i warkot naziemnych samochodów i autobusów.

Wszystko to spostrzegł Al Davis, kiedy zatrzymał ciało Pelliga, żeby poczekać na Margaret Lloyd, która przeciskała się przez tłum. Im więcej ludzi, tym lepiej – ocean dźwięków zagłuszy jego osobowość.

–To on! – krzyknęła Margaret, z drżącymi piersiami i błyszczącymi oczyma, oszołomiona tym, co widzi. Zaczęła machać gwałtownie ręką. – Zobaczył nas! Idzie w naszą stronę!

Chudy mężczyzna po czterdziestce z godnością torował sobie drogę w ciżbie gadających, śmiejących się, spoconych ludzi. Cierpliwy i znudzony, wyglądał jak typowy wyższy urzędnik Dyrektoriatu.. Pomachał do Margaret Lloyd i coś zawołał, ale jego słowa utonęły w ogólnym hałasie.

–Może zjemy gdzieś razem obiad? – powiedziała panna Lloyd do Pelliga. – Znasz jakiś lokal? Walter na pewno coś znajdzie. On się zna na wszystkim. Jest tutaj od dawna i to dla niego odpowiednie...

Ostatnie słowa zagłuszyła przejeżdżająca ciężarówka. Davis i tak nie słuchał. Musi iść. Powinien pozbyć się tej trajkocącej dziewczyny oraz jej podstarzałego przyjaciela i ruszyć w stronę budynków Dyrektoriatu. W rękawie miał ukryty przewód, zasilający pistolet kciukowy. Jak tylko zobaczy Cartwrighta, jak tylko stanie twarzą w twarz z Lotermistrzem – jeden szybki ruch ręką, jeden ruch kciuka i tryśnie strumień czystej energii...

W tej chwili spostrzegł wyraz twarzy Waltera.

Al Davis w ciele Pelliga ruszył na oślep przez tłoczących się ludzi, w stronę wyjścia na ulicę i postoju taksówek. Oczywiście Walter jest telepatą. Widać było na jego twarzy, że odczytał myśli Davisa i jego krótką powtórkę przebiegu morderstwa. Grupka ludzi rozstała się i ciało Pelliga wpadło na barierkę. Davis jednym susem przesadził barierkę i znalazł się na chodniku.

Rozejrzał się i zamarł. Walter wciąż szedł za nim.

Davis ruszył chodnikiem. Za wszelką cenę musi iść dalej. Doszedł do przejścia i przebiegł na drugą stronę. Samochody trąbiły, ale on nie zwracał na nie uwagi i biegł przed siebie.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę z powagi sytuacji. Każdy przechodzień mógł być telepatą. Wieść już się rozeszła, przekazywana z mózgu do mózgu. Sieć telepatów tworzy zamknięty krąg: natknąwszy się na pierwsze ogniwo, jakby nacisnął cyngiel. Wszystko jedno, czy ucieknie Walterowi – za chwilę kolejny telepata może mu zagrozić drogę.

Zatrzymał się i dał nura do sklepu. Znalazł się wśród materiałów – otoczony ze wszystkich stron barwnymi,

wzorzystymi tkaninami. Eleganckie panie oglądały towar i niespiesznie kupowały. Przebiegł obok lady w kierunku wejścia na zaplecze.

W drzwiach pojawił się sprzedawca, grubas w niebieskim garniturze, z nalaną twarzą, na której malowało się oburzenie.

–Hej, tu nie ma przejścia. Co to ma znaczyć?

Tłuste cielsko wypełniło framugę drzwi.

Umysł Davisa pracował gorączkowo. Raczej poczuł, niż zobaczył grupę ludzi, którzy weszli głównym wejściem.

Schylił się i przemknął obok zdziwionego sprzedawcy wąskim przejściem między dwiema ladami. Wywrócił przestraszoną staruszkę i znalazł się koło wielkiego stojaka, który obrócił się z godnością. Co teraz? Oni są przy obydwu drzwiach – sam wszedł w pułapkę. Myślał gorączkowo. Co robić?

Kiedy próbował znaleźć wyjście z sytuacji, nagle z cichym gwizdem znalazł się wewnątrz ochronnego pancerza, który otaczał jego ciało. Był z powrotem w Farben. Przed jego oczyma na mikroskopijnym ekranie biegał i szalał miniaturowy Pellig. Kolejny operator usiłował rozwiązać problem ucieczki, ale Davisa to nie interesowało. Leżał bezwładnie na fotelu i pozwalał skomplikowanej maszynie, podłączonej do jego ciała – prawdziwego ciała – odciągnąć nadmiar adrenaliny, która zatykała mu płuca i serce.

Pałił się inny czerwony guzik, nie jego. Mógł nie zważać na wrzaski, dobiegające jego uszu. Ktoś inny musiał w tej chwili znaleźć rozwiązanie. Davis wyciągnął rękę, chcąc dotknąć amuletu, który miał na szyi, ale przeszkodził mu w tym pancerz. Nie szkodzi – przecież jest już bezpieczny.

Na ekranie Keith Pellig stopił plastikową tafłę okna eleganckiego sklepu tekstylnego i wypadł na ulicę. Ludzie wrzeszczeli – zrobiło się zamieszanie.

Tłusty sprzedawca stał jak słup soli. Wszyscy wokół biegali tam i z powrotem, a on stał bez ruchu, tylko wargi mu drżały, a całe ciało przebiegały nerwowe dreszcze. Z grubych ust sączyła się ślina. Przewracał oczyma. Nagle osunął się ciężko na podłogę.

Obraz zmienił się, kiedy Pellig umknął grupce ludzi, zgromadzonych koło sklepu. Sprzedawca znikł z pola widzenia. Al Davis zastanawiał się. Czyżby Pellig zabił sprzedawcę? Tymczasem Pellig mknął chodnikiem. Jego ciało było przystosowane do szybkich biegów. Na rogu skręcił, zawahał się i wszedł do kina.

Wewnątrz było ciemno. Pellig szedł po omacku. Zła strategia, stwierdził Davis. Ciemności nie przeszkadzają telepatom, którzy polegają na kontakcie myślowym, a nie na wzroku. Umysł operatora jest dla nich równie widoczny w mroku, co w pełnym świetle dnia, natomiast Pellig ma w ciemności skrępowane ruchy.

Operator zrozumiał swój błąd i zaczął szukać wyjścia. Ale oto już zbliżały się do niego ciemne postacie, niewyraźne w mrocznej sali. Pellig zawahał się, wreszcie wskoczył do ubikacji. Jakaś kobieta szła za nim, ale przystanęła przed drzwiami. W tym momencie Pellig wypalił pistoletem kciukowym dziurę w ścianie ubikacji i pojawił się na małej uliczce na tyłach kina.

Przystanął, żeby zebrać myśli. W górze majaczył wielki gmach Dyrektoriatu ze złotą wieżą, która odbijała światło słoneczne. Pellig odetchnął głęboko i ruszył wolnym truchtem w kierunku wieży...

Nagle zaświecił się inny guzik.

Ciało potknęło się. Nowy operator, kompletnie zaskoczony, usiłował złapać równowagę. Ciało runęło jednak na stertę śmieci. Kiedy się z niej wygramoliło, w pobliżu nie było nikogo. Nie było widać żadnej pogoni. Pellig doszedł do głównej ulicy, rozejrzał się i skinął na kierowaną przez robota taksówkę.

Samochód ruszył z piskiem opon w kierunku wieży Dyrektoriatu. Inne auta oraz przechodnie zostawali z tyłu, w miarę jak pojazd nabierał prędkości. Pellig odpoczywał na miękkim, wyściełanym siedzeniu, ze spokojną twarzą. Obecny operator szybko nabierał pewności siebie. Nonszalancko zapalił papierosa i wyglądał przez okno. Potem wyczyścił paznokcie, dotknął wypalanej dziury w spodniach, spróbował nawiązać rozmowę z robotem, wreszcie rozsiadł się z głową na oparciu.

Działo się coś dziwnego. Davis spojrział na schematyczny plan, który pokazywał

**odległość między ciałem Pelli-ga a siedzibą Dyrektoriatu. Ciało zaszło za daleko!
Rzecz niewiarygodna, ale sieć telepatów nie zdołała go zatrzymać.**

Dlaczego?

**Davisowi spocily się dłonie i pachy. Ścisnęło go w dołku. Może Pellig się sprawdził?
Może udało mu się przedrzeć?**

**Spokojny, pewien siebie, rozwalony na tylnym siedzeniu taksówki, Keith Pellig
mknął w stronę biur Dyrektoriatu, schowawszy śmiercionośny kciuk w zanadrzu.**

Major Shaeffer siedział za biurkiem i krzyczał ze strachu.

**–To niemożliwe – terkotały myśli stojącego obok telepaty. – Nie, nie, nie, to
niemożliwe.**

–Musi być jakiś powód – udało się wtrącić Shaeffe-rowi.

–Zgubiliśmy go.

**Ta niewiarygodna, straszna myśl krążyła od ogniwa do ogniwa przez całą siatkę
telepatów.**

**–Shaeffer, zgubiliśmy go! Walter Remington przejął go, gdy tylko wysiadł ze statku.
Miał go. Podśluchał cały syndrom. Pistolet kciukowy, strach, cechy osobowości,
strategia. A potem...**

–Pozwoliliście mu uciec.

–Nie, Shaeffer. On znikł! – Z myśli przebijało niedowierzanie. – Nagle go nie było. Rozpłynął się w powietrzu. Powtarzam, nie zgubiliśmy go. Przy drugim stanowisku przestał istnieć.

–W jaki sposób?

Nie wiadomo. Remigton przekazał go Allisonowi koło sklepu tekstylnego. Myśli mordercy było widać jak na dłoni. Potem tamten zaczął uciekać przez sklep. Allison bez trudu utrzymał kontakt – wciąż śledził drogę, jaką odbywały myśli mordercy, wyraźne dzięki swej intensywności.

–Morderca musi mieć jakąś tarczę.

–Nie było żadnego zaćmienia. Cała osobowość znikła w jednej chwili, nie tylko myśli.

Shaeffer myślał gorączkowo. Coś takiego zdarza nam się pierwszy raz. Zaklął głośno i wściekle, aż podskoczyły rzeczy leżące na biurku.

–A Wakeman jest na Księżycu. Nie możemy się z nim porozumieć telepatycznie. Będę musiał użyć kanału mzpw.

–Powiedz mu, że stało się coś okropnego. Powiedz mu, że morderca rozpłynął się w powietrzu.

Shaeffer przebiegł do kabiny nadawczej. Kiedy niecierpliwie nawiązywał bezpośrednią łączność z ośrodkiem na Księżycu, zmroziła go nowa fala ożywionych myśli.

–Złapałam go! – powtarzała jakaś telepatka za pomocą siatki kolegów. – Mamy go!

–Gdzie jesteś? – napłynęły natarczywe pytania z góry i z dołu siatki. – Gdzie on jest?

–W kinie. Niedaleko tamtego sklepu. Szybkie, chaotyczne instrukcje.

–Idzie do męskiej toalety. Parę metrów przede mną. Czy mam wejść za nim? Mogę łatwo... Myśl urwała się. Shaeffer wrzasnął z furią przez siatkę mózgow:

–Idź za nim!

Cisza. A potem... krzyk tamtego mózgu.

Shaeffer ukrył twarz w dłoniach i zamknął oczy. Powoli burza uspokajała się. Po kolei w każdym mózgu następowało przesilenie i krótkie spięcie. Nieludzki ból przeszedł przez całą siatkę.

Trzeci raz.

–Gdzie on jest? – wołał Shaeffer. – Co się stało? Sąsiedni gwardzista zatelepował słabo:

–Zgubiła go. Sama wypadła z siatki. Chyba nie żyje. Została spalona. Jestem w pobliżu, ale nie mogę złapać mózgu, który ona śledziła. Ten mózg znikł!

Shaefferowi udało się wywołać na monitorze mzpw obraz Petera Wakemana.

–Peter! – rzucił chrapliwym głosem. – Jesteśmy pokonani.

–Jak to? Przecież Cartwrighta nie ma w Batawii.

–Złapaliśmy mordercę, a potem go straciliśmy. Złapaliśmy go ponownie, po paru minutach, w innym miejscu. Peter, on przeszedł przez trzy stanowiska! I idzie dalej. Jak on...

–Posłuchaj – przerwał mu Wakeman. – Jak przechwycicie jego myśli, trzymajcie się blisko. Tuż, tuż, aż przejmie go następny. Może stoicie za daleko od siebie. Może...

–Mam go – usłyszał w myśli Shaeffer. – Jest koło mnie. Zaraz go znajdę, jest bardzo blisko. Całą siatkę ogarnęła podniecenie.

–Dzieje się coś dziwnego.

Niepewność, zmieszana z ciekawością, a potem absolutne zdumienie.

–Tak, jakby było więcej morderców niż jeden. Ale to niemożliwe.

Podniecenie rośnie.

I

–Teraz go widzę. Pellig wysiada z taksówki, przechodzi przez ulicę. Ma zamiar wejść do budynku Dyrektoriatu głównym wejściem, widzę to wszystko w jego myślach. Zabiję go. Zatrzymuje się na światłach. Teraz myśli o tym, żeby przejść przez ulicę i...

Nic.

Shaeffer czekał. Nadal nic.

–Zabiłeś go? – spytał. – Zabiłeś?

–On znikł – nadeszła rozhisteryzowana myśl. – Stoi przede mną, a równocześnie znikł. Jest tutaj i nie ma go. Kim jesteś? Z kim chcesz rozmawiać? Cartwright jest chwilowo nieobecny. Jak się nazywasz? Czy to ty przed chwilą... czy też... że nie mamy precz wychodzi precz to...

Uszkodzony telepata gaworzył jak dziecko, więc Shaeffer musiał wyłączyć go z siatki. Coś tu nie pasowało. To było nie do pojęcia. Keith Pellig wciąż tam stał, twarzą w twarz z gwardzistą, na odległość strzału – a równocześnie Keith Pellig znikł z powierzchni ziemi!

Przed monitorem pokazującym wędrowkę mordercy Yerrick zwrócił się do Eleonory Stevens:

–Pomyliliśmy się. To działa lepiej, niż się spodziewaliśmy. Dlaczego?

–Wyobraź sobie, że mówisz do mnie. Rozmawiamy. A ja nagle znikam. Zamiast mnie pojawia się zupełnie inna osoba.

–Inna fizycznie. Tak – powiedział Yerrick.

–Nawet nie kobieta. Młody człowiek albo starzec. Jakieś zupełnie inne ciało, które ciągnie rozmowę, jakby się nic nie stało.

–Rozumiem – przytaknął chętnie Yerrick.

–Telepaci polegają na danych telepatycznych – ciągnęła Eleonora – nie na wyglądzie zewnętrznym. Mózg każdego człowieka ma swój indywidualny ton.
Telepatia

kieruje się kontaktem myślowym, a kiedy ten zostaje przerwany... – Twarz dziewczyny wyrażała ból. – Reese, zdaje mi się, że doprowadzasz ich do utraty zmysłów. Yerrick wstał sprzed monitora.

–Popatrz chwilę sama.

–Nie – wzdrygnęła się Eleonora. – Nie chcę na to patrzeć.

Odezwał się brzęczyk na biurku Yerricka.

„Lista odlotów z Batawii – stukał dalekopis. – Dokładny czas i port przeznaczenia. Dane z ostatniej godziny. Ze specjalnym uwzględnieniem lotów dodatkowych”.

Yerrick wziął do ręki metalowy zwitek i rzucił go na biurko.

–To nie potrwa długo – powiedział ochryplym głosem do Eleonory.

Spokojnie, z rękami w kieszeniach Keith Pellig kroczył szerokimi marmurowymi schodami przez główne wejście budynku Dyrektoriatu w Batawii, wprost do prywatnych apartamentów Leona Cartwrighta.

Peter Wakeman popełnił błąd.

Długo siedział w fotelu, uświadamiając sobie ten niepojęty fakt. Drżącą ręką wyciągnął z walizki piersiówkę whisky i nalał pół szklanki. Na ściankach naczynia dostrzegł osad zeschniętej protyny. Wyrzucił szklankę z whisky do zsypu na śmieci i pił wprost z butelki. Potem wstał i windą pojechał na najwyższe piętro ośrodka.

Gwardziści w jaskrawych plażowych strojach odpoczywali wokół dużego basenu z niebieską wodą. Nad ich głowami kopuła z przezroczystego plastiku oddzielała świeże, pachnące wiosną powietrze od ponurego opustoszałego krajobrazu księżycowego. Śmiech, plusk gibkich ciał, kolorowe kostiumy, nagość – wszystko to docierało do Wakemana jak przez mgłę.

Rita O'Neill wyszła przed chwilą z wody i teraz opalała się sennie, oddalona nieco od największego skupiska ludzi. Jej gładkie nagie ciało połyskiwało w ciepłym świetle, sączącym się przez powłokę ochronną. Ujrawszy Wakemana, Rita szybko usiadła, a jej czarne włosy opadły kaskadą na brązowe ramiona i plecy.

–Wszystko w porządku? – spytała. Wakeman opadł na leżak. Zbliżył się do niego mac-millan. Peter wziął wysoką szklankę.

–Rozmawiałem z Batawią – powiedział. – Z Shaeffe-rem.

145

Rita zaczęła szcztokować skłębione włosy. Krople wody padały na rozgrzane deski i natychmiast parowały.

–Co miał do zakomunikowania? – spytała z pozorną obojętnością.

Jej oczy były duże, ciemne i poważne.

Wakeman popijał bezmyślnie i powoli zapadał w pół-sen pod wpływem mocno grzejącego słońca. W pobliżu rozdokazywani amatorzy kąpieli śmiali się i bawili w chlorowanej wodzie. Olbrzymia lśniąca piłka uniosła się w górę i zawisała jak żywa kula, nim spadła w ręce uśmiechniętego gwardzisty. Brązowe ciało Rity rysowało się wyraźnie na tle ręcznika, pełne wdzięku, siły i dziewczęcego wigoru.

–Nie mogą go powstrzymać – powiedział Wakeman. Whisky skrzepla mu w brzuchu, twarda, zimna bryła utkwiała w żołądku. – Niedługo tu będzie. Ale to wszystko obmyśliłem.

Czarne oczy Rity rozszerzyły się. Na chwilę przestała szczotkować włosy, potem wróciła do przerwanej zajęcia, czesała się wolno i metodycznie. Wreszcie odrzuciła włosy do tyłu i wstała.

–Czy Pellig wie, że Leon jest tutaj?

–Jeszcze nie. Ale to tylko kwestia czasu.

–A my nie możemy go tu obronić?

–Spróbujemy. Może dojdę, gdzie tkwił błąd. Może uda mi się zdobyć więcej informacji o Pelligu.

–Czy zabierzesz Leona w inne miejsce?

–Szkoda fatygi. To miejsce jest równie dobre, jak każde inne. Przynajmniej nie ma tu tłumu ludzi, którzy zagłuszają myśli mordercy.

Wakeman wstał z trudem z leżaka i odstawił nie dopitą szklankę. Poczł się stary. Bolały go kości.

–Idę na dół, przejrę taśmy z przesłuchania Herba Moore'a, zwłaszcza te, na których rozmawia z Cartwrigh-tem, Może uda mi się coś z tego wyciągnąć.

Rita włożyła szlafrok i przewiązała się paskiem w szczupłej talii. Wsunęła nogi w pantofle, wzięła szczotkę do włosów, okulary przeciwsłoneczne i olejek do opalania.

–Ile mamy czasu, zanim on tu dotrze?

–Już teraz musimy być gotowi. Sprawy toczą się szybko. Zbyt szybko, żeby coś dobrego miało z tego wyniknąć. Coś mi się zdaje, że wszystko się wali.

–Mam nadzieję, że znajdziesz wyjście – powiedziała Rita spokojnym, beznamiętnym głosem. – Leon teraz odpoczywa. Namówiłam go, żeby się położył. Lekarz dał mu zastrzyk na sen.

Wakeman zwlekał z odejściem.

–Zrobiłem to, co uważałem za właściwe. Musiałem coś pominąć. Niewątpliwie walczyliśmy ze zjawiskiem, które jest bardziej skomplikowane i podstępne, niż przypuszczaliśmy.

–Powinieneś pozwolić jemu decydować – odparła Rita. – Odebrałeś mu inicjatywę. Jesteś jak Yerrick i jego ludzie. Nie wierzysz, że on dałby sobie radę. Traktowałeś go jak dziecko, aż w końcu poddał się i sam w to uwierzył.

–Zatrzymam Pelliga- powiedział spokojnie Wakeman. – Wszystko naprawię. Dojdę, w czym rzecz, i zatrzymam go, zanim dotrze do twojego stryja. To nie Yerrick za tym stoi, Yerrick nie wymyśliłby czegoś tak mądrego. To musi być Moore.

–Szkoda – westchnęła Rita – że Moore nie jest po naszej stronie.

–Zatrzymam Pelliga – powiedział Wakeman. – Znajdę jakiś sposób.

–Między jedną a drugą szklanką whisky.

Rita zatrzymała się na chwilę, żeby zawiązać sznurowadła, a potem zesłała schodkami, które wiodły do prywatnego mieszkania Cartwrighta. Nie obejrzała się.

Keith Pellig pewnym krokiem wchodził po marmurowych schodach do budynku Dyrektoriatu. Szedł szybko, dotrzymując kroku setkom urzędników, którzy spokojnie zmierzali w kierunku wind, korytarzy i biur. W głównym hallu Pellig przystanął na chwilę, żeby rozejrzeć się w sytuacji.

Nagle w całym budynku rozległy się dzwonki alarmowe. W jednej chwili ustała

dobroduszna krzątanina urzędników i interesantów. Twarze utraciły monotony przyjazny wyraz. Spokojny tłum w mgnieniu oka przeobraził się w podejrzliwą, załęczoną masę. Z ukrytych głośników dobiegały zgrzytliwe, metaliczne głosy:

–Proszę opuścić budynek! Wszyscy muszą wyjść! Głosy mieszały się w ogłuszającej kakofonii.

–Morderca jest w budynku! Wszyscy muszą stąd wyjść!

Pellig zabląkał się w tłumie ludzi zmierzających chaotycznie do wyjścia. Przystanął, zawrócił i zaczął przepychać się pod prąd, w kierunku labiryntu korytarzy wiodących w głąb budynku.

Wtem rozległ się krzyk. Ktoś go rozpoznał. Nastąpiła gwałtowna wymiana ognia, zwęglone ciała waliły się pokotem w beładnej strzelaninie. Pellig uciekł. Krążył czujnie, nie zatrzymując się ani na chwilę.

–Morderca jest w głównym hallu! – dudniły mechaniczne głosy. – Skoncentrować się na hallu!

–Ib on! – krzyknął jakiś mężczyzna. Za nim wołali inni:

–To on! Tam!

Na dachu budynku lądowała pierwsza partia wojskowych transporterów. Wysypywali się z nich żołnierze w zielonych mundurach, którzy zaraz znikali w windach. Pojawił się ciężki sprzęt – taszczo go do wind towarowych albo zrzucano wprost na ulicę.

Przy monitorze Reese Yerrick zwrócił się do Eleonory Stevens:

–Rzucili do walki regularne oddziały. Czy to ma znaczyć...

–To znaczy, że Gwardia została wyeliminowana – powiedziała Eleonora. – Telepaci wykończyli się.

–Więc teraz znajdą Pelliga, kierując się jego wyglądem zewnętrznym. Tutaj nasza aparatura traci przydatność.

–Morderca jest w hallu! – mechaniczne głosy górowały nad zgiełkiem. Korytarzami toczyły się uzbrojone macmillany, najeżone karabinami. Żołnierze zwojami plastikowego kabla omotywali wyloty korytarzy. Podekscytowani urzędnicy tłoczyli się przy głównych drzwiach. Na zewnątrz żołnierze tworzyli stalowy pierścień, krąg uzbrojonych po zęby ludzi. Bezradnie przyglądano się urzędnikom, którzy po jednym wychodzili z budynku.

Ale Pelliga nie było wśród nich. W pewnej chwili ruszył nawet do wyjścia, ale równocześnie włączył się inny czerwony guzik i Pellig zmienił zdanie.

Nowy operator był energiczny i opanowany. Wszedł w sztuczne ciało, mając w głowie kompletnie opracowany plan. Pobiegł wąskim korytarzykiem prosto na niemrawego żołnierza-macmillana, który usiłował zablokować sobą przejście. Pellig zdołał się precyzyjnie przemieszczać, nim zatrzasnęły się kłódki. Usłyszał suchy trzask za sobą - teraz przejście było zablokowane.

–Morderca opuścił hali! – wydzierały się głośniki. – Usunąć tego macmillana!

Szybko porwano robota i mimo jego głośnych protestów i zgrzytów ciśnięto do magazynu. Żołnierze rzucili się za Pelligiem, który biegł przez opustoszałe korytarze, obok pustych pokojów, które dudniły echem kroków.

Kciukiem wypalił sobie dziurę w ścianie i znalazł się w obszernej recepcji. Było tu pusto i cicho. Pełno krzesel, biurek, taśm, puszystych dywanów – i ani jednego człowieka.

Benteley drgnął na ten widok przy swoim monitorze. W tej właśnie recepcji czekał na spotkanie z Reese'em Yerrickiem...

Sztuczne ciało przedostawało się z pokoju do pokoju, klucząc, wypalało sobie przejście w ścianach i zdawało się, że czyni to bez najmniejszej emocji. Raz Pellig przebiegł przez pokój, w którym pracowali ludzie. Urzędnicy z krzykiem rzucili się do

ucieczki. Zostawili biurka w nieładzie i biegli do drzwi. Pellig nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi. Przemknął przez pokój, niemal nie dotykając nogami podłogi. W punkcie kontrolnym wręcz jakby wzbił się w powietrze, blady Hermes z rozwianym włosom.

Zostawił za sobą ścianę ostatniego biura handlowego. Znalazł się przed masywną fortecą Lotermistrza. Odskoczył, kiedy rażąca struga z pistoletu kciukowego spłynęła po twardej rekseroidowej powierzchni. Potknął się oszołomiony.

–Morderca jest w biurach wewnętrznych! – buczały nad nim i wokół niego, we wszystkich korytarzach i we wszystkich pokojach olbrzymiego budynku suche, mechaniczne odgłosy. – Otoczyć go i zniszczyć!

Pellig zaczął biegać w kółko – i znów zmienił się czerwony guzik.

Nowy operator zatoczył się, wpadł na biurko, ale szybko opanował sztuczne ciało i zaczął systematycznie wypalać dziurę w fortecy z rekseroidu.

Yerrick w swoim gabinecie zacierał ręce z zadowolenia.

–Teraz sprawa nie potrwa długo. Czy to Moore jest operatorem?

Eleonora sprawdziła, który guzik się pali.

–Nie – powiedziała. – Jeden z jego ludzi.

Sztuczne ciało wydało ultradźwiękowy gwizd. Odpadł kawał rekseroidowej fortecy, odsłaniając ukryte przejście. Ciało rzuciło się bez wahania w korytarzyk.

Pod nogami Pelliga pękały nadaremnie kapsułki z gazem. Sztuczne ciało nie musi oddychać.

Yerrick zaśmiał się jak rozbawione dziecko.

–Widzisz?

Nie potrafili go zatrzymać. Dostał się do środka. Yerrick podskakiwał i walił się pięściami w kolana.

–Teraz go zabije! Teraz!

Ale rekseroidowa forteca, świetnie wyposażona w broń i monitory mzpww, była pusta. Yerrick zaklął szpetnie:

–Nie ma go! Uciekł! – Na jego twarzy malowało się rozczarowanie. – Wywieźli sukinsyna!

Herb Moore przy swoim monitorze naciskał w panice różne przełączniki. Światelka, wskaźniki, podziałki i tarcze wirowały jak oszalałe. A tymczasem Pellig stał, jakby wrósł w ziemię, jedną nogą w pustym gabinecie. W środku było wielkie biurko, przy którym powinien siedzieć Cartwright. Były akta, były urządzenia alarmowe, meble, aparatura. Ale nie było Leona Cartwrighta.

–Niech się rozejrzy! – krzyknął Yerrick. – Cartwright musi być gdzieś blisko!

Głos Yerricka zaskrzeczał w słuchawkach Moore'a. Herb myślał gorączkowo. Na ekranie ciało chodziło niepewnie tam i z powrotem. Na schemacie szpilka oznaczająca Pelliga tkwiła w samym sercu Dyrektoriatu. Morderca dotarł do celu, ale zdobyczy nie było.

–To pułapka! – krzyczał Yerrick do ucha Moore'a. – Wpadł w sidła! Teraz go zabiją!

Do zdemolowanej fortecy ze wszystkich stron podchodzili uzbrojeni żołnierze. Na rozkaz Shaeffera postawiono na nogi wszystkie siły Dyrektoriatu.

–Morderca w wewnętrznej komorze! – skrzeczały triumfalnie głośniki. – Otoczyć go i zabić!

–Otoczyć mordercę!

–Zastrzelić i zetrzeć na proch!

Eleonora przyłgnęła do potężnego ramienia Yerricka.

–Oni go rozmyślnie przepuścili. Spójrz: już po niego idą.

–Niech ucieka! – krzyczał Yerrick. – Jeśli tam zostanie, spalą go na popiół.

W głębi zniszczonego przez Pelliga korytarza pojawiły się pierwsze lufy Powolny ciężki sprzęt ustawiał się do ostatecznego starcia – metodycznie, bez pośpiechu.

Pellig miotał się rozpaczliwie. Wybiegł z gabinetu Lo-termistrza wąskim korytarzykiem i rzucał się od drzwi do drzwi jak zaszczute zwierzę. Raz zatrzymał się, żeby zniszczyć macmillana, który podszedł za blisko i ślamazarnie składał się do strzału. Robot rozsypał się, a Pellig przemknął obok jego zwęglonych szczątków. Ale dalej korytarz roił się od żołnierzy i broni. Pellig musiał się wycofać.

Herb Moore rzucił wściekle Yerrickowi:

–Wywieźli Cartwrighta z Batawii.

–Szukajcie go.

–Tu go nie ma. Tylko tracimy czas. Moore myślał gorączkowo.

–Prześlij mi dane o ruchu rakiet z Batawii. Zwłaszcza z ostatniej godziny.

–Ale...

–Wiemy, że był w Batawii godzinę temu. Pospiesz się!

Poczta pneumatyczna wyrzuciła metalowy zwitek na biurko Moore'a. Herb rozwinął raport i przejrzał dane.

–Jest na Księżycu – powiedział. – Wywieźli go tym swoim statkiem C-plus.

–Skąd wiesz? – odpowiedział wściekły Yerrick. – A może schowali go w jakiejś podziemnej kryjówce.

Moore zignorował go i nacisnął dźwignię. Zamigotały przyciski, a zwiotczałe ciało Moore'a spoczęło w pancerzu ochronnym.

Ted Benteley widział na monitorze, jak ciało Pelliga nagle podskakuje i sztywnieje. Twarz drgnęła, można było dostrzec drobne przesunięcie rysów. Nowy operator zaczął działać – na tablicy świecił się teraz inny czerwony guzik.

Nowy operator nie tracił czasu. Spalił kilku żołnierzy i parę ścian. Stal i plastik topiły się i spływały w oparach dymu. Sztuczne ciało rzuciło się w dziurę, lecąc łukiem niczym pocisk w ludzkim kształcie. Po chwili pojawiło się nad budynkiem i wciąż nabierając szybkości zmierzało prosto w kierunku smętnej twarzy Księżyca, ledwie widocznej na popołudniowym niebie.

Ziemia wkrótce została w tyle. Pellig poruszał się w próżni.

Benteley siedział przed monitorem jak sparaliżowany. Powoli wszystko się wyjaśniało. Patrząc na ciało mknące przez niebiosa coraz ciemniejsze, coraz mniej błękitne, a coraz gęściej usiane gwiazdami, Benteley zrozumiał, co się przydarzyło. To nie był sen. Ciało Pelliga było miniaturowym statkiem kosmicznym, skonstruowanym w laboratorium Moore'a. W dodatku, zauważył z podziwem, sztuczne ciało nie potrzebowało powietrza i nie reagowało na skrajne temperatury. Pellig był w stanie odbywać loty międzyplanetarne.

Shaeffer połączył się z Wakemanem w parę sekund po odlocie Pelliga.

–Uciekł – mruknął. – Wystartował w kosmos i poleciał jak meteor.

–W jakim kierunku? – spytał Wakeman.

–W stronę Księżyca. – Shaeffer zmarkotniał. – Musieliśmy się poddać. Wezwaliśmy regularne wojsko. Gwardia była bezradna.

–A więc mogę się go w każdej chwili spodziewać?

–W każdej chwili. Jest w drodze.

Wakeman przerwał rozmowę i wrócił do swoich taśm

i notatek. Na biurku poniewierały się niedopałki i filiżanki po kawie, a wśród nich nie dopita piersiówka whisky. Teraz nie było już wątpliwości – Keith Pellig nie jest człowiekiem. Może jest kombinacją robota i silnika odrzutowego, zaprojektowaną w laboratorium Moore'a? Ale to nie wyjaśnia zmiennej osobowości, która zbiła z pantafyku telepatów z Gwardii. Chyba że...

Jakiś złożony umysł, który wciąż się zmienia. Pellig jest niejednorodną osobowością, sztucznie podzieloną na nie powiązane zespoły, z których każdy ma swój własny napęd, osobowości i własną strategię. Shaeffer słusznie wezwał regularne wojska na miejsce telepatów.

Wakeman zapalił papierosa i bezmyślnie bawił się amuletem, aż ten wypadł mu z ręki i zginął w bałaganie na biurku.

Już prawie rozumiał. Gdyby miał więcej czasu, żeby sprawę dokładniej rozpracować... Nagle wstał i podszedł do wzmacniacza myśli.

–Oto w jakiej jesteśmy sytuacji – pomyślał do telepatów rozsianych po całym ośrodku. – Morderca pokonał naszą siatkę w Batawii. Jest w drodze na Księżyc.

Oświadczenie wzbudziło grozę i zamieszanie. Telepaci na gwałt opuszczali leżaki, basen, sypialnie i bary.

–Każdy gwardzista ma włożyć kombinezon Farleya -ciągnął Wakeman. – To nie zdało egzaminu w Batawii, ale chcę, żebyście utworzyli wspólną siatkę. Trzeba zlokalizować mordercę poza powłoką ochronną ośrodka.

Przekazał to, co wiedział o Pelligu i czego się domyślał. Wciąż napływały pytające myśli.

–Robot?

–Sztuczny człowiek o złożonej psychice?

–A więc nie możemy polegać na kontakcie myślowym? Będzie trzeba oprzeć się na wyglądzie zewnętrznym.

–Nie, będziecie mogli przechwycić mordercze myśli –

wyjaśnił Wakeman, wkładając kombinezon Farleya. – Tylko nie spodziewajcie się ciągłości. Proces myślenia przerwie się nagle, bez ostrzeżenia. Musicie być przygotowani na wstrząs: to właśnie zniszczyło gwardzistów w Batawii.

–Czy każda nowa osobowość ma własną strategię?

–Na to wygląda.

Ta wiadomość wywołała zdziwienie i podziw.

–To wspaniale! Genialny pomysł!

–Musicie go znaleźć i zabić na miejscu – myślał ponuro Wakeman. – Jak tylko przechwycicie mordercze myśli, otwierajcie ogień, nie czekając.

Wakeman chwycił piersiówkę z prywatnych zapasów Reese'a Yerricka i wypił ostatni łyk. Zatrzasnął hełm i podłączył przewody tlenowe. Potem wziął pistolet do ręki i ruszył w stronę najbliższego hermetycznego wyjścia w powłoce ośrodka.

Widok nagiej księżycowej pustyni był wstrząsem. Przystanął, żeby wyregulować wilgotność i sztuczne przyciąganie oraz przystosować wzrok do widoku niezmiernie martwoty.

Księżyc to spustoszona, przeklęta równina. Gdziekolwiek zieją kraterzyki po meteorach, które zniszczyły życie satelity. Nic się nie rusza, nie ma wiatru, kurzu, najmniejszego śladu życia. Przed wzrokiem Wakemana roztaczała się dziobata kamienna kraina, pełna urwisk i szczelin zasypanych odpadkami. Powierzchnia Księżyca wyschła i popękała. Skóra i mięso zostały przeżarte w ciągu tysięcy lat bezlitosnej erozji. Pozostała tylko czaszka, z pustymi oczodołami, zionąca kraterami ust. Wakeman stąpał ostrożnie po gigantycznej martwej twarzy.

Za jego plecami jaśniał ośrodek, świetlista powłoka pełna ciepła, wygod i spokoju.

Kiedy tak szedł przez pustynną krainę, w jego mózgu rozległa się tryumfalna myśl:

155

–Peter, widzę go! Właśnie wylądował, czterysta metrów ode mnie!

Wakeman pobiegł, skacząc niezgrabnie z kamienia na kamień, z pistoletem w ręce.

–Zbliź się do niego – pomyślał w odpowiedzi. – I trzymaj go z daleka od ośrodka.

Gwardzista był podekscytowany i zdumiony.

–Wylądował jak meteor. Byłem poza ośrodkiem, jakieś dwa kilometry, kiedy usłyszałem rozkaz. Zobaczyłem błysk i zaraz poszedłem sprawdzić, co się stało.

–A teraz jak daleko jesteś od ośrodka?

–Niecałe pięć kilometrów.

Pięć kilometrów. Keith Pellig jest pięć kilometrów od swojej ofiary. Wakeman zmniejszył sztuczne przyciąganie do minimum i szybko pobiegł przed siebie. Wielkimi susami przemierzał dystans dzielący go od kolegi. Za nim zostawała coraz to mniejsza kopuła ośrodka. Dysząc ciężko, Wakeman biegł na spotkanie mordercy.

Wtem potknął się o występ skalny i upadł na twarz.

Wstając, usłyszał przenikliwy syk uciekającego powietrza. Jedną ręką wyciągnął przybory do klejenia skafandra, drugą szukał pistoletu. Niestety. Broń przepadła w stercie śmieci.

Powietrze uchodziło szybko. Przestał myśleć o pistolecie i zajął się naprawą kombinezonu. Plastikowe lepiszcze szybko stwardniało i zlikwidowało złowrogi syk. Wakeman znów zaczął szperać w śmieciach i w pyle, kiedy uderzyła go nowa porcja myśli.

–On idzie! Zmierza prosto w kierunku kopuły. Zlokalizował ośrodek!

Wakeman zaklął i przestał szukać broni. Ruszył biegiem w stronę telepaty. Miał przed sobą wysokie wzniesienie. Wbiegł szybko na szczyt i pół zjechał, pół stoczył się z drugiej strony. Rozciągała się przed nim obszerna niecka. Czaszka Księżyca łypała brzydkimi bliznami kra-

terów. Myśli telepaty były teraz wyraźne. Musiał być w pobliżu.

I po raz pierwszy Wakeman przechwycił myśli mordercy. Stał jak rażony gromem.

–To nie jest Pellig! – nadawał szybko. – To Herb Moore!

Umysł Moore'a pracował gorączkowo. Nieświadom, że ktoś czyta w jego myślach, Herb zwolnił wszystkie hamulce. Energiczne myśli i dążenia wpływały nieprzerwanym strumieniem, który osiągnął najwyższe natężenie, kiedy Moore spostrzegł błękitną powłokę, kryjącą wypoczynkowy ośrodek Dyrektoriatu.

Wakeman stanął bez ruchu, analizując bijący w niego strumień energii psychicznej. Wszystko tam było, cała historia. Supermózg Moore'a zawierał wszystkie fragmenty, wszystkie brakujące ogniwa.

Pellig składa się z wielu ludzkich umysłów, z wymiennych osobowości podłączonych do skomplikowanego mechanizmu, włączanych i wyłączanych na chybił trafił, przypadkowo, bez planu, Minimax, przypadkowość, chaos teorii Minimaxu...

To wszystko kłamstwo.

Wakeman wzdrygnął się. Pod grubą warstwą teorii gier był inny poziom, uboczny kompleks nienawiści, pożądania i strachu: zazdrość o Benteleya, nieustanny lęk przed śmiercią, zagmatwane plany, skomplikowany zespół potrzeb oraz wytrwałość w dążeniu do celu, wszystko razem przekute młotem ambicji. Moore należał do ludzi wiecznie z siebie niezadowolonych. Niezadowolenie jest motorem nieustannych kombinacji, ciągłej strategii.

Zmiany w maszynierii Pelliga nie są przypadkowe. Moore sprawuje pełną kontrolę. W każdej chwili może włączyć innego operatora. Może realizować dowolną kombinację. Może sam się podłączyć lub odłączyć, kiedy zechce. Może...

Myśli Moore'a nagle zmieniły bieg. Spostrzegł ścigającego go telepatę. Ciało Pelliga szybko uniosło się, zawisło w powietrzu, a potem trysnęło śmiercionośnym strumieniem w biegnącego.

Umysł gwardzisty wydał pojedynczy krzyk, potem ciało zamieniło się w kupkę popiołu. Przerażająca śmierć telepaty wstrząsnęła Wakemanem. Czuł długą, nie ustającą i zupełnie bezskuteczną walkę tamtego umysłu o zachowanie osobowości i

świadomości po śmierci ciała.

–Peter...

Umysł gwardzisty skupił się na chwilę, jak chmura ulatniającego się gazu, a potem rozprasał się wolno, nieubłaganie; słabe myśli nikły.

–O Boże...

Wreszcie świadomość tego człowieka, jego istota rozpadła się na drobne cząstki swobodnej energii. Umysł przestał być całością. Rozluźniła się więź osobowa – człowiek umarł.

Wakeman przeklinał utratę pistoletu. Przeklinał siebie, Cartwrighta i cały świat. Położył się za dużym głazem i czekał, a tymczasem Pellig opadł powoli i lekko wylądował na martwej powierzchni Księżyca. Potem morderca rozejrzał się i zadowolony ruszył pomału w stronę świetlistej kopuły, oddalonej o niespełna pięć kilometrów.

–Łapcie go! – nadawał rozpaczliwie Wakeman. – Jest bardzo blisko ośrodka.

Żadnej odpowiedzi. Inni telepaci byli za daleko, żeby odebrać i przekazać jego myśli. Śmierć najbliższego gwardzisty przerwała zaimprovizowaną siatkę. Pellig spokojnie kroczył nie strzeżoną rozpadliną.

Wakeman poderwał się. Podniósł olbrzymi głaz na wysokość piersi i wspiął się na szczyt wzniesienia. Poniżej, z pogodną miną, niemal z uśmiechem kroczył Keith Pellig.

Młody, przystojny blondyn, szczery i otwarty. Wake-man zdołał podnieść głaz nad głowę – słaba grawitacja księżycowa była mu sprzymierzeńcem. Przechylił się i cisnął ciężar w dół, celując w idącego spokojnie Pelliga.

Pellig przestraszył się, kiedy zobaczył lecący głaz. Jednym susem uskoczył na bok i znalazł się dobrych parę metrów od ciężkiego głazu. Z jego mózgu emanowała mieszanina strachu i zaskoczenia, wreszcie szalona panika. Potknął się, skierował pistolet kciukowy na Wake-mana.

I nagle Herb Moore znikł.

Ciało Pelliga nieco się zmieniło. Wakeman zdrętwiał na ten niezwykły widok. Oto tu, na księżycowym odludziu, przed jego oczyma zmienił się człowiek. Rysy drgnęły, rozpadły się na moment, potem znów ułożyły. Już nie te same. To nie była ta sama twarz, bo to nie był ten sam człowiek. Moore znikł, a na jego miejsce przyszedł inny operator. Bładymi niebieskimi oczyma patrzyła już inna osoba.

Nowy operator zachwiał się. Szybko odzyskał równowagę w chwili, gdy głaz, nie czyniąc mu najmniejszej krzywdy, rozbił się o dno rozpadliny. Uczucie zaskoczenia i zmieszania dotarło do Wakemana, który sięgał po następny głaz.

–Wakeman! – brzmiała myśl. – Peter Wakeman!

Wakeman upuścił głaz i wyprostował się. Nowy operator poznał go najwyraźniej. Wakeman dokonał szybkiej analizy – ten styl myślenia nie był mu obcy. Telepował szybko i dogłębnie. Chwilowo nie mógł zidentyfikować osoby. Przeszkadzała mu w tym niezwykłość sytuacji, potrzeba czujności, antagonizm. Ale wiedział, że zna tamtego. Co do tego nie było wątpliwości.

To był Ted Benteley!

13.

Daleko w kosmosie, poza granicami znanego świata, rozklekotany transportowiec parł przed siebie. W kabinie kontroli lotu Groves słuchał uważnie, jego ciemna twarz wyrażała zachwyt.

–Ognista Tarcza jest jeszcze daleko stąd – mruczał w jego głowie ktoś potężny. – Nie trać kontaktu z moim statkiem.

–Ty jesteś John Preston – powiedział słabym głosem Groves.

–Jestem bardzo stary – odparł głos. – Przebywam tu od bardzo dawna.

–Od półtora wieku – uściślił Groves. – Aż trudno w to uwierzyć.

–Czekałem. Wiedziałem, że przylecicie. Mój statek będzie krążył w pobliżu. Z czasem zapewne wasze mierniki zarejestrują jego masę. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, zaprowadzę was do samej Ognistej Tarczy.

–Czy będziesz na Tarczy? – spytał Groves. – Czy się tam spotkamy?

Nikt nie odpowiedział. Głos ucichł. Groves został sam. Po dłuższej chwili wstał i zawołał Konklina. Ten przyszedł zaraz do kabiny kontrolnej, razem z Mary Uzich. Tuż za nimi wślizgnął się Jereti.

–Słyszeliście go – powiedział stłumionym głosem Groves.

–To był Preston – szepnęła Mary.

–Musi być stary jak świat – stwierdził Konklin. – Staruszek czekał tu na nas tyle lat...

–Myślę, że dotrzemy do celu – powiedział Groves. – Nawet jeśli zabiją Cartwrighta, my dolecimy do Ognistej Tarczy.

–Co mówił Cartwright? – spytał Jereti. – Czy ucieszył się, że Preston żyje? Groves zawahał się.

–Cartwright był bardzo zajęty.

–Ale przecież chyba...

–Mają go zamordować! – Groves z wściekłością włączył ręczne sterowanie. – Nie ma czasu myśleć o innych sprawach – dodał.

Przez chwilę wszyscy milczeli. Wreszcie Konklin spytał:

–Są jakieś wiadomości?

–Nie mogę złapać Batawii. Wojsko zagłusza wszystkie stacje mzpw. Zauważyłem ruch wojsk z planet wewnętrznych w kierunku Ziemi. Oddziały Dyrektoriatu wracają na Jawę.

–Co to może znaczyć? – spytał Jereti.

–Pellig dotarł do Batawii. I coś się stało. Cartwright został przyparty do muru. Sądzę, że w jakiś sposób zawiedli gwardziści.

Wakeman krzyczał rozpaczliwie:

–Benteley! Posłuchaj! Moore to wszystko zaaranżował. Wyprowadził cię w pole. Pellig nie jest sterowany przez przypadek.

Nic z tego. Żaden dźwięk nie docierał. Z braku atmosfery głos Wakemana nie wychodził poza hełm. Myśli Benteleya docierały czyste i wyraźne. Ale Wakeman w żaden sposób nie mógł odpowiedzieć. Tkwił w hermetycznym pudełku. Ciało Keitha Pelliga i umysł Teda Bente-

leya były kilka metrów od niego, a on nie mógł nawiązać z nimi kontaktu.

Benteley snuł rozmaite myśli. To jest Peter Wake-man, myślał. Telepata, którego poznałem w Dyrektoriacie. Ted zdawał sobie sprawę, że jest w niebezpieczeństwie. Miał też świadomość bliskości świetlistej kopuły ośrodka. Wakeman przechwycił obraz Cartwrighta i myśl o morderczym zadaniu. A nieco głębiej kryła się awersja Benteleya i jego wątpliwości, nieufność do Yerricka i niechęć do Herba Moore'a. Benteley był w rozterce. Na razie opuścił śmiercionośny kciuk.

Wakeman zbiegł ze skarpy i stanął u jej stóp. Pospiesznie rysował w zastarzałym pyłe wielkie litery:

MOORE CIĘ OSZUKAŁ! NIE MA

PRZYPADKU

Benteley spostrzegł te słowa i twarz Keitha Pelliga zmarszczyła się. Benteley skupił się. Co to ma znaczyć? – myślał. Nagle zrozumiał, że Wakeman czyta w jego myślach, że toczy się jednostronna rozmowa, w której on jest nadajnikiem, a telepata odbiornikiem.

–Śmiało, Wakeman – nadał szybko. – Co to znaczy oszukał? – Benteley był z lekka rozbawiony. Oto widział, jak telepata, najbardziej rozwinięta mutacja człowieka, rysuje niezgrabne figury na piasku niczym jakiś prymityw skazany na najprostsze środki porozumienia.

Wakeman pisał rozpaczliwie:

MOORE ZABIJE CIEBIE RAZEM Z CARTWRIGH-TEM

Mózg Benteleya przekazał jego zdumienie:

–W jaki sposób? – A potem podejrzliwość: – To jest jakaś strategia. Pewnie nadchodzą inni telepacji. – Szybkim ruchem podniósł kciuk.

BOMBA- zdołał napisać Wakeman na wolnym skrawku skarpy.

To wystarczyło. Benteley sam dopowiedział sobie szczegóły. Błysk objawienia: jego walki z Moore'em, potem z bli-

162

żnię z kochanką Moore'a, Eleonorą Stevens, zazdrość Moore'a. Wszystkie te obrazy przemknęły przez głowę Benteleya w oszalamiającym pędzie i Keith Pellig opuścił kciuk.

–Oni to widzą – pomyślał Benteley. – Każdy ma swój monitor. Moore też to widzi.

W poczuciu niebezpieczeństwa Wakeman poderwał się i pobiegł w stronę Pelliga. Gestykułując, próbując przekrzyknąć próżnię, znalazł się tuż przed Benteleyem, kiedy ten groźnym gestem podniósł kciuk.

–Nie podchodź bliżej – pomyślał stanowczo Benteley. – Wciąż ci nie ufam. Pracujesz dla Cartwrighta.

Wakeman kreślił gorączkowo:

**PELLIG MA EKSPLODOWAĆ W POBLIŻU CARTWRIGHTA. MOORE PODŁĄCZY CIĘ
WÓWCZAS DO CIAŁA**

–Czy Yerrick wie o tym? – spytał Benteley. TAK

–A Eleonora Stevens?

TAK

Mózg Benteleya przeszedł nagły ból.

–Skąd mam wiedzieć, że to prawda? Udowodnij mi to!

ZBADAJ CIAŁO PELLIGA, SPRAWDŹ PRZEWODY. JEDEN PROWADZI DO BOMBY

Drżącymi palcami Benteley rozerwał sztuczną powłokę na piersi. Przypomniawszy sobie dane techniczne, obmacując przewody, które oplatały ciało pod warstwą imitującą skórę. Wyszarpnął cały płat powłoki i sięgnął głębiej w szumiącą maszynę sztucznego ciała, a Wakeman przykucnął w pobliżu, z sercem w gardle, i daremnie sięgał po amulet, zapomniany na biurku.

Benteley zachwiał się. Oto utracił resztę nadwątlonej lojalności wobec Yerricka. Zastąpiły ją nienawiść i obrzydzenie.

Więc to tak miało wyglądać, pomyślał w końcu. Przemknęła mu przez głowę myśl o zarysie nowej strategii.

–W porządku, Wakeman. – Zdecydował się. – Zabieram ciało z powrotem. Prosto do Farben. Wakeman odetchnął.

–Bogu dzięki – powiedział na głos.

Benteley zaczął działać. Świadom tego, że Moore go obserwuje, błyskawicznie skontrolował silnik raketowy i stery, a potem bezgłośnie odpalił sztuczne ciało i pomknął przez czarne niebo w kierunku Ziemi.

Ciało przemierzyło prawie pół kilometra, zanim Herb Moore zorientował się w sytuacji i przełączył dźwignię. Nagle, bez uprzedzenia, Ted Benteley znalazł się w swoim fotelu w Farben, otoczony pancerzem ochronnym.

Przed nim na miniaturowym ekranie ciało Pelliga szerokim łukiem pędziło znów w stronę Księżyca. Zlokalizowało szybko uciekającą sylwetkę Petera Wakemana i wycelowało kciuk. Wakeman zrozumiał, co go czeka. Przestał uciekać. Stał niezwykle spokojnie, z godnością, a sztuczne ciało opadło powoli na powierzchnię i unicestwiło go. Operatorem był znowu Moore.

Benteley tymczasem wydostał się z ochronnego pancerza. Oderwał przewody, które miał wczepione pod skórą, pod językiem, pod pachami i za uszami. W jednej chwili był u drzwi kabiny, chwycił za ciężką metalową klamkę. Drzwi były zablokowane.

Spodziewał się tego. Wrócił do aparatury i zerwał kilka przewodów. Nastąpiło krótkie spięcie – błysk, trzask, buchnęły kłęby gryzącego dymu, zatrzymały się strzałki mierników. Drzwi odblokowały się automatycznie. Benteley popędził do głównego laboratorium Moore'a. Po drodze natknął się na odpoczywającego strażnika. Przewrócił go na ziemię i odebrał mu broń. Za rogiem skręcił i wpadł do laboratorium.

Moore leżał bezwładnie w pancerzu ochronnym. Obok niego technicy pracowali nad drugim sztucznym ciałem,

którego części pływały w wanienkach, zawieszonych nad stołami laboratoryjnymi. Żaden z techników nie był uzbrojony.

Laboratorium, niczym plaster miodu, otaczały małe kabiny, w każdej ktoś siedział przed monitorem, z oczyma wlepionymi w ekran, z ciałem zawieszonym w pancerzu ochronnym. Benteleyowi zdawało się, że widzi lustrzane duplikaty swojej kabiny. Wbiegł do laboratorium. Jednym ruchem kazał odsunąć się przestraszonemu

technikom i spojrział szybko na ekran Moore'a. Ciało nie dotarło jeszcze do księżycowego ośrodka – zdążył na czas.

Zabił bezwładne, nie protestujące ciało Moore'a. Reakcja ciała Pelliga była natychmiastowa. Wykonało kon-wulsyjny skok, wskutek czego ruchem obrotowym oderwało się od powierzchni Księżyca. Wirowało groteskowo, tańcząc jak obłąkane w szalonych podrygach śmierci. Na przemian szybowало i pikowało, aż w pewnej chwili udało mu się odzyskać równowagę. Moore zatrzymał ciało, wykonał szeroką pętlę, po czym wystartował w przestrzeń kosmiczną.

Na ekranie Księżyc zaczął się kurczyć. Najpierw był wielkości piłki. Potem wielkości kropki. Potem całkiem znikł.

Trzasnęły drzwi laboratorium. Wszedł Yerrick wraz z Eleonorą Stevens.

–Co się tu dzieje? – spytał ostro Yerrick. – On zwariował, odlatuje z Księżyca.

Zobaczył martwe ciało Moore'a.

–Ach, więc to tak – powiedział cicho.

Benteley prędko wyszedł z laboratorium. Yerrick nie próbował go zatrzymać – stał przestępując z nogi na nogę obok ciała Herba Moore'a, a jego potężna, szeroka twarz zwiotczała i sposępniała wskutek doznanego szoku.

Benteley zbiegł stromymi schodami i wypadł na mroczną wieczorną ulicę. Kiedy kilku pracowników

Wzgórza rzuciło się za nim w pogoń, dobiegł do jasno oświetlonego postoju taksówek i skinął na jeden z oczekujących pojazdów komunikacji międzymiastowej.

–Dokąd pani/pan sobie życzy? – spytał kierowca-mac-millan po zamknięciu drzwi i zapuszczeniu silników.

–Do Bremy- rzucił Benteley. Zapiął pasy, wsunął kark w zagłębienie, chroniące przed wstrząsem przy starcie. – Tylko szybko – dodał.

Macmillan potwierdził rozkaz i sprawdził silniki. Mały, szybki statek powietrzny wzbił się błyskawicznie w górę, zostawiając za sobą Farben.

–Zawieź mnie na duże lotnisko międzyplanetarne rozkazał Benteley. – Czy znasz rozkład lotów?

–Nie, ale mogę podłączyć panią/pana do sieci informacyjnej.

–Nie trzeba – powiedział Benteley. Zastanawiał się, jaką część jego rozmowy z Wakemanem przechwycili pozostali telepaci. Tak czy siak, Księżyc jest dla niego w tej chwili jedynym miejscem, gdzie może liczyć na schronienie. Wszystkie dziewięć planet Układu Słonecznego zamieniło się w pułapki strzeżone przez Wzgórza – Ver-rick nie spocznie, dopóki się nie zemści. Zarazem trudno powiedzieć, jakiego przyjęcia może się spodziewać ze strony Cartwrighta. Może zastrzelą go od razu jako agenta Yerricka. A może, przeciwnie, uznają w nim zbawcę Cartwrighta.

Dokąd zmierza sztuczne ciało? – myślał.

–Oto lotnisko, proszę pani/pana- powiedział mac-millan. Taksówka lądowała na publicznym parkingu. Lotnisko było obsadzone przez pracowników Wzgórza.

Benteley dostrzegł stojące tu i ówdzie statki między-kontynentalne i międzyplanetarne oraz tłumy ludzi wokół nich. Strażnicy Wzgórza Farben utrzymywali porządek. Benteley zmienił zamiar.

–Nie ląduj, wzbij się w powietrze.

–Tak jest, proszę pani/pana. Statek uniósł się posłusznie.

–Nie ma tu gdzieś w pobliżu lotniska wojskowego?

–Jest małe lotnisko awaryjne sił Dyrektoriatu w pobliżu Narwiku. Chce pani/pan tam

polecieć? Statki cywilne mają tam zakaz lądowania. Będę musiał wysadzić panią/pana trochę dalej.

–Dobrze – powiedział Benteley. – Zdaje się, że to jest dokładnie to, czego mi potrzeba.

Leon Cartwright nie spał, kiedy gwardzista wbiegł do jego pokoju.

–Jak daleko jest morderca? – spytał. Po zastrzyku pięcioboranu sodu spał tylko parę godzin. – Chyba już blisko.

–Peter Wakeman nie żyje – powiedział telepata. Cartwright zerwał się na nogi.

–Kto go zabił?

–Pellig.

–Więc jest już tutaj – powiedział Cartwright i wyciągnął pistolet. – W jaki sposób możemy się bronić? Jak on mnie znalazł? Co się stało z siatką w Batawii?

Weszła Rita O'Neill, blada, ale spokojna.

–Gwardia została rozbita w proch. Pellig przedarł się aż do wewnętrznej fortecy i stwierdził, że ciebie tam nie ma.

Cartwright spojrzał na dziewczynę, potem znów na telepatę.

–Co się stało waszym ludziom?

–Nasza taktyka zawiodła – powiedział po prostu telepata. – Yerrick ma jakąś sztuczkę. Zdaje się, że Wakeman rozgryzł go przed śmiercią.

Rita drgnęła.

–Wakeman nie żyje?

–Pellig go zabił – powiedział krótko Cartwright. –

W ten sposób jesteśmy odcięci od Gwardii w Batawii. Możemy polegać tylko na własnych siłach. – Zwrócił się do telepaty: – Jak dokładnie wygląda sytuacja? Czy w końcu zlokalizowaliście mordercę?

–Nasza siatka awaryjna rozpadła się. Po śmierci Wa-kemana utraciliśmy kontakt z Pelligiem. Nie wiemy, gdzie się podziewa. Na razie nie daje znaku życia.

–Skoro Pellig dotarł aż tutaj – powiedział w zamyśleniu Cartwright – nie ma wielkich szans na to, że uda nam się go zatrzymać.

–Wakeman dawał sobie radę – wybuchnęła Rita. – Tym bardziej tobie się uda.

–Dlaczego?

–Bo... – zaczęła i niecierpliwie wzruszyła ramionami. – Wakeman był zerem w porównaniu z tobą. Był niczym. Małym biurokrata.

Cartwright pokazał jej swój pistolet.

–Pamiętasz? Latami woziłem tę pukawkę w samochodzie, na tylnym siedzeniu. Nigdy nie musiałem jej użyć. Wciąż tam leżała, wysłałem ludzi, żeby mi ją sprowadzili. – Poglądził znajomą metalową lufę. – Sentymentalne przywiązanie – dodał.

–Masz zamiar bronić się tą zabawką?– Oczy Rity pały wściekłym oburzeniem. – Nie podejmiesz żadnych innych kroków?

–W tej chwili jestem głodny – powiedział łagodnie Cartwright. – Która godzina? I tak musimy czekać, więc może byśmy coś zjedli?

–Teraz nie czas... – zaczęła Rita, ale przerwał jej gwardzista.

–Właśnie ląduje jakiś statek z Ziemi – powiedział. – Chwileczkę. – Pograżył się w myślach, a potem mówił dalej: – Na pokładzie jest major Shaeffer i pozostali telepaci. Oraz... – Przerwał. – Jeszcze ktoś – dodał po chwili. – On chce się zaraz z tobą zobaczyć.

–Dobrze – powiedział Cartwright. – Gdzie on jest?

–Już tu idzie.

Cartwright wyciągnął z kieszeni marynarki zmiętą paczkę papierosów.

–To dziwne – powiedział do Rity. – Mimo tylu przygotowań Wakeman nie żyje.

–Nie żałuję Wakemana. Tylko wolałabym, żebyś coś robił, zamiast stać i czekać.

–Nie mam dokąd pójść- powiedział Cartwright. – Poza tym próbowaliśmy wszystkiego. Nie ma zbyt wiele wyjść, jeśli się wgłębić w ten problem. Czasem myślę, że kiedy ktoś jest naprawdę zdecydowany zabić innego człowieka, niewiele rzeczy można zrobić, żeby go powstrzymać. Można odwlec sprawę, można mu utrudnić zadanie, można zrobić wiele skomplikowanych rzeczy, które pochłoną mnóstwo czasu i energii, ale wcześniej czy później on się zjawi.

–Chyba wolałam, jak byłeś przestraszony- powiedziała z goryczą Rita. – Przynajmniej mogłam to zrozumieć.

–A teraz nie rozumiesz?

–Wtedy bałeś się śmierci. Teraz jesteś nieludzki, zupełnie pozbawiony uczuć. Może jesteś martwy. Tak, równie dobrze mógłbyś być martwy.

–Mogę zrobić drobne ustępstwo – stwierdził Cartwright. – Będę siedział twarzą do drzwi.

Przysiadł ostrożnie na skraju stołu, z pistoletem w ręce, z beznamiętnym wyrazem twarzy.

–Jak wygląda Pellig? – spytał gwardzistę.

–Młody, szczupły blondyn, bez znaków szczególnych.

–Jakiej broni używa?

–Ma pistolet kciukowy, który działa na zasadzie strumienia żaru. Oczywiście może mieć ponadto coś, o czym nie wiemy.

–Chcę rozpoznać Pelliga, kiedy go zobaczę – wyja-

śnił Ricie Cartwright. – Może nim być pierwszy człowiek, który wejdzie przez te drzwi.

Pierwszym człowiekiem był major Shaeffer.

–Przywiozłem go ze sobą – wyjaśnił Cartwrightowi, wszedłszy do pokoju. – Sądzę, że będziesz chciał z nim porozmawiać.

Za plecami Shaeffera pojawił się ciemny, elegancko ubrany mężczyzna po trzydziestce. Uścisnęli sobie ręce z Cartwrightem.

–To jest Ted Benteley – powiedział Shaeffer. – Lennik Yerricka.

–Zjawileś się trochę za wcześnie – powiedział Cartwright. – Może poczekaś na basenie, w salonie gier albo w barze. Morderca powinien tu być lada chwila, to nie potrwa długo.

Benteley zaśmiał się krótko, z przymusem. Dopiero teraz widać było, jak bardzo jest zdenerwowany.

–Shaeffer się myli – powiedział. – Nie jestem już związany przysięgą z Yerrickiem. Opuściłem go.

–Złamałeś przysięgę? – spytał Cartwright.

–To on nadużył mojego zaufania. Musiałem dość szybko wyjechać. Przybywam tutaj wprost z Farben. Były drobne przeszkody.

–On zabił Herb a Moore'a – wyjaśnił Shaeffer.

–Niezupełnie – sprostował Benteley. – Zabiłem jego ciało.

Rita wstrzymała oddech.

–Jak to? – spytała.

Benteley zaczął wyjaśniać całą historię. Kiedy był mniej więcej w połowie, Cartwright przerwał mu, pytając:

–Gdzie jest Pellig? Według naszych ostatnich informacji miał być gdzieś w pobliżu, najwyżej kilka kilometrów od ośrodka.

–Ciało Pelliga poleciało w kosmos – oznajmił Bente-

ley. – Ty nie interesujesz Moore'a. Ma swoje sprawy. Kiedy spostrzegł, że jest uwięziony w sztucznym ciele, opuścił Księżyc i ruszył w kosmos.

–Dokąd? – spytał Cartwright. – Nie wiem.

–Mniejsza o to – zachnęła się Rita. – Najważniejsze, że już nie poluje na ciebie. Może zwariował. Może stracił panowanie nad ciałem.

–Możliwe – przyznał Benteley. – To było coś, czego się nie spodziewał. Właśnie zniszczył waszą siatkę...

Zaczął opowiadać, w jaki sposób Moore zabił Wake-mana.

–To już wiemy – przerwał mu Cartwright. – Jaką prędkość może rozwinąć sztuczne ciało?

–C-plus – odparł Benteley. – Nie cieszysz się, że Moore odleciał z Księżyca?

Cartwright zwilżył językiem wargi.

–Wiem, dokąd on leci.

Zapanowało krótkie ożywienie, po czym Shaeffer powiedział:

–Oczywiście. – Szybko czytał w myślach Cartwrighta. – Moore musi ratować swoje życie. Benteley bezwiednie udzielił mi po drodze mnóstwa cennych informacji. Mogę zrekonstruować brakujące ogniwa. Moore ma dosyć danych, żeby trafić do Prestona.

Benteley był zaskoczony.

–Do Prestona? Więc Preston żyje?

–To wyjaśnia sprawę wcześniejszego żądania analizy – powiedział Cartwright. – Yerrick z pewnością podsłuchiwał naszą rozmowę telewizyjną ze statkiem. – Papieros dopalił się do końca. Cartwright rzucił go na ziemię, rozgniół obcasem i zapalił następnego. – Powinienem zająć się tą sprawą od razu, gdy Wakeman mi o tym powiedział.

–Co mógłbyś zrobić? – spytał Shaeffer.

–Nasz statek znajduje się w pobliżu statku Presto-na. Ale Moore chyba się nim nie będzie interesował. Cartwright z irytacją potrząsnął głową.

–Czy jest jakiś sposób na to, żeby obejrzeć transmisję lotu Moore'a?

–Chyba jest – powiedział Benteley. – Mzpw zapewniło ciągłą łączność między ciałem a Wzgórzem Farben. Moglibyśmy się podłączyć: emisja wciąż trwa. Znam częstotliwość kanału. – Nagle uderzyła go pewna myśl. – Harry Tate jest lennikiem Yerricka.

–Zdaje się, że wszyscy tu są lennikami Yerricka -powiedział Cartwright. – Czy jest w mzpw ktoś, na kim możemy polegać?

–Trzeba nacisnąć Tate'a. Jeśli odetniecie go od Yerricka, zgodzi się na współpracę. Nie przepada zbyt za Wzgórzem Farben, zgodnie z tym, co mi mówiła Eleonora Stevens.

Shaeffer zajął z zainteresowaniem w jego myśli.

–Niejedno ci powiedziała – stwierdził. – Mimo że odeszła od nas do Farben, wciąż się przydaje.

–Tak, chętnie bym trzymał na oku ciało Pelliga-mruknął Cartwright. Wywijał pistoletem, ale w końcu wsunął go do nie rozpakowanej walizki na podłodze. – Sytuacja jest teraz dużo lepsza. Dziękuję, Benteley. – Skinął głową w stronę Toma. – Sprawy wzięły inny obrót. Pellig już się tu nie wybiera. Nie musimy się tym przejmować.

Rita patrzyła z uwagą na Benteleya.

–Więc nie złamałeś przysięgi? Uważasz, że nie jesteś zdrajcą?

–Przecież powiedziałem – odrzekł Benteley, patrząc jej prosto w oczy. – To Yerrick zawiódł moje zaufanie. Swoją zdradą uwolnił mnie od przysięgi.

Zapanowało niezręczne milczenie.

–Hm – powiedział Cartwright – nadal jestem głodny. Chodźmy na obiad czy na kolację i wtedy wszystko nam wyjaśnisz. – Ruszył w stronę drzwi, z lekkim uśmiechem ulgi na zmęczonej twarzy. – Teraz mamy czas. Mój pierwszy morderca to już zamknięta sprawa. Nie musimy się spieszyć.

Podczas obiadu Benteley wykladał swoje racje.

–Zabiłem Moore'a, bo nie miałem wyboru. Parę sekund później podłączyłby do Pelliga innego operatora, sam wróciłby do swojego ciała w Farben. Przy spotkaniu z tobą Pellig wyleciałby w powietrze, lojalność niektórych techników Moore'a sięga tak daleko.

–Jak blisko mnie musiałoby znaleźć się ciało? – spytał Cartwright.

–Pellig był mniej więcej cztery kilometry stąd. Jeszcze jakieś trzy kilometry i w tej chwili światem rządziłby Yerrick.

–Nie musiało dojść do bezpośredniego kontaktu?

–Zdążyłem tylko pobieżnie obejrzeć przewody, ale do obwodu był podłączony normalny mechanizm wykrywania bliskości, zaprogramowany na cechy charakterystyczne twojego mózgu. Do tego dochodzi moc rażenia samej bomby. Prawo powiada, że nie wolno stosować broni, której morderca nie mógłby unieść w jednej ręce. Ta bomba była przepisowym granatem wodorowym z ostatniej wojny.

–Nie była, jest – przypomniał mu Cartwright.

–Czy Pellig był jedynym atutem w tej grze? – spytała Rita.

–Jest jeszcze jedno sztuczne ciało. Mniej więcej w połowie gotowe. Nikt w Farben nie spodziewał się zupełnego rozgromienia Gwardii. Rezultat przekroczył naj-

śmielsze oczekiwania. Ale teraz Moore się nie liczy. Drugie ciało nigdy nie przystąpi do akcji: tylko Moore mógłby je ostatecznie uruchomić. Dopuszczał innych jedynie do najprostszych tajemnic i Yerrick świetnie o tym wie.

–A co będzie, kiedy Moore dotrze do Prestona? – spytała Rita. – Wówczas znowu zacznie się liczyć.

–Nie wiedziałem nic o Prestonie – przyznał Benteley. – Zabiłem ciało Moore'a, żeby nie mógł wydostać się z Pelliga. Jeśli Preston zechce mu pomóc, będzie musiał szybko działać. Sztuczne ciało nie wytrzyma zbyt długo w kosmicznej próżni.

–Dlaczego nie chciałeś pozwolić, żebym zginął? – zapytał Cartwright.

–Nie przejmowałem się tym, że masz zginąć. W ogóle o tobie nie myślałem.

–Niezupełnie tak było – wtrącił Shaeffer. – Myśl o Leonie też się pojawiła jako wniosek. Po przełomie psychicznym autentycznie zacząłeś postępować wbrew strategii Yerricka. Chcąc nie chcąc, stanąłeś mu na przeszkodzie.

Benteley nie słuchał.

–Oszukiwali mnie od samego początku – mówił. – Wszyscy troje maczali w tym palce. Yerrick, Moore i Eleonora Stevens. Odkąd tylko znalazłem się w wewnętrznym biurze, Wakeman starał się mnie ostrzec. Robił, co mógł. Przyjechałem do Dyrektoriatu, żeby uciec od korupcji i zepsucia. Dałem z siebie wszystko. Wykonywałem wszystkie polecenia Yerricka. Ale co człowiek może zrobić w społeczeństwie, które jest skorumpowane? Czy ma słuchać skorumpowanych praw? Czy to zbrodnia złamać stronnicze prawo, czy to zbrodnia złamać sfalszowaną przysięgę?

–To jest zbrodnia – powiedział Cartwright. – Ale zarazem może to być jedyne słuszne postępowanie.

–W społeczeństwie zbrodniarzy- podsunął Shaeffer – niewinny idzie do więzienia.

–Kto decyduje o tym, że społeczeństwo składa się z przestępców? – spytał Benteley. – Skąd można wiedzieć, kiedy społeczeństwo się zepsuło? Skąd można wiedzieć, że należy wypowiedzieć posłuszeństwo prawu?

–Tb się wie – powiedziała z przekonaniem Rita Oleili.

–Masz wbudowany mechanizm? – spytał ją Benteley. – To wspaniale, zazdroścę ci. Chciałbym, żeby każdy miał taki mechanizm. To musi być bardzo użyteczna rzecz. W całym Układzie Słonecznym żyje sześć miliardów ludzi i większość uważa, że system jest dobry. Czy mam wystąpić przeciwko wszystkim naokoło? Oni wszyscy przestrzegają prawa.

Pomyślał o Alu i Laurze Davisach.

–Są szczęśliwi, zadowoleni, mają dobrą pracę, dobrze im się powodzi, mają ładne mieszkanie. Eleonora Stevens powiedziała, że mój umysł jest chory. Skąd mam wiedzieć, że nie jestem nieprzystosowany albo chory psychicznie?

–Musisz wierzyć w siebie – powiedziała Rita.

–Każdy wierzy w siebie. To tani towar. Znosiłem korupcję, póki mogłem, a w końcu się zbuntowałem. Może racja jest po ich stronie, może jestem wyjętym spod prawa zdrajcą. Ja jednak uważam, że to Yerrick mnie zdradził... Uważam, że przez to zostałem zwolniony z przysięgi. Ale może się myłę.

–A w takim razie – dokończył Shaeffer – każdy ma prawo zabić cię bez sądu.

–Wiem. Ale... – Benteley szukał słów. – W pewnym sensie to wszystko jedno. Nigdy nie dotrzymywałem przysięgi dlatego, że bałem się ją złamać. Dotrzymywałem, bo uważałem, że nie powinno się jej łamać. Ale w końcu przebrała się miarka. Doszło do tego, że robiło mi się niedobrze na samą myśl o tym bagnie. Nie mogłem pracować w tym stanie. Musiałem umyć od tego ręce! Nawet jeśli miało to oznaczać, że będą mnie ścigać i zastrzelą.

–To się może zdarzyć – powiedział Cartwright. – Powiadasz, że Yerrick wiedział o bombie?

–Tak.

Cartwright zamyślił się.

–Opiekun nie powinien wysyłać na śmierć rejestrowanego lennika. To jest zarezerwowane dla nierów. Powinien dbać o swoich ludzi, a nie zabijać ich. Sędzia Waring by wiedział. On się na tym zna. Więc kiedy składałeś przysięgę, nie wiedziałeś, że Yerrick jest obalony?

–Ja nie, ale oni wiedzieli.

Cartwright potarł zarośniętą, szpakowatą szczękę wierzchem dłoni.

–Może wygrasz sprawę, a może i nie. Ciekawy z ciebie facet, Benteley. Co masz zamiar robić teraz, kiedy złamałeś prawo? Czy znowu złożysz hołd lenny?

–Wątpię – powiedział Benteley.

–Dlaczego?

–Człowiek nie powinien być sługą innego człowieka.

–Nie to miałem na myśli. – Cartwright starannie dobierał słowa. – A co sądzisz o przysiędze na stanowisko?

–Nie wiem. – Benteley potrząsnął głową ze znużeniem. – Jestem zmęczony. Może później... Odezwała się Rita O'Neill.

–Powinieneś wstąpić do ekipy mojego stryja. Powinieneś złożyć mu przysięgę.

Wszyscy patrzyli na Benteleya. On milczał przez chwilę. Wreszcie spytał:

–Gwardia składa przysięgę na stanowisko, prawda?

–Tak – powiedział Shaeffer. – Peter Wakeman bardzo cenił sobie ten rodzaj przysięgi.

–Jeślibyś chciał – powiedział Cartwright, wpatrując się badawczo w Benteleya – możesz złożyć hołd mnie, to znaczy na stanowisko Lotermistrza.

–Yerrick nie odda mi karty „W” – odparł Benteley.

17

Przez twarz Cartwrighta przemknął zagadkowy uśmieszek.

–Temu można zaradzić – powiedział.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął małe, starannie zawinięte pudełko. Rozpakował je ostrożnie i położył zawartość na stole.

Tuzin kart władzy.

Cartwright wybrał jedną, obejrzał ją uważnie, po czym włożył pozostałe do pudełka i zawinął. Pudełko umieścił w kieszeni, a wybraną kartę „W” podał Benteleyowi.

–Kosztuje dwa dolary. Możesz ją zatrzymać, ja ci jej nie odbiorę. Powinieneś mieć kartę, każdy powinien mieć równą szansę w wielkiej grze.

Benteley wstał. Wyjął portfel i rzucił na stół dwa banknoty dolarowe. Schował kartę „W” do kieszeni, czekał, aż Cartwright wstanie.

–Coś mi to przypomina – powiedział.

–Wiecie- stwierdził Cartwright-ja właściwie nie mam pojęcia, jak brzmi tekst przysięgi. Będziecie musieli mi pomóc.

–Ja znam tekst – powiedział Benteley.

Rita O'Neill i ShaefFer patrzyli w milczeniu. Benteley wyrecytował przysięgę na stanowisko Lotermistrza, a potem opadł gwałtownie na fotel. Kawa była już zimna, ale wypił ją jednym haustem. Nawet nie poczuł smaku – był głęboko zamyślony.

–Teraz należysz do nas oficjalnie – stwierdziła Rita. Benteley mruknął coś w odpowiedzi. Oczy Rity pociemniały i rozbłysły.

–Uratowałeś życie mojemu stryjowi. I nam wszystkim: bomba rozerwałaby cały ośrodek.

–Zostaw go w spokoju – ostrzegł dziewczynę Shaef-fer.

Rita nie posłuchała. Przysunęła się do Benteleya z mściwym wyrazem twarzy i ciągnęła:

–Powinieneś być zabić Yerricka, jak przyszło co do czego. Miałeś okazję. On też tam był. Benteley rzucił widelec na stół.

–Mam dość – powiedział. Wstał raptownie i odszedł od stołu. – Jeżeli można, pójdę się przejść.

Wyszedł z jadalni na korytarz. Tu i ówdzie stali urzędnicy Dyrektoriatu, rozmawiając po cichu. Benteley chodził nerwowo tam i z powrotem, czując zamęt w głowie.

Po chwili zjawiała się Rita O'Neill. Stała z założonymi rękoma i obserwowała Teda.

–Przepraszam – powiedziała.

–Nie ma za co.

Podeszła bliżej, szybko oddychając przez rozchylone, czerwone usta.

–Nie powinnam była tego mówić. I tak bardzo dużo zrobiłeś. – Położyła zwinne ruchliwe palce na ramieniu Benteleya. – Dziękuję.

Benteley odsunął się.

–Złamałem przysięgę złożoną Yerrickowi, to prawda. Ale to wszystko, co mogłem zrobić. Zabiłem Moore'a: był bez duszy, tak jak teraz jest bez ciała. Moore to nie człowiek, tylko zimno kalkulujący intelekt. Ale nie mam zamiaru podnosić ręki na Reese'a Yerricka.

Ciemne oczy Rity rozbłysły.

–Zdrowy rozsądek powinien dać ci lepszą radę. Jesteś tak szlachetny, pełen zasad moralnych... Czy nie wiesz, co Yerrick z tobą robi, jak cię złapie?

–Nie wiesz, gdzie się zatrzymać. Złożyłem przysięgę twojemu stryjowi, czy to nie wystarczy? Teoretycznie jestem zbrodniarzem, bo złamałem prawo. Ale nie uważam siebie za przestępcę. – Spojrzał na nią hardo. – Zrozumiałaś?

Rita zaczęła się wycofywać.

–Ja też nie uważam cię za zbrodniarza. – Zawahała się. – Czy będziesz próbował mówić mu, co ma robić?

–Cartwrightowi? Oczywiście, że nie.

–Pozwolisz mu samemu decydować? Wakeman mu nie pozwalał. A on musi sam decydować, nie można mu przeszkadzać.

–W życiu nie mówiłem nikomu, co ma robić. Ja bym tylko chciał... – Wzruszył ramionami, zły i nieszczęśliwy. – Sam nie wiem. Może być drugim Davisem. Mieć dom i dobrą pracę. Zajmować się swoimi sprawami. – Podniósł rozpaczliwie głos. – Ale, do jasnej cholery, nie w tym świecie. Chcę być Alem Davisem w takim świecie, gdzie mógłbym przestrzegać prawa, zamiast je łamać. Chcę przestrzegać prawa! Chcę je szanować. Chcę szanować ludzi, którzy mnie otaczają.

Rita milczała chwilę.

–Szanujesz mojego stryja. A jak nie, to będziesz go szanował... – Urwała zakłopotana. – A mnie, mnie też szanujesz?

–Oczywiście.

–Naprawdę?

Benteley uśmiechnął się nieszczercze.

–Oczywiście. Prawdę mówiąc... Na końcu korytarza pojawił się major Shaeffer. Zawołał słabym, piskliwym głosem:

–Benteley, uciekaj!

Ted stał jak sparaliżowany. Potem odskoczył od Rity.

–Wracaj do stryja! Wyszarpnął z zanadru pistolet.

–Ale co się...

Obrócił się na pięcie i pobiegł korytarzem w stronę schodów. Telepaci i urzędnicy Dyrektoriatu ustępowali mu z drogi. Zbiegł na parter i pędził w kierunku powłoki ochronnej ośrodka.

Za późno.

Jakaś postać w rozpiętym kombinezonie Farleya za-

stąpiła mu drogę. To Eleonora Stevens, z rozwianą rudą fryzurą, z bladą twarzą i zadyszana.

–Uciekaj stąd – wykrztusiła. Nie przyzwyczajona do ciężkiego kombinezonu, potknęła się o jakiś przewód i byłaby upadła. – Ted – jęknęła. – Nie próbuj z nim walczyć. Uciekaj. Jeśli on cię złapie...

–Wiem – powiedział Benteley. – Zabije mnie.

Obok hermetycznego wejścia do ośrodka stał na jałowej glebie szybki transportowiec Wzgórza Farben. Pasażerowie wysiadali. Niezgrabne sylwetki posuwały się powolnym krokiem w stronę ośrodka.

Przybył Reese Yerrick!

15.

Leon Cartwright szedł w stronę hermetycznego wejścia.

–Lepiej zniknij gdzieś na razie – powiedział do Ben-teleya. – Ja porozmawiam z Yerrickiem.

Shaeffer wydawał szybkie rozkazy. Telepaci podeszli do niego w towarzystwie kilku urzędników Dyrektoriatu.

–Szkoda zachodu – powiedział Shaeffer do Cart-wrighta. – Równie dobrze może zostać z nami. Nie może opuścić ośrodka, a Yerrick wie, że on tu jest. Musimy sami znaleźć wyjście z tej sytuacji.

–Czy Yerrick może tak po prostu tu wejść do ośrodka? – spytał bezradnie Benteley.

–Oczywiście – odparł Cartwright. – To nie jest prywatny ośrodek. A on nie jest mordercą, tylko zwykłym obywatelem.

–Chcesz być przy tej rozmowie? – spytał Shaeffer Benteleya. – Może być dość... trudna.

–Zostanę – powiedział Benteley.

Yerrick i jego towarzysze przeszli właśnie przez szerokie hermetyczne drzwi. Zdejmowali kombinezony, rozglądając się czujnie.

–Cześć, Yerrick – powiedział Cartwright. Uścisnęli sobie ręce. – Wejdz do ośrodka,

napijemy się kawy. Właśnie wstaliśmy od stołu...

–Dziękuję – powiedział Yerrick. – Z przyjemnością. –

182

Twarz miał zmęczoną, ale spokojną. Mówił cicho. Poszedł posłusznie za Cartwrightem w stronę jadalni. – Wiesz już, że Pellig odleciał?

–Wiem – powiedział Cartwright. – Leci w kierunku statku Johna Prestona.

Weszli wszyscy do jadalni i usiedli. Macmillany sprzątnęły ze stołu i rozstawiły filiżanki i spodki. Benteley usiadł koło Rity O'Neill, na samym końcu stołu. Yerrick widział go, ale nie zareagował, wyjąwszy krótki błysk rozpoznania. Shaeffer, inni telepaci i urzędnicy Dyrektoriatu siedli pod ścianami i przysłuchiwali się rozmowie w pozach pełnych szacunku.

–Przypuszczam, że go znajdzie – mruknął Yerrick. – Kiedy wyjeżdżałem z Farben, przemierzył już trzydzieści dziewięć jednostek astronomicznych: widziałem go na monitorze mzpw. Dziękuję. – Wziął filiżankę kawy i chciwie upił łyk. – Niejedno się dziś zdarzyło, szkoda gadać.

–Co zrobi Moore, jeśli będzie miał dostęp do materiałów Prestona? – spytał Cartwright. – Ty go znasz lepiej niż ja.

–Trudno przewidzieć. Moore to kot, który chodzi własnymi drogami. Pomagał mi dla swoich celów... Ja mu dawałem środki, a on pracował nad swoimi projektami. To świetny umysł.

–Odniosłem podobne wrażenie. Czy to nie on kierował całym przedsięwzięciem z Pelligiem?

–To był jego pomysł. Ja tylko wynająłem Moore'a. Wiedziałem, że jest dobry. Nie próbowałem mówić mu, co ma robić.

Do jadalni weszła po cichu Eleonora Stevens. Stanęła niepewnie, zaciskając drobne piąstki. Po chwili wahania przycupnęła na krześle w najciemniejszym kącie sali i patrzyła szeroko otwartymi oczyma, poważna i przestraszona, zagubiona w cieniu.

–Zastanawiałem się właśnie, gdzie się podziewasz –

zwrócił się do niej Yerrick. – Wyprzedziłaś mnie... – spojrzął na zegarek – tylko o parę minut.

–Czy Moore wróci do ciebie, kiedy zdobędzie to, czego chce? – spytał Cartwright.

–Wątpię. Nie ma chyba specjalnego powodu.

–A przysięga?

–Nigdy się nie przejmował takimi rzeczami. – Głęboko osadzone oczy Yerricka patrzyły w przestrzeń. – Taka moda panuje ostatnio wśród zdolnych młodych ludzi. Zdaje mi się, że w dzisiejszych czasach przysięgi straciły na wartości.

Benteley nie odzywał się. Zacisnął palce na zimnej, wilgotnej od potu kolbie. Kawa stygła przed nim nietknięta. Rita O'Neill zaciągnęła się nerwowo, zdusiła papierosa, zapaliła nowego i też go zgasiła.

–Czy zamierzasz zwołać drugą Konwencję Łowów? – spytał Yerricka Cartwright.

–No cóż, nie wiem. Na razie nie. – Yerrick ułożył potężne dłonie w skomplikowaną piramidę, przyjrzał się jej i rozłożył z powrotem na pojedyncze palce. Rozejrzał się wokół z roztargnieniem. – Nie przypominam sobie tego miejsca. Czy to własność Dyrektoriatu?

Odpowiedział mu Shaeffer.

–Zawsze przygotowujemy coś naprzód. Przypomnij sobie stację międzyplanetarną, którą zrobiliśmy dla ciebie w pobliżu Marsa. Była budowana za panowania Robinsona.

–Robinson – powiedział Yerrick w zamyśleniu. – Pamiętam go. Mój Boże, to było dziesięć lat temu. Jak ten czas leci...

–Po coś tu przyjechał? – wybuchnęła Rita O'Neill.

Yerrick z niechęcią ściągnął krzaczaste brwi. Najwyraźniej nie znał Rity. Zwrócił się do Cartwrighta o wyjaśnienie.

–Moja bratanica – powiedział Cartwright i dokonał prezentacji.

Rita wpatrywała się w swoją filiżankę i nic nie mówiła. Siedziała ze zbieleńcami

wargami i zaciśniętymi pięściami, aż Yerrick zapomniał o niej i zajął się budowaniem kolejnej piramidy z palców, pogrążony w myślach.

–Rzecz prosta – rzekł w końcu – nie wiem, co wam naopowiadał Benteley. Sądzę jednak, że zrozumiecie moją sytuację.

–Czego Benteley nie powiedział mi ustnie, Shaeffer wyczytał w jego myślach – odparł Cartwright. Yerrick mruknął coś pod nosem.

–A zatem wiesz wszystko, co mógłbym wyjaśnić w tej sprawie – powiedział i uniósł swą potężną głowę. – Czy mam prawo tak sądzić?

–Oczywiście – przytaknął Cartwright.

–Nie chcę poruszać niczego, co wiąże się z Herbem Moore'em. Jeśli o mnie chodzi, ta sprawa jest zamknięta. – Yerrick sięgnął do kieszeni, wyciągnął duży rewolwer i oparł go lufą o szklankę, a kolbą o pierścień na serwetkę. – Niezręcznie mi strzelać do Benteleya przy stole. Poczekam, aż stąd wyjdziemy. – Nagle uderzyła go inna myśl. – Nie muszę zresztą zabijać go na terenie ośrodka. Równie dobrze może polecieć ze mną, zastrzelę go gdzieś po drodze.

Shaeffer i Cartwright wymienili spojrzenia. Yerrick zdawał się tego nie dostrzegać. Wpatrywał się w zamyśleniu w broń i w swoje niedźwiedzie łapy.

–To nie ma większego znaczenia – zaczął Cartwright – ale powinniśmy wyjaśnić jedną rzecz. Benteley jest obecnie moim lennikiem. Złożył przysięgę na stanowisko Lotermistrza.

–Nie miał prawa – powiedział Yerrick. – Złamał daną mi przysięgę i jako zdrajca nie ma prawa składać nowego hołdu.

–Ja jednak uważam – rzeki Cartwright – że Benteley nie złamał danej ci przysięgi.

–Ty go zdradziłeś – wyjaśnił Yerrickowi Shaeffer.

–Nie jestem świadom żadnej zdrady. Ze swojej strony wypełniałem wszystkie obowiązki wobec niego.

–To stwierdzenie jest bardzo dalekie od prawdy -sprzeciwił się Shaeffer.

Zapadła chwilowa cisza.

Wreszcie Yerrick chrząknął, sięgnął po rewolwer, obejrzał go dokładnie i wsunął do kieszeni.

–Będziemy musieli znaleźć w tej sprawie rozjemcę -powiedział cicho. – Spróbujmy tu ściągnąć sędziego Wa-ringa.

–Dobrze – zgodził się Cartwright. – To właściwe wyjście. Czy zostaniesz w ośrodku, dopóki go nie sprowadzimy?

–Dziękuję – chętnie zgodził się Yerrick. – Jestem cholernie zmęczony. Potrzebuję dłuższego odpoczynku. – Rozejrzał się wokół. – A to wygląda na miejsce, w którym można idealnie odpocząć.

Sędzia Felix Waring, stary, zręczliwy i przygarbiony gnom, nosił zżarty przez mole czarny garnitur, staromodny kapelusz na głowie, a pod pachą gruby tom kodeksu. Był najwyższym rangą prawnikiem w Układzie Słonecznym i miał długą, siwą brodę.

–Wiem, jak się nazywasz – powiedział, patrząc na Cartwrighta. – I ty, synu. – Kiwnął głową Yerrickowi. – Ty i ten twój milion dolarów w złocie. Ten cały Pellig spalił na panewce, prawda? – Zachichotał wesoło. – Od początku mi się nie podobał. Wiedziałem, że jest do niczego. Nie miał muskułów.

W ośrodku był „ranek”.

Ze statku, który przywiózł sędziego Waringa, wysypała się też garść reporterów-macmillanów oraz grupa wyższych urzędników Wzgórz i Dyrektoriatu. Ekipa mzpw przyleciała własnym statkiem – długim szeregiem

przechodzili przez hermetyczne drzwi do wnętrza kopuły. Technicy z bębniami splecionych przewodów na plecach łazili wszędzie, rozstawiając sprzęt telewizyjny. W południe ośrodek wypoczynkowy stał się ulem, wypełnionym gwarem i celową krzątaniną. Wszystko było w ruchu, ludzie wchodzili i wychodzili z zafrasowanymi

minami.

–A ten pokój? – pytał urzędnik Dyrektoriatu pracownika mzpw.

–Za mały. Co jest tu obok?

–Główna sala gier.

–To dobre miejsce. Dźwięk będzie trochę stłumiony, ale nic nie szkodzi.

Zaczęto przesuwać sprzęt w stronę łukowych drzwi.

–Po moim trupie. Nie chcę mieć pogłosu. Poszukaj czegoś mniejszego.

–Nie podziurawcie powłoki – ostrzegął żołnierz robotników ustawiających urządzenia nadawcze.

–Jest dość mocna – stwierdził technik. – Była obliczona na turystów i pijaków.

Główna sala gier napełniła się nagle ludźmi w jasnych, sportowych strojach. Biegali, bawili się i grali, podczas gdy technicy i robotnicy rozstawiali stoły i sprzęt. Macmillany kręciły się pod nogami, przeszkadzając graczom.

Benteley stał na uboczu z ponurą miną. Roześmiani, kolorowo ubrani młodzi ludzie biegali tam i z powrotem. Powodzeniem cieszyły się rzuty do celu, a także piłka ręczna i nożna. Wszystkie gry czysto umysłowe były zakazane. W ośrodku stosowano terapię gier fizycznych.

Parę kroków od Benteleya młoda rudowłosa dziewczyna z uporem nachylała się nad kolorową skrzynią, drobnymi ruchami rąk formując wyszukane kombinacje kształtów, odcieni i struktur.

–Jak tu przyjemnie – szepnęła mu Rita do ucha. Benteley przytaknął.

–Mamy jeszcze trochę czasu, zanim się zacznie.

Rita w zamyśleniu cisnęła jaskrawo pomalowanym krążkiem w stado sztucznych kaczek. Jedna kaczka posłusznie padła martwa, a na tablicy ukazała się liczba zdobytych punktów.

–Może w coś zagramy? Trochę byś się rozerwał. Mam szaloną ochotę skorzystać z tych urządzeń.

Przecisnęli się przez tłum graczy i weszli do bocznej sali gimnastycznej. Żołnierze Dyrektoriatu pozdejmowali zielone mundury i szturmowali pola magnetyczne i pola ciśnień, sztuczne stopnie zwiększonej grawitacji oraz inne przeszkody rozwijające mięśnie. Na środku sali grupka widzów przyglądała się z zainteresowaniem, jak gwardzista mocuje się z robotem-macmillanem.

–Samo zdrowie – rzucił ponuro Benteley.

–Och, to wspaniałe miejsce. Czy nie sądzisz, że Leon trochę przytył? Wygląda bez porównania lepiej, odkąd skończyła się ta historia z Pelligiem.

–Zanosi się na to, że dożyje późnej starości – przyznał Benteley.

Rita zarumieniała się.

–Po co tak mówisz? Czy naprawdę wobec nikogo nie potrafisz być lojalny? Myślisz tylko o sobie.

Benteley wyszedł z sali. Rita po chwili poszła za nim.

–Czy sędzia Waring będzie podejmował decyzję wśród tych rozbieganych entuzjastów?– spytał Ted.

Doszli do naciągniętej siatki, na której kilka opalonych postaci wystawiało się do słońca.

–Zdaje się, że tutaj każdy spędza miło czas. Nawet macmillany dobrze się bawią. Niebezpieczeństwo minęło. Morderca odleciał.

Rita rozebrała się zręcznie, oddała ubranie mechanicznemu szatniarzowi i rzuciła się na jedną z drgających siatek. Antypola niskiej grawitacji uwolniły jej ciało. Opadła z zawrotną szybkością na dno siatki, a po ja-

kimś czasie ukazała się znów, zadyszana i czerwona, szukając, czego się chwycić. Benteley pomógł jej wstać.

–Spokojnie – powiedział.

–Zapomniałam o niskiej grawitacji. Roześmiana i podniecona odeszła od niego i pobięła do głębszych siatek.

–Chodź, to świetna zabawa! Nie miałam o tym zielonego pojęcia.

–Wolę popatrzeć – stwierdził ponuro Benteley.

Gibkie ciało Rity znikło. Siatka drgała i sprężynowała. W końcu dziewczyna znów znalazła się na wierzchu. Położyła się na brzuchu, wystawiając plecy i ramiona do sztucznego słońca. Zamknęła oczy i westchnęła z rozkoszy.

–Co za odpoczynek – szepnęła sennym głosem.

–To jest miejsce, w którym można odpocząć. – Benteley zacytował słowa Yerricka.
– Pod warunkiem, że nie ma się innych spraw na głowie.

Nie było odpowiedzi. Rita spała.

Benteley stał z rękoma w kieszeni, otoczony radosną, barwną kotłowaniną. Tuż obok niego baraszkowali roześmiani ludzie. Niezliczone gry toczyły się wciąż od nowa. W rogu Leon Cartwright rozmawiał z grubym, zgorzkniałym mężczyzną. Harry Tatę, przewodniczący Międzyplanetarnego Zrzeszenia Przemysłu Widowiskowego, gratulował mu zwycięskiego pojedynku z pierwszym mordercą. Benteley przyglądał się im, póki rozmawiali. Potem odszedł do siatek – i natknął się na Eleonorę Stevens.

–Kto to? – spytała Eleonora pogodnym głosem.

–Bratanica Cartwrighta.

–Od kiedy ją znasz?

–Niedawno ją poznałem.

–Ładna. Chyba starsza ode mnie? – Drobna twarz

Eleonora była zimna jak metal. Uśmiechała się niczym wesoła blaszana laleczka. – Musi mieć co najmniej trzydzieści lat.

–Niezupełnie – powiedział Benteley. Eleonora wzruszyła ramionami.

–Zresztą mniejsza o to.

Nagle odeszła. Benteley ostrożnie poszedł za nią.

–Napijesz się? – spytała przez ramię. – Tak tu gorąco. Od tych wrzasków boli mnie głowa.

–Nie, dziękuję – powiedział Benteley, kiedy Eleonora porwała łąpczywie szklankę martini z tacy ściennej. – Chcę być trzeźwy.

Eleonora przechadzała się, obracając wysoką szklankę raz w jedną, raz w drugą stronę cienkimi palcami.

–Zaraz zaczynają. Chcą pozwolić, żeby decydował ten stary głupi cap.

–Wiem – odpowiedział obojętnie Benteley.

–On często nie wie, co się wokół niego dzieje. W czasie Konwencji Yerrick zamydlił mu oczy. Teraz będzie tak samo. Czy są jakieś wiadomości o losach Moore'a?

–Mzpw zamontowało monitor na użytek Cartwrigh-ta. Yerrick nie protestował. Nie zależy mu.

–I co widać na ekranie?

–Nie wiem. Nie chciało mi się spojrzeć. Benteley przystanął. Przez uchylone drzwi dojrzał stół, krzesła, popielniczki, kamery i mikrofony.

–Czy to...

–Tak, przygotowali ten pokój. Nagle Eleonora krzyknęła ze strachu:

–Ted, proszę cię, zabierz mnie stąd! Reese Yerrick wszedł do tamtego pokoju.

–On wie – powiedziała lodowatym tonem Eleonora, przedzierając się bez celu przez rozbawiony tłum. – Przyleciałam cię ostrzec, pamiętasz? On o tym wie.

–To przykre – powiedział wymijająco Benteley.

–Tylko tyle?

–Bardzo mi przykro. Ale nic nie mogę zrobić Yerri-ckowi. Gdybym mógł, pewnie bym zrobił. Albo i nie.

–Możesz go zabić! – krzyknęła histerycznie. – Masz pistolet. Możesz go zabić, zanim on zabije ciebie i mnie!

–Nie – powiedział Benteley – nie zamierzam zabijać Reese'a Yerricka. Nie ma mowy. Poczekam i zobaczę, co z tego wyniknie. W każdym razie ja już z nim skończyłem.

–A... ze mną?

–Ty wiedziałaś o bombie. Eleonora wzdrygnęła się.

–Cóż mogłam zrobić? – Trzymała się blisko niego, oszalała ze strachu. – Przecież nie mogłam nic poradzić.

–Wiedziałaś tamtej nocy, kiedy byliśmy razem. Kiedy mnie namawiałaś.

–Tak! – Stała przed nim z podniesioną głową, z wyzwaniem zagroziła mu drogę.

–Zgadza się! – Jej zielone oczy błyszczały niespokojnie. – Wiedziałam. Ale to, co powiedziałam, było szczere. Mówiłam to, co myślę, Ted.

–O Boże – mruknął Benteley i odwrócił się zde gustowany.

–Wysłuchaj mnie. – Złapała go błagalnie za rękę. – Reese też wiedział. Wszyscy wiedzieli. Nie było rady, przecież ktoś musiał być w ciele, prawda? Odpowiedz mi! – Potknęła się, idąc za nim. – Odpowiedz mi! – krzyknęła.

Benteley cofnął się pod ścianę, kiedy gderający staruszek z siwą brodą przepychał się gniewnie obok niego w stronę przedpokoju. Staruszek znikł w drzwiach i z trzaskiem rzucił opasy tom na stół. Potem wytarł nos, obszedł stół, przyglądając się krytycznym wzrokiem krzesłom, wreszcie usiadł na honorowym miejscu. Reese

Yerrick, który stał posepnie pod oknem, zamienił z nim kilka słów. Leon Cartwright wszedł wkrótce po sędzim Waringu.

Serce Benteleya powoli, z oporem znów poczęło bić. Za chwilę zacznie się sesja.

16.

W pokoju było tylko pięć osób.

Sędzia Waring siedział przy jednym końcu stołu, otoczony księgami i taśmami prawniczymi. Leon Cartwright miał przed sobą potężną, zwalistą postać Reese'a Yerricka, między nimi stały dwie pełne niedopałków popielniczki i brzydki dzbanek z zimną wodą. Benteley i Shaeffer siedzieli naprzeciw siebie przy drugim końcu stołu. Ostatnie krzesło było puste. Technicy mzpw, urzędnicy Dyrektoriatu i Wzgórz mieli wstęp wzbroniony. Zostali w sali gier, w sali gimnastycznej, na basenie. Zza ciężkich drewnianych drzwi przedpokoju dobiegały słabe odgłosy zabaw i gier.

–Proszę nie palić – mruknął sędzia Waring. Spojrzał podejrzliwie na Yerricka, na Cartwrighta i znów na Yerricka. – Czy magnetofon jest włączony?

–Tak – powiedział Shaeffer.

Robot-magnetofon przeczołgał się zwinnie przez stół i zajął pozycję na wprost Yerricka.

–Dziękuję – powiedział Yerrick, przeglądając papiery i przygotowując się do zabrania głosu.

–Czy to ten facet?– spytał Waring, pokazując na Benteleya.

–Przyjechałem tu po niego – odparł Yerrick, rzuciwszy okiem na Teda. – Ale on nie jest wyjątkiem. Wszyscy zaczęli łamać przysięgi, zachowywać się niełojalnie, zdradzać mnie. – Mówił głosem znużonym, rozwlekle. –

193

To już nie to co dawniej. – Wstał i spokojnym tonem oświadczył: – Benteley został wyrzucony z Oiseau-Lyre. Był rejestrowanym wyrzutkiem bez pozycji. Zjawił się u mnie w Batawii, szukając posady 8/8, to jego klasa. W tym czasie moja sytuacja była trudna. Nie wiedziałem, co mnie czeka. Spodziewałem się, że będę musiał zwolnić część swoich ludzi. Jednak przyjąłem Benteleya, mimo że nie byłem pewien, co przyniesie przyszłość. Zabrałem go do siebie, dałem mu mieszkanie w Farben.

Shaeffer spojrzał szybko na Cartwrighta – znał słowa Yerricka, zanim zostały wypowiedziane.

–Wszystko było w rozsypce, ale ja dałem Benteley-owi to, czego chciał. Włączyłem go do mojej ekipy, prowadzącej badania biochemiczne. Dałem mu kochankę, utrzymywałem go, troszczyłem się o niego. Wprowadziłem go do swojego największego przedsięwzięcia. – Yerrick odrobinę podniósł głos. – Na własne żądanie otrzymał w tym przedsięwzięciu odpowiedzialne stanowisko. Oświadczył, że chciałby zająć się stroną techniczną. Zaufałem mu i przyznałem odpowiednie uprawnienia. W krytycznym momencie zdradził mnie. Zabił swojego bezpośredniego przełożonego, porzucił pracę i uciekł. Zabrakło mu odwagi, żeby wytrwać, więc złamał przysięgę. Całe przedsięwzięcie upadło przez niego. Przybył tutaj na pokładzie statku Dyrektoriatu i próbował złożyć przysięgę Lotermistrzowi.

Yerrick umilkł. Skończył.

Benteley słuchał jego słów z rosnącym zdumieniem. Więc to tak się odbyło? Waring patrzył na niego z zaciekawieniem, czekając, co powie. Ale Benteley wzruszył ramionami: nie ma nic do powiedzenia. Cała sprawa rozgrywa się poza nim.

Odezwał się Cartwright:

–Na czym polegała praca Benteleya w tym przedsięwzięciu?

Yerrick zawahał się.

–Właściwie wykonywał tę samą pracę, co inni ludzie klasy 8/8.

–Nie było żadnej różnicy? Yerrick milczał chwilę.

–O ile pamiętam, nie.

–To kłamstwo – powiedział Shaeffer do sędziego Waringa. – On zna różnicę.

Yerrick przytaknął niechętnie.

–Była pewna różnica – przyznał. – Benteley żądał pierwszoplanowej pozycji i otrzymał ją. Miał doprowadzić całe przedsięwzięcie do ostatniego etapu. Ufaliśmy mu bez reszty.

–Co to miał być za etap? – spytał sędzia Waring.

–Śmierć Benteleya – odpowiedział Cartwright. Yerrick nie zaprzeczył. Z ponurą miną przerzucał papiery, aż sędzia Waring zapytał:

–Czy to prawda? Yerrick potwierdził.

–Czy Benteley wiedział? – spytał sędzia Waring.

–Z początku nie. Nie mogliśmy z miejsca udostępnić mu tej informacji, dopiero co wszedł w skład ekipy. Kiedy się dowiedział, zdradził mnie. – Potężne ręce Yerricka zacisnęły się konwulsyjnie na papierach. – Zniszczył całe przedsięwzięcie. Wszyscy odeszli, wszyscy mnie zawiedli.

–Kto jeszcze? – spytał zaciekawiony Shaeffer. Yerrick zgrzytnął zębami.

–Eleonora Stevens. Herb Moore.

–Ach, tak – powiedział Shaeffer. – A ja myślałem, że Moore to był ten, którego zabił Benteley. Yerrick przytaknął.

–Moore był jego bezpośrednim zwierzchnikiem – powiedział. – Sprawował nadzór nad całym przedsięwzięciem.

–Skoro Benteley zabił Moore'a, a Moore zdradził ciebie... – Shaeffer zwrócił się do

sędziego Waringa: – Z tego wynika, że Benteley postąpił jak wierny lennik.

Yerrick zachnął się.

–Moore zdradził mnie później. Po tym, jak Benteley... – Urwał.

–Słuchamy – wtrącił Shaeffer.

–Po tym, jak Benteley go zabił – powiedział z trudem, drewnianym głosem Yerrick.

–Jak to? – spytał gniewnie sędziego Waring. – Nie rozumiem.

–Wyjaśnij mu, na czym polegało przedsięwzięcie -podsunął słodkim tonem Shaeffer.

– Wtedy zrozumie.

Yerrick wpatrywał się w blat stołu. Bawił się rogiem kartki papieru, w końcu przemówił:

–Nie mam nic więcej do powiedzenia. – Wstał powoli. – Wycofuję dane dotyczące śmierci Moore'a. W gruncie rzeczy nie mają one związku z tą sprawą.

–Przy czym obstajesz? – spytał Cartwright.

–Benteley porzucił pracę i odjechał. Porzucił pracę, którą mu wyznaczyłem, pracę, której się podjął, kiedy złożył mi przysięgę. A powinien był zostać. To była jego praca.

Cartwright także wstał.

–Nie mam nic do dodania – powiedział do sędziego Waringa. – Zaprzysięgam Benteleya, ponieważ uważam, że został uwolniony z poprzedniej przysięgi, złożonej Yerrickowi. Uważam, że Yerrick złamał tę przysięgę. Benteleya wysłano na śmierć bez jego wiedzy. Opiekun nie ma prawa wysyłać rejestrowanego lennika na śmierć, chyba że uzyska od niego pisemną zgodę.

Broda sędziego Waringa kiwała się w górę i w dół.

–Rejestrowany lennik musi wyrazić zgodę. Opiekun może zabić rejestrowanego lennika bez jego zgody tylko wówczas, kiedy ten lennik złamał przysięgę. Łamiąc

przysięgę, lennik pozbawia się praw, ale pozostaje własnością opiekuna. – Sędzia pozbiarał wszystkie swoje książki i taśmy prawnicze. – Obecna sprawa zależy od jednego punktu. Jeżeli odnośny opiekun ze swojej strony pierwszy złamał przysięgę, odnośny lennik zgodnie z prawem mógł porzucić pracę i odjechać. Ale jeżeli opiekun ze swej strony nie złamał przysięgi przed odjazdem lennika, lennik jest winien zdrady i podlega karze śmierci.

Cartwright ruszył do drzwi – za nim Yerrick, ponury, z rękoma wbitymi w kieszenie.

–Tak to wygląda – powiedział Cartwright. – Czekamy na decyzję sędziego.

Benteley był z Ritą O'Neill, kiedy zapadła decyzja. Shaeffer podszedł do niego na chwilę.

–Czytałem w myślach starego sędziego Waringa rzekł. – Wreszcie się zdecydował.

W ośrodku był „wieczór”. Benteley i Rita siedzieli w jednym z przytulnych barków, dwa niewyraźne kształty wśród przyćmionych różnobarwnych cieniów, które otaczały ich stolik. Między nimi trzeszczała aluminiowa świeca. Przy innych stolikach siedzieli urzędnicy Dyrektoriatu, rozmawiając, wpatrując się przed siebie, popijając. Macmillan krążył bezgłośnie po sali.

–No i co? – spytał Benteley. – Jaki wynik?

–Na twoją korzyść – odparł Shaeffer. – Ogłosi werdykt za kilka minut. Cartwright polecił, żebym ci jak najszybciej dał znać.

–Więc Yerrick nie ma do mnie żadnych praw – powiedział z niedowierzaniem Benteley. – Jestem bezpieczny.

–Tak. Gratuluję.

Shaeffer odszedł. Rita położyła dłoń na rękę Benteleya.

–Bogu dzięki.

Benteley nie czuł nic z wyjątkiem lekkiego oszołomienia.

–A więc sprawa załatwiona – wymamrotał.

Nieobecny wzrokiem wiódł za barwną smugą, która pięła się po ścianie, unosiła

się pod sufitem i spływała z drugiej strony niczym galaretowaty pająk. Na ziemi plama rozsypywała się na setki kropek i cętek, które znów się skupiały i podejmowały powolną wędrówkę.

–Trzeba to uczcić – powiedziała Rita.

–Tak, osiągnąłem swój cel. – Benteley wypił do dna. – Pracuję dla Dyrektoriatu, Jestem lennikiem Lotermistrza. To właśnie chciałem zdobyć... tamtego dnia. Zdaje się, że wieki upłynęły. Ale w końcu mam, czego chciałem. – Wpatrywał się w szklankę i milczał.

–I jak się czujesz?

–Tak jak dotychczas.

Rita darła pudełko zapalek na kawałki i paliła je w płomieniu metalowej świecy.

–Nie jesteś zadowolony.

–Jestem tak daleki od zadowolenia, jak tylko można.

–Dlaczego? – spytała cicho.

–W gruncie rzeczy niczego nie dokonałem. Myślałem, że to wina Wzgórz, ale Wakeman miał rację. To nie Wzgórze, to całe społeczeństwo. Wszystko cuchnie. Wyrwanie się spod władzy Wzgórz nie pomogło ani mnie, ani nikomu innemu. – Energicznie odsunął szklankę. – Mógłbym po prostu zatkać nos i udawać, że nic nie cuchnie. Ale to za mało. Trzeba coś z tym zrobić. Trzeba obalić ten świetlany i wąty system. On jest przeżarty, skorumpowany, runie pod naciskiem palca. Ale coś musi powstać na jego miejsce, coś trzeba zbudować. Nie wystarczy niszczyć. Muszę pomóc w budowie nowego! Może u innych ludzi wygląda to inaczej. Ale ja chciałbym zrobić coś, co rzeczywiście odmieni porządek świata. Muszę zrobić coś, co odmieni porządek świata.

–Może ci się uda.

Benteley spojrział w przyszłość z miejsca, w którym siedział.

–Jak? Kto mi da szansę? Znow jestem lennikiem. Znow jestem skrupowany przysięgą.

–Jesteś młody. Oboje jesteśmy młodzi. Przed nami wiele długich lat na to, żeby planować i działać. – Rita podniosła szklankę. – Mamy przed sobą całe życie, żeby zmieniać losy świata.

Benteley uśmiechnął się.

–Zgoda, wypiję za to. – Podniósł szklankę i stuknął się z Ritą. – Ale nie za dużo – dodał, poważniejąc. – Ver-rick wciąż się tu kręci. Nie chcę pić, póki nie wyjedzie.

Rita przestała bawić się świecą.

–A co by było, gdyby cię zastrzelił?

–Zastrzelono by i jego.

–A co by było, gdyby zabił mojego stryja?

–Odebrano by mu kartę „W”. Nigdy nie mógłby zostać Lotermistrzem.

–I tak nie będzie już nigdy Lotermistrzem – powiedziała spokojnie Rita.

–O co ci chodzi? – podniósł się Benteley. – O czym ty myślisz?

–Myślę, że Yerrick nie wróci z pustymi rękami. On nie potrafi się zatrzymać. – Spojrzała na Teda poważnie. – Sprawa nie jest skończona. On musi kogoś zabić.

Benteley chciał odpowiedzieć, ale w tej samej chwili wąski cień padł na ich stolik. Podniósł wzrok, zaciskając w kieszeni rękę na zimnej kolbie.

–Cześć – powiedziała Eleonora Stevens. – Czy mogę się przysiąc?

Usiadła spokojnie naprzeciw nich, z założonymi rękoma, z machinalnym uśmiechem przyklejonym do warg. Zielonymi oczyma obejrzała najpierw Benteleya, a następnie Rite. W półmroku baru jej włosy jarzyły się głęboką

rdzawą czerwienią, odcinając się od odsłoniętego karku i ramion.

–Kim jesteś? – spytała Rita.

Błyskając zielonymi oczyma, Eleonora nachyliła się, żeby zapalić od świecy papierosa.

–Imieniem i nazwiskiem. A nie osobą z krwi i kości. Prawda, Ted?

–Powinnaś stąd wyjść – powiedział Benteley. – Obawiam się, że Yerrick nie byłby zachwycony, gdyby cię ujrzał z nami.

–Nie widziałam Yerricka, odkąd tu jestem. Tylko z daleka. Może go porzucę. Może po prostu odejdę bez słowa. Zdaje się, że wszyscy naokoło tak czynią.

–Uważaj – powiedział Benteley.

–Mam uważać? Na co? – Eleonora wypuściła kółko szarego dymu prosto na Benteleya i Rite. Utkwiła oczy w Ricie. Zaczęła mówić szybko, ostrym, łamiącym się głosem: – Chcąc nie chcąc, słyszałam, co mówiłaś. Masz rację. Yerrick wciąż się waha. Wolałby ciebie, Ted, ale jeśli mu umkniesz, zadowolili się Cartwrightem. Siedzi teraz w swoim pokoju i namyśla się. Zawsze miał pod ręką Moore'a, który układał mu każdy problem w przejrzyste równanie matematyczne. Założmy plus 50 na zabicie Benteleya. Ale minus 100, bo za karę sam zginie. Założmy plus 40 za zabicie Cartwrighta. Ale minus 50 za utratę karty „W”. W obu wypadkach traci.

–To prawda- przyznał obojętnie Benteley. – Traci w obu wypadkach.

–Jest trzecie wyjście – powiedziała z ożywieniem Eleonora. – Sama je wymyśliłam. – Wesoło kiwnęła głową w stronę Rity. – To znaczy, ty wymyśliłaś. Aleja opracowałam równanie. Założmy plus 40 za zabicie Cartwrighta. A teraz tak: założmy minus 100 dla Cartwrighta, bo zginie. To po stronie Reese'a. A jest jeszcze moja skromna częśćka.

–Nie rozumiem, o czym ty mówisz – powiedziała obojętnie Rita.

–Ale ja rozumiem – rzucił Benteley. – Uważaj!

Eleonora była szybsza. Podkradła się jak kot, porwała aluminiową świecę i wepchnęła płonąca rurkę w twarz Rity.

Benteley odrzucił świecę. Z cichym sykiem stoczyła się ze stołu i zabrzączała na podłodze. Eleonora bezszelestnie doskoczyła do Rity O'Neill, która siedziała bezradnie i tarła oczy. Jej czarne włosy i skóra na twarzy były poparzone, drażniący zapach przypalonego ciała wypełniał mroczne powietrze baru. Eleonora oderwała siłą rękę Rity od twarzy. W palcach coś jej błysnęło -pogiętą szpilką od krawata celowała w oczy Rity. Benteley rzucił się na Eleonorę. Wpiła się w niego desperacko, drapiąc go i kłując. Kiedy się wreszcie od niej uwolnił, odskoczyła z błyskiem w zielonych oczach i znikła w mroku.

Benteley zajął się ofiarą.

–Nic mi nie jest – powiedziała Rita, szczękając zębami. – Dziękuję. Świeca zgasła, a ona nie trafiła mnie szpilką. Lepiej spróbuj ją złapać.

Ludzie zrywali się od stolików. Eleonora wypadła z baru na korytarz. Sanitariusz-macmillan wyjechał szybko ze schowka i znalazł się przy stoliku Rity. Odsunął wszystkich na bok, łącznie z Benteleyem.

–Idź – powiedziała spokojnie Rita, trzymając dłonie przy twarzy, a łokcie na stoliku. – Wiesz, dokąd poszła. Spróbuj ją zatrzymać. Wiesz, co on z nią robi.

Benteley wyszedł z baru. Korytarz był pusty. Pobiegł do windy. Po chwili był już na parterze. Tu i ówdzie stały grupki ludzi. Na samym końcu korytarza dostrzegł rudy i zielony błysk – pobiegł w tę stronę. Minął zakręt i zatrzymał się jak wryty.

Eleonora Stevens stała przed Reese'em Yerrickiem.

–Wysłuchaj mnie – mówiła. – Czy nie rozumiesz? To jedyne wyjście! – W jej głosie krył się paniczny lęk. – Reese, na litość boską, uwierz mi. Weź mnie ze sobą! Przepraszam cię. Już nigdy tego nie zrobię. Opuściłam cię, ale to było ostatni raz. Przecież przynoszę ci ten plan.

Yerrick spostrzegł Benteleya. Uśmiechnął się pod nosem i złapał Eleonorę za

przegub żelaznym uściskiem.

–A więc znów jesteśmy razem – powiedział. – Wszyscy troje.

–To nieporozumienie – rzekł Benteley. – Ona cię nie chciała zdradzić. Jest ci bezgranicznie oddana.

–Nie sędzę – powiedział Yerrick. – Ona nie jest wiele warta. Jest dziecinna i zdradliwa. Nic dobrego.

–Więc pozwól jej odejść. Yerrick zastanowił się.

–Nie – powiedział w końcu. – Nie pozwolę.

–Reese! – jęknęła dziewczyna. – Powtórzyłam ci, co oni mówili! Powiedziałam ci, jak to możesz zrobić. Nie rozumiesz? Możesz to zrobić teraz. Ja ci to umożliwiłam. Weź mnie ze sobą, proszę cię, weź mnie ze sobą.

–Tak – zgodził się Yerrick. – Mogę to zrobić. Sam na to wpadłem.

Benteley rzucił się naprzód. Ale tym razem nie dość szybko.

–Ted! – krzyknęła Eleonora. – Ratuji!

Yerrick pociągnął ją za rękę i trzema gigantycznymi susami dobiegł do hermetycznego wjazdu. Za przezroczystą powłoką rozciągała się martwa, ponura powierzchnia Księżyca. Yerrick uniósł wrzeszczącą, szamocącą się dziewczynę w powietrze i jednym szybkim ruchem wyrzucił ją przez hermetyczny wjazd na zewnątrz.

Benteley stał jak sparaliżowany, podczas gdy Yerrick odsunął się od wjazdu. Dziewczyna potknęła się i upadła na stertę gruzu i zimnych kamieni, młócąc rękoma, a za-

marznięty oddech wisiał jak chmura u jej ust i nosa. Próbowwała jeszcze podnieść się na nogi, obróciła się w stronę powłoki, z wykrzywioną twarzą, wytrzeszczonymi oczyma. Przez krótką chwilę pełza błagalnie ku Benteleyowi, jak rozdeptany owad, przebierając bezradnie rękoma.

Potem pękła klatka piersiowa i jama brzuszna. Ben-teley zamknął oczy, żeby nie widzieć, jak bezwładna masa rozpadających się członków wylatuje w księżycową próżnię, jak żywe cząstki zamieniają się natychmiast w kruche kryształy. Koniec. Dziewczyna nie żyła.

Odrętwiały Benteley wyciągnął pistolet. Ludzie uciekali w popłochu. Syrena alarmowa wyła rozpaczliwie. Yerrick stał bez ruchu, jego twarz nie zdradzała żadnego uczucia.

Shaeffer wybił Benteleyowi pistolet z ręki.

–To na nic – powiedział. – Ona nie żyje! Nie żyje! Benteley kiwnął głową.

–Tak, wiem.

Shaeffer schylił się i podniósł pistolet.

–Lepiej ja go wezmę.

–Nic mu nie zrobią – powiedział Benteley.

–Miał do tego prawo – przyznał Shaeffer. – Ona była nierejestrowana.

Benteley odszedł. Wracał powoli, kierując się w stronę ambulatorium. Przed oczyma migaly mu obrazy martwej Eleonory, spalonej twarzy Rity i przerażającej, trupio zimnej powierzchni Księżyca. Powoli wspinał się po schodach.

Za plecami słyszał kroki i ciężki, chrapliwy oddech. Poręcz drżała pod ciężarem ręki. To Reese Yerrick!

–Zaczekaj, Benteley – powiedział. – Pójdę razem z tobą. Mam pewną sprawę do załatwienia z Cartwrightem. Transakcję finansową, która powinna go zainteresować.

Yerrick zaczekał, aż sędzia Waring, mamrocząc coś pod nosem i szurając krzesłem, usiądzie w końcu. Przed sobą miał bladą twarz Cartwrighta, który jeszcze nie otrząsnął się z szoku.

–Jak się czuje bratanica? – spytał Yerrick.

–Nic jej nie będzie – odparł Cartwright. – Dzięki Ben-teleyowi.

–Tak – zgodził się Yerrick. – Zawsze czułem, że jest coś w Benteleyu. Potrafi działać, kiedy trzeba. Eleonora uderzyła ją w twarz?

–Zrobiono jej operację plastyczną. Oczy były nietknięte, tylko skóra i włosy. A tamta celowała w oczy.

Benteley nie mógł oderwać wzroku od Reese'a Yerricka. Yerrick był spokojny, opanowany. Oddech znów miał równy, twarz była nieco szara, nabrzmiała, ale ręce mu nie drżały. Wyglądał, jakby odzyskiwał siły po jakiejś orgii seksualnej, po krótkim i gwałtownym spazmie rozkoszy.

–Czego chcesz? – spytał go Cartwright i zwrócił się do sędziego Waringa: – Nie mam pojęcia, o co mu chodzi.

–Właśnie – podchwycił sędzia Waring. – Co to znaczy, Reese? Co tam znowu wymyśliłeś?

–Chcę, żebyś został z nami – powiedział do sędziego Yerrick. – Mam zamiar przedstawić Cartwrightowi pewną propozycję. Chcę, żebyś jej wysłuchał i stwierdził, czy jest zgodna z prawem. – Wyciągnął swój masywny rewolwer i położył go przed sobą na stole. – Znaleźliśmy się w ślepym zaułku. Myślę, że wszyscy przyznacie mi rację. Ty nie możesz mnie zabić, Leonie. Nie jestem mordercą: byłoby to zwykłe zabójstwo, za które poniósłbyś karę. Jestem tutaj w charakterze gościa.

–Jesteś mile widziany – powiedział bezbarwnym głosem Cartwright, nie spuszczał oczu z Yerricka.

–Przyjechałem tu, żeby zabrać Benteleya, ale nie mogę tego uczynić. Pat. Pat dla wszystkich stron: ty nie możesz mnie zabić, ja nie mogę zabić Benteleya ani ciebie.

Milczenie.

–A może mogę? – powiedział w zamyśleniu Yerrick. Obejrzał bacznie swój rewolwer.
– Myślę, że może cię zabiję.

Sędzia Waring wtrącił z niesmakiem:

–Będziesz wykluczony z wielkiej gry do końca życia. To głupi pomysł. Co ci to da?

–Przyjemność. Satysfakcję.

–Czy to satysfakcja stracić kartę „W”? – spytał sędzia Waring.

–Nie – zgodził się Yerrick. – Ale mam jeszcze swoje trzy Wzgórza. Tego mi nikt nie odbierze.

Cartwright ani drgnął. Potakiwał lekko, śledząc tok rozumowania Yerricka.

–Przynajmniej wyjdiesz z tego żywy. Będziesz miał nade mną tę przewagę.

–Właśnie – przyznał Yerrick. – Nie będę Lotermi-strzem, ale i ty nim nie będziesz. Trzeba będzie znów obrócić butelkę.

Do pokoju wszedł Shaeffer. Spojrzał na sędziego Waringa i usiadł.

–Leon – powiedział do Cartwrighta – on blefuje. Dziewczyna podsunęła mu ten pomysł, zanim ją zabił. Nie ma zamiaru do ciebie strzelać. Chce cię tylko nastraszyć... -Oczy Shaeffera zabłyśły. – Ciekawe... – dodał.

–Wiem – powiedział Cartwright. – On chce mnie postawić przed wyborem: śmierć albo układ. Jakie są warunki układu, Reese?

Yerrick sięgnął do kieszeni i wyjął swoją kartę „W”.

–Zamiana – powiedział. – Karta za kartę.

–W ten sposób zostaniesz Lotermistrzem – zauważył Cartwright.

–A ty zostaniesz przy życiu. Wyjdiesz stąd żywy. A ja wyjdę stąd Lotermistrzem. Pat przełamany.

–I będziesz miał Benteleya – powiedział Cartwright.

–Zgadza się – odparł Yerrick. Cartwright zwrócił się do Shaeffera.

–Czy on mnie zabije, jeśli odmówię? Shaeffer milczał dłuższy czas.

–Tak – powiedział wreszcie. – Zabije cię. Nie odjedzie stąd, póki nie zabije ciebie albo nie dostanie z powrotem Benteleya. Jeśli się nie zamienisz, zastrzeli cię i straci swoją kartę. Jeśli się zamienisz, odzyska Benteleya. W każdym wypadku ma jednego z was. Wie, że nie może mieć obu.

–Którego by wolał? – spytał ciekawie Cartwright.

–Wolałby mieć Benteleya. Doszedł do tego stadium, że ma dla ciebie szacunek, nieomal cię poważa. A Benteleya chce mieć pod swoją władzą.

Cartwright poszperał w kieszeni i wyciągnął starannie zapakowane pudełko z kartami władzy. Przeglądał je powoli.

–Czy to jest zgodne z prawem? – spytał sędziego Wa-ringa.

–Możecie się zamienić – odparł burkliwym tonem Wa-ring. – Ludzie bez przerwy kupują i sprzedają karty „W”.

Benteley uniósł się w krześle. Wykonał bezradny gest, mówiąc:

–Cartwright, czy ty naprawdę...

–Siedź cicho – przerwał mu opryskliwie sędzia Wa-ring. – Nie masz tu nic do gadania.

Cartwright znalazł właściwą kartę, sprawdził ją jeszcze z innymi papierami i położył na stole.

–Oto moja karta „W”.

–Chcesz się zamienić? – spytał Yerrick.

–Właśnie.

–Czy wiesz, co to oznacza? Prawnie zrzekasz się swojego stanowiska. Z tą kartą tracisz wszystko.

–Wiem – odparł Cartwright. – Znam prawo. Yerrick obrócił się w stronę Benteleya. Przez chwilę

obaj patrzyli na siebie w milczeniu. Potem Yerrick chrząknął.

–Interes ubity – powiedział.

–Zaczekajcie – wtrącił stłumionym głosem Benteley. – Na miłość boską, Cartwright, przecież nie możesz tak po prostu... – Przerwał bezradnie. – Przecież wiesz, co on ze mną zrobi – dokończył.

Cartwright nie słuchał go. Schował pudełko z kartami „W” do kieszeni marynarki.

–Śmiało – powiedział łagodnie do Yerricka. – Skończmy z tym wreszcie, żebym mógł pójść na dół, zobaczyć, jak się czuje Rita.

–Dobrze – odparł Yerrick.

Wyciągnął rękę i wziął kartę Cartwrighta.

–Teraz ja jestem Lotermistrzem.

Cartwright wyciągnął rękę z kieszeni. Ze swojego małego, staroświeckiego pistoletu strzelił Yerrickowi prosto w serce. Z kartą władzy w ręce Yerrick padł twarzą na stół. Usta i oczy miał szeroko otwarte ze zdziwienia.

–Czy to było zgodne z prawem? – zwrócił się Cartwright do sędziego Waringa.

–Tak – przyznał z uznaniem Waring. – Jak najbardziej. Oczywiście tracisz te wszystkie karty.

–To się rozumie samo przez się – odparł Cartwright i wręczył sędziemu plik kart. – Podoba mi się tutaj. Pierwszy raz w życiu jestem w nowoczesnym ośrodku wypoczynkowym. Chętnie się trochę poopalam i zapomnę o wszystkich kłopotach. Jestem już stary i zmęczony.

Benteley pochylił się nad Yerrickiem.

–Nie żyje. To już koniec.

–Tak, zupełny koniec – przyznał Cartwright i wstał. – Teraz możemy zejść na dół i zobaczyć, jak się miewa Rita.

–Dobrze się czuję – powiedziała ochryplym głosem. – Co nowego?

–Yerrick nie żyje.

–Tak, wszystko skończone – dodał Cartwright. Podeszedł do bratanicy i pocałował przezroczysty bandaż, który spowijał jej twarz. – Straciłaś trochę włosów.

–Odrośną – powiedziała Rita. – Więc on naprawdę nie żyje? – Usiadła niepewnie na błyszczącym stole zabiegowym. – Zabiłeś go i nic ci się nie stało?

–Straciłem tylko kartę „W” – powiedział Cartwright. Wyjaśnił, co się stało. – Teraz nie ma Lotermistrza. Trzeba będzie obrócić butelkę. Potrwa to dzień lub dwa. – Uśmiechnął się krzywo. – Kto jak kto, aleja chyba wiem. Pracowałem przy tym dość długo.

–Aż trudno uwierzyć – odezwała się Rita. – Wydaje się, że Reese Yerrick był wieczny...

–A jednak to prawda.

Cartwright poszperał w kieszeni i wyjął sfatygowany czarny notes. Coś w nim zaznaczył.

–Został nam jeszcze Herb Moore. Statek dotychczas nie wylądował, a ciało Pelliga jest gdzieś w tamtych rejonach, zaledwie kilkaset tysięcy kilometrów od Ognistej Tarczy. – Zawahał się, potem powiedział: – Prawdę

mówiąc, monitory mzpw pokazały, że Moore dotarł do statku Prestona i wszedł do środka. Zapadło pełne napięcia milczenie.

–Czy może zniszczyć nasz statek? – spytała Rita.

–Bez trudu – odparł Benteley. – Za jednym zamachem mógłby zapewne zniszczyć sporą część Ognistej Tarczy.

–Może John Preston coś z nim zrobi – podsunęła z nadzieją Rita. Ale powiedziała to bez przekonania.

–Po części sprawa zależy od następnego Lotermistrza – zauważył Benteley. – Można by wysłać specjalny oddział komandosów i spróbować otoczyć Moore'a. Ciało jest mocno nadwerężone, może będziemy je mogli w jakiś sposób zniszczyć.

–Ale najpierw Moore dotrze do Prestona – powiedział ponuro Cartwright.

–Myślę, że uda nam się namówić następnego Lotermistrza – upierał się Benteley. – Moore będzie zagrażał całemu światu.

–Bez wątpienia.

–Sądziś, że następny Lotermistrz wyrazi zgodę?

–Tak sądę – odparł Cartwright – ponieważ ty jesteś nowym Lotermistrzem. Pod warunkiem, że masz jeszcze tę kartę, którą ci dałem.

Benteley miał kartę. Nie dowierzając własnym uszom, wyjął ją i obejrzał dokładnie. Karta wypadła mu z drżących palców – rzucił się i złapał ją czym prędzej.

–Myślisz, że w to uwierzę?

–Tak, za dwadzieścia cztery godziny.

Benteley obrócił kartę i obejrzał ją z drugiej strony. Wyglądała jak każda inna karta „W”. Ten sam kształt, rozmiar, kolor, ten sam materiał.

–Skądęś ją, u diabła, wytrzasnął?

–Pierwotny właściciel uznał, że pięć dolarów to odpo-

wiednia cena, zważywszy sytuację na rynku. Zapomniałem, jak się nazywał.

–Nosileś ją zawsze przy sobie?

–Nosilem przy sobie cały pakiet – odparł Cartwright. – Pozbyłem się tej jednej dopiero, kiedy byłem pewien, że ją przyjmiesz. Chciałem też mieć pewność, że to będzie legalna transakcja. Nie pożyczka, tylko normalna sprzedaż, jakich wiele.

–Zaczekaj, niech ochłone- powiedział Benteley i w końcu udało mu się włożyć kartę „W” do kieszeni. – Czy to na pewno prawda?

–Tak – powiedział krótko Cartwright. – 1 uważaj, nie zgub karty.

–A więc opracowałeś system przewidywania. Coś, czego wszyscy szukają. Dzięki temu zostałeś Lotermi-strzem.

–Nie – odparł Cartwright. – Nie potrafię przewidzieć obrotu butelki, tak samo jak nie potrafią inni. Nie znam żadnej formuły.

–Ale miałaś tę kartę! I wiesz, że ona wygra.

–Zrobiłem coś innego – przyznał Cartwright. – Manipulowałem w mechanizmie butelki. Tysiące razy miałem w życiu dostęp do urzędzeń w Genewie. Nastawiłem mechanizm. Skoro nie mogłem przewidzieć, co zrobi maszyna, trzeba było znaleźć inne wyjście. Ustawiłem numery karty „W”, które udało mi się kupić, w ten sposób, że utworzyły następne dziewięć obrotów. Jak się lepiej zastanowić, to powinienem zostać Lotermistrzem na swoją własną kartę „W”, a nie na kupioną. Trzeba to było lepiej opracować, to mnie zdradzi, jeśli ktoś zacznie analizować sprawę.

–Jak dawno zacząłeś nad tym pracować?– spytał Benteley.

–Kiedy byłem młody. Jak każdy, szukałem niezawodnego systemu, który umożliwiłby mi przewidywanie obro-

tów butelki. Przystudiowałem wszystkie materiały o budowie jej mechanizmu, o zasadzie Heisenberga, wszystko, co ma związek z przypadkowością i przewidywaniem, przyczyną i skutkiem. Zostałem fachowcem od napraw urządzeń elektronicznych. Kiedy dobiegałem czterdziestki, pracowałem w Genewie przy urządzeniach sterujących mechanizmem butelki. Wtedy uświadomiłem sobie, że nigdy nie będę potrafił przewidzieć obrotu. Ja ani nikt inny. Zasada nieoznaczoności jest sprawiedliwa – ruch cząstek elementarnych, na którym opiera się obrót butelki, wymyka się ludzkiej kalkulacji.

–Czy postąpiłeś etycznie? – spytał Benteley. – Wywróciłeś wszystko do góry nogami.

–Od lat gram w tę grę – odparł Cartwright. – Większość ludzi gra przez całe życie. Pewnego dnia zrozumiałem: reguły są takie, że nie mogę wygrać. Kto by chciał grać w taką grę? Kasyno przyjmuje zakłady i kasyno zawsze wygrywa.

–To prawda – przyznał Benteley. Po chwili dodał: -Tak, nie warto brać udziału w oszukańczej grze. Ale jakie proponujesz wyjście? Co robić, kiedy się odkryje, iż reguły są takie, że nie można wygrać?

–To, co ja zrobiłem: ustanawiasz nowe reguły i grasz zgodnie z nimi. Reguły, które dają wszystkim graczom równą szansę. A Minimax nie daje równych szans. Mini-max i cały system rejestracji działają przeciwko nam. Więc zadałem sobie pytanie, jakiego rodzaju reguły byłyby lepsze. Usiadłem i opracowałem takie reguły. Odtąd zawsze postępowałem zgodnie z nimi, tak, jakby obowiązywały. I dodał: -A także wstąpiłem do Towarzystwa Prestona.

–Dlaczego?

–Bo Preston też przejrzał reguły gry. Pragnął tego samego co ja: gry, w której każdy ma szansę wygrać. Nie chodzi o to, żeby w końcu każdy otrzymał taki sam pu-

char. Nie zamierzam wprowadzać równego podziału nagród. Ale uważam, że każdy powinien mieć szansę wygranej.

–A zatem wiedziałeś, że jesteś Lotermistrzem, zanim cię o tym zawiadomiono.

–Wiedziałem wiele tygodni naprzód. Nastawiłem butelkę, kiedy ostatni raz zostałem wezwany do naprawy mechanizmu. Za każdym razem, gdy pracowałem w Genewie, nastawiałem kolejne obroty. Wreszcie ostatnim razem uzyskałem pełną kontrolę. Od

tej chwili maszyna przestała działać przypadkowo. Mam ją zaprogramowaną na długie lata... Ale teraz to już nieważne. Wtedy nie miałem następcy.

–Co chcesz dalej robić? – spytał Benteley. – Nie możesz wrócić do władzy.

–Już ci mówiłem, chcę odpocząć. Rita i ja nigdy właściwie nie przerwaliśmy pracy na dłuższy czas, nigdy nie mieliśmy wakacji. Zamierzam spędzić resztę życia w takim nowoczesnym ośrodku wypoczynkowym jak ten. Będę spał, kontemplował, wydawał broszury.

–Jakie broszury?

–O naprawie i konserwacji sprzętu elektronicznego – powiedział Cartwright. – To moja specjalność. Odezwała się Rita.

–Masz mniej więcej dwadzieścia cztery godziny, Ted. Potem zostaniesz Lotermistrzem. Jesteś w tym samym punkcie, co mój stryj parę dni temu. Będziesz czekał, aż przyjdą i powiadomią cię o wyborze. To była niezwykła chwila, kiedy usłyszeliśmy, jak lądują na dachu. A major Shaeffer wbiegł, stukając obcasami, ze swoją aktówką.

–Shaeffer wie – powiedział Cartwright. – Omówiliśmy wszystko, zanim dałem ci kartę.

–Więc Gwardia uzna obrót butelki?

–Gwardia uzna ciebie – odpowiedział spokojnie Cartwright. – Czeka cię duża robota. Dzieją się wielkie spra-

wy. Gwiazdy otwierają się jak róże. Ognista Tarcza czeka... w pół drogi. Zmienia się cały świat.

–Myślisz, że dasz sobie radę? – spytała Benteleya Rita.

–Tak sądzę – odparł Ted w zamyśleniu. – Chciałem być tam, gdzie mógłbym wprowadzać zmiany: i oto jestem. – Roześmiał się nagle. – Jestem prawdopodobnie pierwszym człowiekiem, który złożył przysięgę samemu sobie. Jestem równocześnie opiekunem i lennikiem. Mam władzę życia i śmierci nad sobą.

–Może to się przyjmie – podchwycił z przejęciem Cartwright. – Moim zdaniem to świetny tekst przysięgi. Przyjmujesz pełną odpowiedzialność za bezpieczeństwo i wykonanie zadania. Odpowiadasz tylko przed swoim... sumieniem. Czy tak brzmi to słowo?

Major Shaeffer wpadł do pokoju.

–Tak brzmi to słowo, zgodnie z historycznymi taśmami. Mam nowe wieści. Monitor mzpw przekazał ostatni raport w sprawie Moore'a.

Chwila ciszy. Potem odezwał się Cartwright:

–Ostatni?

–Telewizja pokazywała sztuczne ciało do chwili, kiedy weszło do statku Prestona. O tym wiecie. Więc ciało weszło do środka, Moore rozmawiał z Prestonem i zaczął badać mechanizm, który utrzymuje go przy życiu. I wtedy obraz się urwał.

–Urwał się? Dlaczego?

–Według ocen fachowców sztuczne ciało eksplodowało. Moore, statek, John Preston i jego mechanizm rozlecieli się w drobny mak. Astronomowie przechwycili bezpośredni wizualny obraz wybuchu.

–Czy to jakiś rodzaj pola spowodował eksplozję? – spytał Benteley. – Bomba była cholernie czuła.

–Na ekranie widać było, jak Moore umyślnie otwiera sztuczne ciało na piersi i łączy przewody detonatora.

Ciekawe, dlaczego to zrobił. Myślę, że powinniśmy wysłać ekipę, która spróbuje

ustalić, co się stało. Nie będę mógł zasnąć, póki się nie dowiem.

–Zgadzam się – powiedział z zapalem Benteley.

Cartwright wyjął swój czarny notes. Z zakłopotaniem malującym się na pobrużdżonej, starej twarzy, postawił krzyżyk przy ostatniej pozycji i schował notes do kieszeni.

–Cóż, ta sprawa załatwiona. Resztki statku Presto-na możemy później pozbierać, teraz mamy ważniejsze rzeczy na głowie. – Spojrzał na ciężki zegarek kieszonkowy. – Statek powinien wkrótce wylądować. Jeśli wszystko się powiodło, Groves podchodzi właśnie do lądowania na Ognistej Tarczy.

Tarcza była duża. Silniki hamowania były przeraźliwie, niweczając wzmożone przyciąganie. Kawałki farby odpryskiwały ze ścian. Jeden miernik zepsuł się, a gdzieś w kadłubie pękła rura.

–Statek się zaraz rozleci – jęknął Konklin. Groves sięgnął do kontaktu i wyłączył górne oświetlenie. Kabina sterowni pogrążyła się w ciemnościach.

–Co, do cholery? – zaczął Konklin. A potem sam zobaczył.

Z okna promieniowało łagodne światło, blada poświata oblewała blaskiem postacie Konklina i Grovesa oraz urządzenia kontrolne. Nie było widać ani gwiazd, ani czarnej pustki kosmicznej – olbrzymie oblicze planety powoli wypełniało pole widzenia. Ognista Tarcza leżała tuż pod nimi. Zakończył się długi lot.

–Niesamowite – szepnął Konklin.

–To samo widział Preston.

–Co to jest? Rodzaj alg?

–Nie, niższe stadium. Zapewne radioaktywne minerały.

–Gdzie jest Preston? – spytał Konklin. – Myślałem, że jego statek doprowadzi nas do samej planety.

Groves zawahał się, ale w końcu odpowiedział niechętnie:

–Moje mierniki zanotowały eksplozję termojądrową jakieś trzy godziny temu. Mniej więcej w odległości piętnastu tysięcy kilometrów. Od tego czasu wskaźnik przyciągania nie rejestruje statku Prestona. Ale oczywiście w pobliżu Tarczy taka niewielka masa...

Do kabiny kontrolnej wbiegł Jereti.

–Dobry Boże! Więc to tak wygląda!

–Oto nasz nowy dom – powiedział Konklin. – Duży, co?

–Skąd się bierze to śmieszne światło? Zupełnie jak na seansie spirytystycznym. Jesteście pewni, że to planeta? Może to prawdziwy wąż kosmiczny? Nie wiem, czy chciałbym mieszkać w pobliżu węża kosmicznego, dużego czy małego.

Konklin wyszedł z kabiny i pobiegł wibrującym, huczącym korytarzem. Cicha zielonkawa smuga ciągnęła się za nim, kiedy schodził na główny pokład. Przed drzwiami swojej kajuty zatrzymał się na chwilę i stał, nadsluchując.

Pod pokładem, w ładowni zbierano skromny dobytek. Układano i pakowano garnki i patelnie, pościel, żywność i ubrania. Przez jazgot silników sączył się gwar podnieconych, stłumionych głosów. Mechanik odrzutowy Gardener zaczął rozdawać kombinezony ciśnieniowe Doddsa i hełmy.

Konklin wszedł do kabiny. Mary spojrzała na niego pytająco.

–Jesteśmy na miejscu?

–Prawie. Wszystko gotowe do wyjścia w nasz nowy świat?

Mary pokazała stertę dobytku.

–Pakuje się.

Konklin wybuchnął śmiechem.

–Tak jak inni. Poodkładaj wszystko na miejsce. Będziemy mieszkać tutaj, dopóki nie zbudujemy podziemnych schronów.

–Och. – Mary speszona układała z powrotem rzeczy w szafach i schowkach. – Nie założymy nawet jakiejś kolonii?

–Oczywiście, że tak – powiedział Konklin i uderzył ręką w ściankę kajuty. – To jest nasza kolonia. Mary przystanęła z ubraniami w ręku.

–Wszystko będzie dobrze, prawda, Bili? To znaczy, z początku będzie ciężko, ale potem się ułoży. Będziemy mieszkać przeważnie pod ziemią, jak na Uranie i Neptunie. Czy to nie wspaniale?

–Damy sobie radę – odparł Konklin i delikatnie wyjął jej ubrania z rąk. – Zejdźmy do ładowni i poszukajmy sobie kombinezonów Doddsa. Rozdaje je Gardener.

Przywitała ich Janet Sibley, zdenerwowana i drżąca z podniecenia.

–Nie mieszczę się – jęknęła. – Mój jest za mały. Konklin pomógł jej zapiąć ciężki kombinezon.

–Tylko pamiętaj – prosił -jak będziesz na zewnątrz, uważaj i nie potknij się. To kombinezon starego typu. Rozedrziesz go o kamień i po tobie.

–Kto wyjdzie pierwszy? – spytała Mary, kiedy Bili pomógł jej zapiąć niezgrabny kombinezon. – Kapitan Groves?

–Ten, kto się znajdzie najbliżej wjazdu.

–Może to będę ja – powiedział Jereti, wchodząc do ładowni. – Może ja będę pierwszym człowiekiem, który postawi stopę na Ognistej Tarczy.

Poprawiali jeszcze kombinezony i rozmawiali nerwowo w małych grupkach, kiedy zawyły syreny, oznajmiając lądowanie.

–Trzymajcie się! – krzyczał Konklin przez ogłuszający jazgot. – Złapcie się czegoś i włączcie tlen!

Statek rąbnął z impetem, rzucając nimi jak suchymi liśćmi. Rzeczy fruwały w powietrzu, kiedy zatrząsł się gwałtownie. Silniki hamowania z rykiem usiłowały powstrzymać statek, który wbijał się bezlitośnie w twardą jak kamień powierzchnię planety. Światło zabłysło i zgasło. W ciemnościach grzmot silników i przeraźliwy zgrzyt metalu o skałę ogłuszały przestraszonych pasażerów.

Konklin wpadł w stertę pościeli. Wokół niego sypały się garnki i naczynia. Szukał po omacku, aż znalazł wiązanie kadłuba.

–Mary! – zawołał. – Gdzie jesteś?

Poczuł, że dziewczyna rusza się obok niego.

–Tu jestem – powiedziała słabym głosem. – Zdaje mi się, że mam rozwalony hełm. Ucieka z niego powietrze. Konklin złapał ją.

–Wszystko w porządku – powiedział.

Statek wciąż się poruszał, okropny krzyk rozdieranego metalu powoli cichł, aż wreszcie zapanowała chwiejna równowaga. Światła błysnęły, świeciły parę chwil, potem znów zgasły. Gdzieś powoli, jednostajnie kapał jakiś płyn. Na końcu korytarza zapaliły się artykuły żywnościowe, które wypadły ze schowka.

–Ugaście ten ogień – rozkazał Groves. Jereti z gaśnicą w ręce ruszył niepewnym krokiem w głąb korytarza.

–Chyba jesteśmy na miejscu – powiedział, kiedy ugasił ogień. Jego głos wibrował metalicznie w słuchawkach hełmów.

Ktoś zapalił latarkę.

–Kadłub chyba wytrzymał – powiedział Konklin. – Nie słyszę poważniejszych przecieków.

–Wyjdźmy na zewnątrz – błagała Mary. – Zobaczmy Tarczę.

Groves był już przy włazie. Czekał bez ruchu, aż wszy-

scy zbiorą się wokół niego, a potem zacząi ręcznie odkręcać ciężką klapę.

–Nie ma prądu – wyjaśnił. – Przewody gdzieś się zerwały.

Pokrywa włazu odskoczyła z hukiem. Powietrze wyleciało z kadłuba. Groves ruszył naprzód, milcząc, z szeroko otwartymi oczyma. Inni weszli za nim na pomost. Przez chwilę stali niezdecydowani, zdjęci lękiem. Potem zeszli zwartą grupą.

W połowie schodków Mary potknęła się i Jereti przystanął, żeby ją złapać. Jeden z Japończyków z zakładów optycznych pierwszy dotknął stopą powierzchni Tarczy. Zręcznie przeskoczył przez barierkę i wylądował na twardej skale, z ożywioną, pełną zapału twarzą w baniastym hełmie. Uśmiechnął się do towarzyszy i pomachał im ręką.

–W porządku! – krzyknął. – Popatrzcie na ten blask.

Cała planeta jarzyła się zielonym światłem. Słaba, jednostajna poświata spowijała miękko skały i kamienie, ale także równy grunt. W tym przyćmionym, fosforyzującym świetle grupka ludzi tworzyła dziwne kształty, czarne kolumny z metalu i plastiku, które powoli, niezgrabnie i niepewnie schodziły na powierzchnię planety.

–Pomyśleć, że to było tu zawsze – powiedział oczarowany Jereti – i nikt na to nie patrzył. – Kopnął twardą skałę. – My pierwsi stajemy na tej ziemi.

–Nie wiadomo – odpowiedział w zamyśleniu Gro-ves. – Podczas lądowania coś zauważyłem. Starąłem się wylądować jak najbliżej, ale tak, żeby w to nie uderzyć. – Odbezpieczył pistolet maszynowy. – Preston uważał, że Ognista Tarcza jest być może przybłądą z innego układu.

Przed nimi na równej powierzchni stała dziwna budowla. Była to kula z matowego metalu, gładka i bez

ozdób. Kiedy powoli zbliżali się do niej, wokół nich unosiły się zielone kryształki zamrożonego gazu.

–Cholera, jak się tam dostać? – spytał Konklin. Groves uniósł broń.

–Nie widzę innego wyjścia – zabrzmiał w słuchawkach jego głos. Nacisnął spust i powoli zatoczył małe kółko wylotem lufy. – Materiał wygląda na stal nierdzewną. Sądzę, że tę kulę mógł zbudować człowiek.

Konklin i Groves wpełzli przez skwierczącą, nadtopioną dziurę. Schodząc do środka kuli słyszeli jednostajny warkot. Wewnątrz było tylko jedno pomieszczenie, a w nim turkocząca maszyneria. Powietrze z sykiem ulatywało przez dziurę.

–Trzeba to zatkać – powiedział Groves.

Z trudem udało im się załatać dziurę, którą wypalili w ścianie kuli. Potem zabrali się do oglądania huczącej maszynerii.

–Witam – powiedział łagodnie oschły, niewyraźny głos.

Odskoczyli, z bronią gotową do strzału.

–Nie bójcie się – ciągnął starzec. – Jestem tylko człowiekiem, tak jak i wy.

Konklin i Groves stali, jakby wrosli w metalową podłogę.

–Wielki Boże – wymamrotał Groves. – A ja myślałem...

–Jestem John Preston.

Konklinowi dreszcz przebiegł po plecach. Szczękał zębami.

–A mówiłeś, że jego statek został zniszczony. Spójrz na niego: on musi mieć milion lat. W dodatku zanurzony w roztworze.

Jakby na potwierdzenie jego słów poruszyły się przezroczyste wargi i z głośników znów zabrzmiał suchy szept.

–Jestem bardzo stary – mówił Preston. – Jestem prawie zupełnie głuchy i sparaliżowany. – Usta opadły w pół-

uśmiechu. – Mam artretyzm, jak wam zapewne wiadomo. A gdzieś w drodze zgubiłem okulary. Więc niestety niezbyt wyraźnie was widzę.

–Czy to twój statek? – spytał Konklin. – Wylądowałeś przed nami?

Wiekowa głowa kiwnęła, na ile pozwalała podtrzymująca ją obręcz.

–On nas obserwuje – powiedział Groves. – To okropne, nienormalne.

–Od jak dawna tu jesteś? – spytał Konklin wyschniętego staruszka, zanurzonego w podtrzymującej życie kąpieli.

–Musicie mi wybaczyć – odpowiedział Preston. – Nie mogę wstać i uścisnąć wam ręk. Konklin zamrugał oczyma.

–Zdaje się, że mnie nie usłyszał – powiedział niepewnym głosem.

–Należymy do Towarzystwa Prestona – oznajmił z zakłopotaniem Groves. – Kontynuujemy twoje dzieło. Czy...

–Czekałem bardzo długo – przerwał mu starzec. – Wiele, wiele długich lat. Wiele, wiele dni w samotności.

–Coś tu nie gra – rzucił przestraszony Konklin. – Jemu coś się stało!

–Jest głuchy i ślepy.

Konklin podszedł do maszynerii.

–To nie jest statek – powiedział. – To coś podobnego do statku, ale nie statek. Myślę...

–Chcę wam opowiedzieć o Ognistej Tarczy- przerwał mu oschły, chropowaty głos Johna Prestona. – Tylko ona mnie interesuje. Tylko ona jest dla mnie ważna.

–Także dla nas – powiedział zakłopotany Groves. Konklin gorączkowo oglądał gładką wewnętrzną powierzchnię kuli.

–Tu nie ma silników! Ta kula nie może latać! Ma coś

w rodzaju osłony anty grawitacyjnej, tak jak boja sygnalizacyjna. Groves, to jest boja! Zaczynam rozumieć.

–Musicie mnie wysłuchać – mówił Preston. – Muszę wam opowiedzieć o Tarczy.

–Musi być więcej takich boi – stwierdził Konklin. – Jedna zabłąkała się tutaj i spadła wskutek silnego przyciągania Tarczy. Na pewno jest ich tysiące, jedna podobna do drugiej jak dwie krople wody.

Powoli docierało to do Grovesa.

–Nawiązaliśmy kontakt z bojami, a nie ze statkiem. Każda kierowała nas do następnej. Lecieliśmy od boi do boi.

–Róbcie, co chcecie – wtrącił się oschły, nieubłagany głos – ale musicie wysłuchać, co mam wam do powiedzenia.

–Zamknij się! – krzyknął Konklin.

–Muszę tu pozostać na wieki – odparł Preston zbolalym głosem, starannie dobierając słów. – Nie mam odwagi, żeby stąd odlecieć. Gdybym...

–Przestań! – wrzasnął z wściekłością Konklin. – Ile jest dwa razy dwa?

–Nic o was nie wiem – ciągnął niestrudzony szept.

–Powtórz za mną! – krzyknął Konklin. – Entliczek, pen-tliczek, czerwony stoliczek, na kogo wypadnie, na tego bęc!

–Przestań – warknął Groves, bliski hysterii. – Zwariowałaś?

–Prowadziłem długoletnie poszukiwania- ciągnął monotonnym szeptem Preston. – I nie osiągnąłem nic. Absolutnie nic.

Konklin dał za wygraną. Odwrócił się i poszedł w stronę dziury, przez którą weszli do kuli.

–On nie żyje. To nie jest płyn odżywczy. To jakaś lotna substancja, na którą rzucono podobiznę Prestona. Taśmy są zsynchronizowane z obrazem. Preston nie żyje od stu pięćdziesięciu lat.

Zapadło milczenie, tylko oschły szept Prestona brzmiał bez chwili przerwy.

Konklin oderwał łatę i wygramolił się z kuli.

–Chodźcie do środka. – Dał znak towarzyszom.

–Słyszeliśmy prawie wszystko przez słuchawki – powiedział Jereti, kiedy znalazł się w kuli. – Co to było? Skąd ten entliczek, pentliczek?

Ujrzał replikę Johna Prestona i zamilkł. Inni wchodzili powoli za nim, pełni emocji i oczekiwania. Jedno po drugim stawali przed starcem i słuchali cichego, niewyraźnego szeptu, który rozlegał się w rzedającym powietrzu kuli.

–Zamknijcie włącz – rozkazał Groves, kiedy ostatni Japończyk wszedł do środka.

–To jest... – zaczęła niepewnie Mary. – Ale dlaczego on mówi w ten sposób? Jakby recytował...

Konklin położył jej ciężką rękawicę na ramieniu.

–To tylko obraz. Zostawił ich setki, może tysiące, rozsiane wokół w przestrzeni. Po to, żeby przyciągać statki i prowadzić je na Ognistą Tarczę.

–A więc on nie żyje!

~ Umarł dawno temu – powiedział Konklin. – Sądząc z wyglądu, umarł jako bardzo stary człowiek. Może parę lat po tym, jak odkrył Tarczę. Wiedział, że kiedyś dotrą w te strony statki kosmiczne. Chciał sprowadzić jeden z nich tutaj, do swojego świata.

–Chyba nie przypuszczał, że powstanie Towarzystwo- powiedziała ze smutkiem Mary- Nie spodziewał się, że ktoś będzie specjalnie szukał Tarczy.

–Tak – zgodził się Konklin. – Ale wiedział, że statki będą latać w te strony.

–Sprawił nam zawód...

–Nie – sprzeciwił się Groves. – Ja tak nie myślę. Nie przejmujcie się tym. Umarła tylko fizyczna część Johna Prestona, a ona nie jest najważniejsza.

–To prawda – powiedziała Mary i rozpromieniła się. – Na swój sposób to wspaniałe. Na swój sposób to jest cud.

–Nie gadaj, tylko słuchaj – powiedział łagodnym tonem Konklin.

Wszyscy słuchali w milczeniu.

–To nie jest bezmyślny pęd – mówił wysuszony wizerunek starca. Ślepymi oczyma wpatrywał się w grupkę ludzi, nie widząc ich, nie słysząc, nieświadom ich obecności. Mówił do dalekich słuchaczy, do odległych widzów: -To nie zwierzęcy instynkt, który sprawia, że jesteśmy niespokojni, niezadowoleni. Powiem wam, co to jest. To najwyższy cel człowieka: rosnać i iść naprzód... szukać nowego... rozwijać skrzydła... Sięgać po nowe obszary, nowe doświadczenia, myśleć i żyć na nową modłę. Odrzucać przyzwyczajenia i wzory, wyrwać się z bezmyślnej monotonii i ruszyć naprzód. Być zawsze w ruchu...

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-24

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/